1-12
Dublety
9/151

ROK XXII.
Ogólnego zbioru Tom LXXXVIII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM IV. — ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA,
1897.

Druk Jana Cotty.

Dublet Biblioteki im. Zielińskich
...wa Naukowego Płockiego

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 13.

Druk ukończono d. 23 grudnia 1897 r.

LISTY TREMBECKIEGO DO KRÓLA.

Listy St. Trembeckiego pisane do Stanisława Augusta, które tu po raz pierwszy w znamiennych przytaczam wyjątkach, obejmują lata 1774—1789 i przechowane w oryginałach, mieszczą się w zbiorze rękopiśmiennym biblioteki ks. Czartoryskich (opisanym w katalogu d-ra J. Korzeniowskiego pod l. 847).

Rzucają one gruby cień na charakter poety-dworaka, którego portret wyidealizował jego biograf L. Siemieński. Nie wychodzi z nich poeta po za ciasne granice spraw osobistych, te zaś maluje królowi w najczarniejszych kolorach ze względów materyalnych.

Znając słabostki króla, zwłaszcza jego śmieszną próżność, dostanie się do Walhali drogą pochwał poetów i uczonych, schlebiał aż do obrzydzenia swemu panu, a pochlebstwa te na wszystkie tony i sposoby zajmują lwią część jego korespondencyi. W kłębie tych dymów pochwalnych dla króla, piekł dworak nasz przedewszystkiém własną pieczeń. Za każdy udział w zebraniach czwartkowych, za każdy niemal list wystylizowany do „stóp tronu", u którego składał swoją głowę, żebrał jakiéjś łaski dla siebie.

Prośby te zwłaszcza o posady i pokrycie długów, w które zagrzązł po uszy, zajmują dalszą część listów. Zapełniłyby one w druku dobry tom, dlatego ograniczam się tutaj uwydatnieniem jedynie takich wiadomości, które w nowém ukazują świetle życie i osobę poety.

Korespondencya Trembeckiego rozpoczyna się właściwie listem, datowanym w Mławce 22 sierpnia 1765 r., który ze względu na treść w nim zawartą dostał się w ręce Stanisława Augusta. Przemawia w nim widocznie na wsi gospodarujący Stanisław za przyjęciem warunków, podanych przez biskupa kujawskiego, w sprawie dzierżawy dóbr Rogozińskich i podaje o stanie téj ekonomii swoje uwagi.

Był wówczas jeszcze młodzieńcem i mieszkał w swych dobrach dziedzicznych „województwie, graniczącém z Mazowszem", gdzie się urodził i wychował. Dowiadujemy się przytém, że pochodził z rodziny magnackiéj. Babka jego była rodzoną siostrą księcia Radziwiłła, a ta sama krew łączyła go z Masalskimi i książęty de Ligne. Ojciec— gdy go odumarł — pozostawił mu w roli i piéniądzach około sześciuset tysięcy złt.

W owym czasie, t. j. na początku panowania Stanisława Augusta, zajęty był cały gospodarstwem—nie marzył jeszcze o zaszczytach dworskich, ani o poetyckich wawrzynach. Świadczy o tém list jego, przytoczony tu w wyjątkach, a uzupełniający wiadomości podane o jego dzierżawach przez Wójcickiego („Cmentarz powązkowski", I, 242—4 i „Życiorysy znakomitych ludzi", I, 527).

Jak JWWMPan Dobrodziéj przyjedziesz do Warszawy — pisze tu Trembecki—chciéj remonstrować w kamerze przypisane moje przy podanéj informacyi *de statu bonorum* ekonomii Rogozińskiéj refleksye, na ostatku położone, że te dobra tyle czynić nie mogą, co ja wyniosłem onychże intratę, ekspens zaś może być większy, bo ja *praeter propter* oręż położyłem, a najbardziéj, iż oprócz drzewa oręż zachowałem. Bo kiedy drzewo trzeba kupować, jak w téjże namieniłem informacyi, to ledwo nie *in triplo* każde nowo stawianie i reparowanie budynków będzie kosztowało. Po trzecie, utrzymywanie administratorów, ekonomów, powinno być w konsyderacyi, że wyciąga znacznego ekspensu, aby przez tę miarę na wszystko uwagę intratę i ekspensę miarkując, propozycye JWW. Mci Ks. Biskupa Kujawskiego, który większą budowę, nad moją wyrażoną oświadczył uczynić i te dobra nadrujnowane do lepszéj przyprowadzić pory, nie odrzucali. Ażeby zaś JWW. M. Pan Dobrodziéj doskonaléj to wszystko oczyma swemi ilustrował, co ja podałem przez moją informacyę, chciéj pofatygować się, obrócić trakt swój na Rogozno i zobaczyć te pustki, abyś potwierdził relacye o tychże uczynione, o co jak najuniżeniéj suplikuję i łaski jego obliguję."

W dopisku prosi Trembecki o przyśpieszenie wydania mu przywileju na chorąstwo, o czém nic bliższego nie wiadomo, krom tego, co tu sam pisze:

„Jeszcze nie odebrałem przywileju na chorąstwo, lubo do mnie JWMci Pan Kanclerz W. Dobrodziéj pisał, że jest zapieczętowany i dany na ręce J. O. Ks. Generała Poniatowskiego Dobrodzieja. Chciéj kooperować, aby mnie był odesłany ten przywiléj, i podać sposób, jak mam go odebrać, bo większa dla mnie byłaby konfuzya, żeby to rozgłoszenie mnie chorążym miało się odmienić. Chciéj zaręczyć za mnie, jeśli jest jaki ekspens, a ja z obligacyą wrócę przez kogo rozkażesz JWW. M. Pan Dobrodziéj."

W końcu wstawia się Trembecki za Jezuitami w Gdańsku:

„Chciéj JWW. M. Pan Dobrodziéj respekt swój wyświadczyć dla JMościów Księży Jezuitów gdańskich, trzymających włóki w Nitychu, na które mają przywileje, że *jure haereditario cum censu perdendo*, powinny zażywać, i chcą tém się eksplikować, aby przynajmniéj nie włożono ich *in tabellam pensitandorium censuum*, lecz ustawiono było do rezolucyi naszéj komisyi, czy mają być skopiowane ich przywileje albo nie, o co jak najuniżeniéj suplikuję."

Ciężki, staroświecki sposób pisania tego listu nie zdradza postępowca, którego lekkie i wytworne pióro poznamy w późniejszych listach.

Na tym liście urywa się korespondencya Trembeckiego, tracimy go z oczu na lat dziewięć.

Koleje, jakie przebył w tym czasie, odbijają się w następującym liście, własnym niejako portrecie poety:

„W któréjkolwiek sferze umieszczały mię losy, zawsze moja organizacya *ad superlativum* zbliżać się nakazywała.

I tak pod przeszłém Augusta III panowaniem, byłem jednym z najzuchwalszych burdów, jeden z najognistszych pijaków, jeden z najzapamiętalszych miłośników.

Byłem potém jeden z najpiękniejszych (jak zowią) graczów, potém jeden z najobszerniejszych czytelników, a potém stałem się jeden z najgorliwszych sług W. K. Mci Stanisława Augusta. Ktoby był zgadł wtedy, że i na mnie przyjdzie koléj od W. K. Mci potrzebować odpuszczenia!

Teraz niczém nie jestem, przygody obcięły mi skrzydła, lotu wziąść niezdolny, czołgam się tylko dość nikczemnie z każdéj miary..."

Tak pisał 1776 roku do króla. Co było przyczyną téj ostatniéj odmiany losu?

Utrzymywano u nas, że gospodarz, na rok wyjeżdżający z domu, powinien być zdecydowanym, że za powrotem zastanie dom w zgliszczach, żonę uwiedzioną, majątek zrabowany, a dzieci zabrane w niewolę, powinien zaś Bogu dziękować, gdy go która z tych szkód ominie.

Nasz Stanisław po czterech leciech przymusowego z kraju oddalenia— domyślam się, że przebywał w latach 1765—1769 w Paryżu — zastał za powrotem podobne spustoszenia w swym majątku.

„Przeciwności, nieprzerwaném ciągnące się ogniwem, zdarzyły, że teraz—jak pisze do króla—w państwach Waszéj Królewskiéj Mości człowieka odemnie uboższego nie ma.” Nie wymieniając klęsk, które zbiegły się na jego zupełną ruinę, przytacza tylko—może przez żart—że mu „matkę sześćdziesięcioletnią uwiedziono.” Po téj katastrofie przyjechał do Warszawy zubożały, uciśniony przez „sędziów, będących oraz jego przeciwną stroną.” Najbliżsi krewni, od których należało mu się spodziéwać pomocy i pocieszenia, zgodzili się na jego zgubę. W takiém położeniu, kiedy już wszystko miał za stracone, dostał się na dwór Stanisława Augusta, który go umieścił w poczet sług bliskich swego boku i zamianował szambelanem, a do tego „wysokiego urzędu” przywiązana była znaczna płaca, do 14,000 złt. rocznie wynosząca.

Domyślam się, że nastąpiło to w r. 1769 za pewne usługi, oddane królowi w czasie konfederacyi barskiéj, podobno za odkrycie jakowegoś niebezpieczeństwa grożącego królowi. Napomyka o tém Trembecki w „Memoryale do Najjaśniejszego Stanisława Augusta”, podanym dnia 16 grudnia 1774 r., z którego tu przytaczam wyjątki, charakteryzujące najlepiéj zadzierzgnięcie stosunku poety z królem.

„Jeszcze królewska cnota i najwyższéj czci godne przymioty W. Kr. Mci nie były mi tak zupełne, jak dzisiaj, znajome, kiedy znaczna liczba ziomków częścią od przeciwników osobistych W. Kr. Mci, częścią od miłośników anarchii podburzona, buntownicze podnosiła krzyki i oręże.

Tron W. Kr. Mci, który niech Opatrzność uwiecznić raczy, ledwie że nie był zachwiany. Słudzy obciążeni hojnością, senatorowie świéżo wyniesieni, słychać, że i niektórzy z powinowatych W. Kr. Mci cisnęli się na czoło tego tumultu.

Cóż azardował rokosz? Z cudzych majątków czyniąc zbiory, przegrawszy potém sprawę, od Najłaskawszego z królów łatwego spodziéwać się można było odpuszczenia, a gdyby wziąść górę udało, czekały niezmierne zyski, i burmistrzowanie w kraju. Dla pomnożenia winnych (co ubezpiecza bezkarność) i dla wzmocnienia niegodzących się związków pod imionami statystycznego pisma tysiące potwarzy były rozsiane, wszystkie chwalebne dzieła W. K. Mci czernione, wszystkie zbawienne przedsięwzięcia opacznie tłómaczone, znieważona powaga, siły udawane nie potężnemi.

Przez te sposoby większa podobno część narodu uwiedziona została.

Mnie ani blask zmyślonéj sławy, przeciwko swemu walczyć Monarsze, nie oćmił, ani nadzieje rzetelnych zysków nie poruszyły. Ufając mocno o mądrości W. K. Mci, mawiałem zawsze, że to wojowały chmury z słońcem. Aby zaś nie być poniewolnie wciągnionym do zbrodni, jechałem powtóre zagranicę, gdzie od wszystkich roztropniejszych słuszne pochwały W. K. Mci są powtarzane. W téj podróży traf błogosławiony o niechęciach moich do Rządcy sprawił u gardłowych nieprzyjaciół W. K. Mci mniemanie, które tém bardziéj starałem się potwierdzić, im większą ku obdarzonemu najcelniejszemi własnościami królowi pałałem gorliwością. Odkryło mi się wtedy niebezpieczeństwo W. K. Mci, z téj najgwałtowniejszéj przyczyny, iż Miłościwy Panie przewidziéć go nie mogłeś, przeświadczony wewnętrznie o sprawiedliwości czynów i zamysłów Twoich, i niespodziewający się, aby zamiast wzajemnéj i zasłużonéj od ludu Twego miłości, szalona ślepota tak daleko zaciekać się miała.

Należy mi więc przestrzedz Najlepszego z królów, aby się do pilnéj miał ostrożności... Czyniąc do Warszawy podróż musiałbym przebywać pięćdziesiąt mil kraju, środkiem nieprzyjaciela, który wszystkie po samą prawie stolicę obsiada szlaki. Możnaby więc stawić pięćdziesiąt przeciw jednemu, że w téj podróży zginę, a zginę śmiercią okrutną i haniebną, w ręce tylko nadzieja jedyna, która mniejszéj liczbie może obronić się zdoła, przed większą przynajmniéj od długiéj wybawi męczarni.

Majątku azard bagatela, ten się zawsze pozbyć i nabyć może; to jednak pewna, że do wszelkiego wzrostu na całe życie zagradzam sobie drogę; gdybym się stał bogatszym, stałbym się podlejszym. Chociażbym kiedy przez inne zasługi zarobił sobie na względy, zdawałoby się, że te tylko z pierwszéj wypływają.

Wiem, jakie mię czekają od nieprzyjaciół nazwiska, nad tém się nie zastanawiam; ale sam monarcha jakie miéć może o mnie zrozumienie?

Młodzian jestem, niedawno między męże policzony; dworowi dotąd prezentowany nie byłem.

Relacya moja jest ciężka, nie można jéj nagle wiary dawać i bez wielkich dowodów, jeżeli zbrodnia uknowana nie przyjdzie do skutku, moje słowa podległe być mogą wątpieniu, a jeżeli przyjdzie, zginęliśmy wszyscy; któż temu nakoniec uwierzy, że ja się sakryfikuję bez własnego mego interesu, trzeba być na to fenixowatym, a teraz już fenixy powszechnie są wzięte za chimeryczną istotę.

Moje sumienie mi świadczy — to dosyć, ale tylko dla mnie. Przyłączmy, że ten król ani jest pełnowładny, ani dziedziczny, i szacowne Jego życie...

Zaraza umysłów szerzy się tak dalece, że tych nawet, którzy go strzegą, powinienby się wystrzegać.

Jakże to wiele potrzeba rzeczy, aby pomyślnie poszło, żebym ja się nie stał najnieszczęśliwszym! z których, gdy jedna chybi, reszta za nic.

Kto w loteryi stawia na *Quinto secco*, nie jest miany za przezornego. Ja czyniłbym coś gorzéj, wszystko, co tylko rodzaj ludzki poważa, mogę oraz utracić, a zyskiwać co ani mi się godzi, ani mam żadnéj potrzeby.

Po tych i tym wielce podobnych przemaganiach, na tém stanęło, żem o sobie zapomniał.

W naturze jednak nie masz nigdy skutku bez przyczyny. Determinowało mię do zamrużenia oczu nad srogością przypadków rozważanie „czucia owéj niezmiernéj rozkoszy z przyłożenia się ku ocaleniu wiekopomnéj sławy godnego króla..."

Następują dalsze kadzidła dla króla i przesadne wynoszenie drobnych zasług Trembeckiego — co opuszczam. Wystarczą bowiem i te wyjątki do charakterystyki dworaka.

W czasie kilkuletniego pobytu w stolicy kraju szambelan nasz, przyzwyczajony do obcowania na wielkim świecie, roztrwonił życiem nad stan, grą w karty i miłostkami, wszystko, co posiadał i co się dało wydobyć ze skarbu królewskiego.

Zanosi więc w „Memoryale" prośbę do tronu, aby dla wybawienia go „od grubéj ohydy", spłacono długi honorowe tym dobrym ludziom, których „niechcący uszkodziłbym". Znając słabość swego mecenasa, apelował ciągle do jego kasy. Stosunek był zrazu taki, że prośby swe i żale mógł osobiście zanosić. Na co otrzymywał często zaspokojenia w postaci brzęczącéj monety, albo biletów do asygnaty.

Wówczas, jak gdyby się napił z niepamięci źródła, tak o wszystkich zabaczał przeciwnościach.

Z czasem jednak stawał się coraz natrętniejszym, coraz bardziéj wymagającym, wzbronił mu więc „Najprzystępniejszy i najmiłościwszy król" przystępu do siebie, tak, że wolno mu było przez pewien czas udawać się do monarchy tylko przez kasztelana, mającego dozór nad częścią dworu. W końcu przestrzegł go tenże w imieniu króla, aby „aż do przyszłego św. Jana (23 czerwca 1777 roku) głowę miał od niego spokojną."

Odczuwając niewłaściwość swego postępowania, zły i niezadowolony z siebie, że się „jeszcze gorzéj wydawał niż był“, wybucha poeta żalem i skargą w liście do króla, porównywując swoje położenie z Hiobem biblijnym.

„Najjaśniejszy królu, Panie mój Miłościwy!

Boję się pisać do W. K. Mci, Pana Naszego Miłościwego, aby mi się bolesny jaki nie wysunął wyraz.

Job, na którego Pan Bóg dla śmiechu dopuszczał przygody, i który jest za największy przykład cierpliwości podany, żalił się i czasem nieprzystojnie mruczał przed Panem w swoich goryczach. Ja lubo więcéj od tego Chaldejczyka cierpię: gdyż on swoje dobro utraciwszy, nikomu nie był dłużny, ani tak jak ja, nie był chory, ani tak długo, jak ja, w więzieniu (któremu tylko braknie tego imienia) zamknięty siedział—radbym jednak nie syknął.

Skarżył się daléj poeta na „zbyteczne siedzenie”, które „zupełną w temperamencie jego sprawiły odmianę i na tym podobne przykrości.

Dla ukrzepienia więc nadwątlonego zdrowia i wyrwania się z objęć zgryzot „suplikuje” pokornie—o pozwolenie wyjazdu za granicę, o co doprasza się kilkakrotnie w listach do króla i przez trzecie osoby—ustnie i piśmiennie. Zatrzymuje go tylko w Warszawie jego „w polityce pisanie“, które ma dokończyć. Król Stanisław August, który aż do słabości otaczać się lubił gronem uczonych, artystów i poetów, nie chciał pozwolić na wyjazd Trembeckiego z kraju — na pokrzepienie zaś zdrowia i sił szambelana przysłał mu królewskiego kordyału.

Zatonąwszy „w małmazyi“, rzucał poeta zasłonę na zguby swojéj powody. Ale po chwilach zapomnienia wybucha tém silniéj jego smutek i niezadowolenie.

Na mało jestem zdatny — pisze w liście do króla — a skarbowi W. K. Mci jestem uciążliwy, przez co się jednak los mój niezupełnie polepsza. Z ojczystości wyzuty i zdłużony będąc, nie widzę tylko smutek około siebie. Służący nie odziani, ja także, pieniędzy nic, a zatém rzeczy pierwszéj potrzeby często brakuje, i ten krzyczy, że u niego darmo stoję, ten, że mi jeść więcéj nie da, ten do prawa pociąga, a pod oświeconemi teraz rządy sprawiedliwość prędko przymusza do oddania, co się komu należy.“

Około nowego roku 1777, zasłaniając się natarczywości niektórych dłużników, obowiązał był kasyera Rudnickiego, że za niego bardziéj naglące wypłacił długi, a wziął na pensyę kwity.

Spodziéwając się mieć od niego znowu w czasie potrzeby „wygodzenie“, mało zostawił na życie. Tymczasem Rudnicki, nic nie odbié-

rając z kasy nadwornéj od nowego roku, nic mu już więcéj nie chciał pożyczyć.

Inny z wierzycieli, Żukowski, za dług kilkudziesięciu złotych, naliczywszy sobie pretensyi trzystakilkadziesiąt, sprowadził do mieszkania jego egzekucyę, zajął sprzęty i byłby go sprzedał za bezcen, gdyby się był poeta nie okupił.

Ten sam los groził szambelanowi Niewieścińskiemu, którego on za sobą pociągnął. Z trudem jednak ocalone przed Pawłem „ruchomości“ zagrabia Gaweł.

Przyzwyczajony do zbytku i wygód, skarży się szambelan królewski, że przez dwa lata (1776—7) na pościeli nie sypia, że jada obiad z dwu tylko potraw złożony i „zawsze jednakich“, a na wieczerzę mu nie staje. Żali się, że ma futro z białych baranów rosyjskich, a nie z soboli, garderoba zaś letnia jeszcze w opłakańszym stanie. Zaręcza, że nie bierze już w usta gorących napojów, chyba „na ułagodzenie jakiego natarczywego dłużnika.“ Ale nie wspomina, że do tego stanu doprowadziła go rozrzutność, pogrążając go w to położenie. Ile potrzebował na rok Trembecki i jakiego to rodzaju były jego wydatki, o tém przekonywa nas jego własnoręczna:

Expensa roczna warszawska:

Płacę od mieszkania dość niewygodnego . . .	dukatów	84	
Liberya dla dwóch lokai	„	32	
tymże strawne à flor. 40	„	53	złt. 4
Fryzyer à duk. 4	„	48	
Parobek à flor. 24	„	16	
Balwierz na rok	„	6	
Praczka na rok	„	24	
Pończoch jedwabnych tuzin na rok	„	24	
Nicianych tyleż	„	5	złt. 6
Drwa na rok	„	24	
Świece woskowe	„	20	złt. 5
Świece łojowe	„	4	„ 1
Tytuń fatalny	„	24	
Obuwie skórzane na rok	„	12	
Karety najęcie 6 razy na miesiąc	„	72	
Napój ranny à 1 fl.	„	20	złt. 5
Stół à fl. 6 na dzień	„	120	
Sześć gwiazd na rok	„	15	
Cztery wstęgi na rok	„	6	
Suma ekspensy złotych polskich . . .		10.983	
Na to mam percepty złotych polskich .		10,050	
Więc jest ekspensy nad perceptę złotych		933	

Zjedzone anticipatiwe w tym roku duk. 100, które na dożywocie Rudnicki awansował	1,800
Więc do zrównania ekspensy przyszłego roku deficyt .	2,733 fl.

Prócz tego deficyt fundusz na bieliznę, z któréj zaczynam wychodzić	50
Na sukien przynajmniéj par trzy na rok	100
Futro	50
Gazeta, aby przecie wiedziéć, co się na ziemi dzieje . .	4
Journal, aby wiedziéć, jaki gust panuje w literaturze .	8
Książka, Papiér, Poczta listowa. — Lak	12
Jakiżkolwiek menu-plaisirs	24
Doktór, Apteka	24
i wiele innych nieprzewidzianych i zdarzyć się mogących rozchodów	24

Spis ten wydatków świadczy o wygodném, a nawet zbytkownném życiu szambelana i sprzeciwia się poniekąd stosunkom, odmalowanym czarnemi kolorami w listach jego do króla. Sam zresztą wyznaje, że gdyby nie długi, mógłby żyć dostatnio i spokojnie. Długi to „utrapienie“ jego.

Gdy król upomniał szambelana o zapłacenie długu szatnemu i balwierzowi jego królewskiéj mości, L. Brunetowi — o którym na inném miejscu wspominam — odpisuje Trembecki, że gdyby miał co sprzedać, albo zastawić, gdyby mógł wynaléść wierzyciela, nie czekając powtórzenia rozkazu króla, zapłaciłby wszystko.

Ale gdy nie ma „całego dobra“ — z wyjątkiem długów — tylko 13 dukatów, resztę zostawia sobie i służącym na życie.

Przyciśnięty do muru przez wierzycieli, zdobył się na krok stanowczy. Postanowił opuścić służbę królewską, wyjechać do Petersburga i tam starać się o umieszczenie w wojsku. Prosi więc króla o polecenie go cesarzowéj Katarzynie, któréj przymioty w szumnych wielbi wyrazach.

Skłania go do tego—jak powiada—„wzgląd, że Rosya na wszystkie europejskie, a czasem i azyatyckie wpływa wojny.“ Dodaje téż, że i „potrzeba, matka wszystkich wynalazków, wnetby mu napędziła biegłości w tém rzemiośle. Niebezpieczeństwa téż smakują osobliwie takiemu, który jest przymuszony zachować zgon między swoje lekarstwa.“

W téj myśli opuszczenia na zawsze Warszawy i przesiedlenia się do Rosyi, pisze w kilka lat późniéj następujący o sobie panegiryk, w którym poniża siebie umyślnie, aby się wywyższyć.

ce 8 Octobre 1780.

„Najjaśniejszy Panie!

Traktowany z pogardą, odepchnięty z affektacyą prawie, od najmniejszych publicznych usług, upuszczony z protekcyi królewskiéj, w ten czas właśnie, kiedy jéj najpilniéj potrzebował, oddala się z niewzględnéj Warszawy Trembecki, nie mający już jéj więcéj oglądać.

Nie do Paryża, gdzie go łaskawsze losy trzykroć były zaniosły, ale jedzie między dzikie skały, bezludne stepy w godną kompanią Tatarów i Kozaków. Kontent i z tego, gdy dostać się między obyczajne narody nigdy nie mógł otrzymać pozwolenia — *perierunt tempora vitii, mors eat in tutum.*

Ten to sam jest, który polskiéj literatury od W. K. Mci rozszerzanéj, pokazanemi już próbkami nie zeszpecił, który po wielkiéj części oćmionemu uprzedzeniem narodowi najgłośniéj powiedział, jakim W. K. Mć jesteś i oczy mu przetarł, który niegdyś, w najprzykrzejszym razie... ale wiecznie zapomnijmy o tym, nie przystoi szczęśliwym Monarchom, o dawnych przypominać goryczach.".

Król poecie wybił ten szalony projekt z głowy i polecił kasztelanowi wiskiemu wybadać, ile téż właściwie wynoszą długi Trembeckiego. Zapytany, zauważył poeta słusznie, że „na nic się nie zda spowiadać przed takim, który nie ma mocy dać rozgrzeszenia."

Aby się jednak nie narażać kasztelanowi, ani go swém wyznaniem „nie zgorszyć", postanowił jemu część, a królowi wszystko wyjawić.

Podaje przeto w liście z 26 września 1776 r. długi rejestr swych grzechów — przyznając sam, że dopuszczać do tego, aby je skarb królewski spłacał, byłoby rzeczą nieuczciwości i braku sumienia w takim „ucisku", znajdują się dochody króla.

Skarb królewski miał wprawdzie pilniejsze potrzeby, tym razem jednak z polecenia króla spłacono co naglejsze długi, a Trembeckiemu kazano wystawić rewers, że dostatnio zaopatrzony z kasy królewskiéj nie będzie nadal żadnych więcéj zaciągać długów. Oto dosłownie brzmienie tego ciekawego rewersu.

„Przez łaskę wspaniałą J. K. Mci Pana Naszego Miłościwego, mając podwójną pensyę naznaczoną, jedną, którą czerpam z kasy JWP. Bastyana: czerwonych złotych sześćdziesiąt i ośm na miesiąc,

drugą z kasy JMci Pana kasztelana wiskiego: czerwonych złotych 10 na miesiąc.

A takowe sumy, będąc mi arcy-wystarczające, nietylko na wygody życia, ale téż i na spłacenie dawniejszych długów moich.

Przyrzekam zatém wiernemi usty przed Majestatem króla Pana Naszego, który opatrznym okiem w losy moje wglądać raczy, iż od dnia dzisiejszego żadnych nowych nie zaciągnę długów, mając tyle z Najłaskawszego Monarchy szczodroty, coby kilku uszczęśliwić mogło. Na to wszystko przy oświadczaniu, nie mającéj miéć granic wdzięczności, wierności i najgłębszego respektu. Dla trwalszéj pamięci podpisuję się

Dan w Warszawie, dnia pierwszego października 1776 r.

Stanisław Prus Trembecki.

Zobowiązania tego nie dotrzymał poeta. Nie minęło kilka miesięcy, jak przyciśnięty dawnemi długami zarywa kogo może, a gdy coraz trudniéj o pożyczkę, udaje się znów do „szczodrobliwości“ swego Najłaskawszego pana.

„Wielkie nieszczęścia—pisze w liście do króla — to przynajmniéj mają w sobie dobrego, że, wyostrzywszy dowcip, nowych duszy dodają sprężyn. Ale dobroć W. K. Mci nie dopuściła mi jeszcze zaginąć i winnego, a na piekielne ślepo narażającego się cierpienia w lekkiéj tylko dotąd zostawiła otchłani.

Otchłań, czy ma koniec albo nie, teologowie się nie zgadzają. I ja o mojéj mówić chciałem zaprzestać, gdyż od niemałego czasu nigdy mi W. K. Mć nie raczysz dać odpowiedzi, kiedy co w téj piszę materyi. Ale pewna okoliczność wymogła na mnie tę jeszcze odezwę.

Jest bajeczny po całym mieście rozgłos, że W. K. M. niedawno zawoławszy mię do siebie, długi moje przejąć raczyłeś; i już wiele osób tego mi winszowało szczęścia. Ah! gdyby ten głos ludu był głosem bożym, jeszcze W. K. Mć miałbyś wyśmienitego ze mnie sługę, jakim być podobno i mógłbym i powinienbym. Spóźniłem się nieco, to pewna. Za to też musiałbym się rozpędzać, abym dogonił tych, którzy się dobremi prześcignęli usługami.

Góra ta fatalna, leżąc na mnie, przyduszała mię i do wszystkiego czyniła niesposobnym. Czarne tylko oblały mię wały myśli, którym ledwie wszystkiemi obegnać się mogłem siłami. W. K. Mć tę górę ze mnie zdejmij, a ja wkrótce innym będę człowiekiem.“

Skargi te jednak nie odnosiły jakoś pożądanego skutku — stara się więc poeta na innéj popłynąć łódce.

Oto król Stanisław August przyrzekł mu kiedyś — w razie opróżnienia—starostwo nowomiejskie, a był to urząd wcale intratny. Trembecki miał go wrychle odprzedać, a tym sposobem zaspokoiwszy swych wierzycieli „wyjść na scenę". Tymczasem — jak się wyraża dowcipnie — fantazya wzięła dawnego starostę (nowomiejskiego) żyć dłużéj i przez to zrujnował mi projekta niepomału.

Nie mogąc się doczekać z żadnéj strony zaspokojenia dłużników, mniemał nakoniec inny wynaléść sposób. Oto zaniechawszy wybryków dotychczasowego życia, pensye swe obrócić chce na powolne wypłacenie długów. Ułożył się w tym celu z szatnym Jego królewskiéj Mości, L. Brunetem, któremu za mieszkanie, stół i ubiór oddał swój arkusz.

Na kontrakcie, zawartym między szambelanem a szatnym J. K. Mci, dopisał się sam król, czyniąc Bruneta „panem i opiekunem Trembeckiego, nakazując temu ostatniemu, aby bez woli i wiedzy Bruneta nic się czynić nie ważył." Ale i ten środek nie prowadził do celu.

Po trzech latach nienaturalnego stosunku (1777 — 1780) Trembecki zerwał z Brunetem, nazywając go rabusiem i wyzyskiwaczem, a ten ostatni zarzucał poecie bezczelne kłamstwa i mianował go waryatem.

W tych opałach probuje jeszcze jednego środka, którymby mógł się z grzechów swoich oczyścić. Oto prosi króla o niebieską wstęgę dla swego wierzyciela (Ronikera), za co mu tenże przyrzekł odstąpić pretensyę swą, a była to na rejestrze jego długów największa suma.

Gdy i na tę propozycyę król nie przystał, poeta przedkłada mu następujący układ, mający ostatecznie uregulować jego stan finansów.

1-mo) Od dnia 1 stycznia w r. 1780. Trembecki wolen jest od wszelkich długów, które, po utracie majątku swego z różnych przyczyn, zaciągnął. Te na karcie zdawna podane skarb J. Kr. Mci przejmuje.

2-do) Na umorzenie onych, pensya, którą przez ręce P. Rixa ciągnął, kasuje się.

3-tio) Prócz tego, z tychże długów czerwonych złotych ośmset z własnéj kieszeni zapłacić powinien.

4) Tenże, jako mający wszystkie zmysły spełna, *à cura tutela* p. Bruneta szatnego i balwierza J. K. Mości uwalnia się.

5) Temuż, nie według jego drobnych zasług, a według wspaniałości królewskiéj, stara pensya konserwuje się, która mu wypłacana będzie dnia pierwszego każdego miesiąca, zaczynając od 1 stycznia 1780 r. regularne, przez wzgląd na jego niebogactwo.

6) Tenże, gdyby najwięcéj swoje pomnożył zasługi, żadnych honorów, dostojeństw, urzędów, magistratur, aż do zgonu pretendować nie będzie.

7) Tenże, nowych żadnych darów od J. K. Mci nigdy nie przyjmie, choćby do ich brania był przymuszony.

8) Tenże obowiązuje się zawsze i wszystko zrobić i wykonać cokolwiek od Tronu będzie zalecono, choćby go to, co ma i miéć może, zdrowie i życie kosztować miało.

9) A gdyby miał nieszczęście w czémkolwiek się J. K. Mci niepodobać, pensyę swoją utracać powinien.

10) Pensya ta na żaden przepisany czas nienaznacza się, ale J. K. Mć zostawia upodobaniu swemu odjąć ją każdego czasu, gdy mu się tak będzie zdawało, miesiącem jednak wprzód ostrzegłszy o tém Trembeckiego.

Czy te żądania, które pod stopy W. K. Mci wraz z głową moją składam, przyjąć czy odrzucić raczysz Najjaśniejszy Panie, więcéj Cię o to nie importunować poprzysięgam przez zdrowie W. K. Mci przez zawsze miłą pamiątkę Tyta, Trajana, Henryka i święte ich popioły. Koniec wszystkich końców w téj materyi.

Nie był to koniec końców, ale raczéj początek żądań naszego szambelana. Tym razem jednak zlitował się król i „niektóre z przedłożonych punktów akceptować raczył." Uwolnił go przedewszystkiém od opieki Bruneta, a wszystkie długi Trembeckiego zobowiązał się sam spłacać. Z polecenia króla spisał więc Trembecki „specyfikacyę długów", którą oddał królowi na ręce Wojny.

W owym czasie tak się przedstawiały:

Długi Stanisława Trembeckiego.

Odprawa służących:

Olszańskiemu, szlachcicowi, służącemu u mnie przez lat 14 należy się	120	dukatów
kamerdynerowi	40	„
Lokajom dwom, którzy przez siedm miesięcy nowéj barwy nie wzięli, przyszłaby jakaś nagroda.		

Długi naglące:

Szubertowi, metrykantowi litewskiemu, ten exekucyę sprowadzał	190	„
au Sieur Colignon (kupcowi), ten na weksel także, i pozwy już wydał	80	„
P. Geppertowi, ten by się mógł prowizyą kontentować, weksel dany mu wychodzi na dzień 30 maja .	600	„

Christoforowi, perukarzowi, weksel na ś. Jan, ale mógłby się prowizyą kontentować	150	dukatów
au Sieur Brunet, termin na ś. Jan	100	„
Traktyerowi jednemu za dwa miesiące	20	„
— drugiemu za miesiąc, który się kończy	10	„

Długi mogące cierpieć zwłokę:

X-ciu biskupowi wileńskiemu . . . . . ,	500	„
Dembowskiemu, kasztelanowi czechowskiemu . .	500	„
Potockiemu, podkomorzemu koronnemu	352	„
Witosławskiemu, oboźnemu pol. koronnemu . .	300	„
Tepperowi dla Wilhelma Korn, xięgarza wrocław. .	115	„
Michałowi Spört	150	„
Szambelanowi Corticellemu	65	„
	3,292	dukatów

Długi z gry w karty pozostałe:

Ronikierowi, cześnikowi litewskiemu (ten ma weksel i proces przewiedziony, ale postrzegając, że już nic nie mam, czeka szczęśliwszych momentów, teraz zaś mógłby ten weksel za piątą część sprzedać przez szacunek gotowych pieniędzy) . . .	1,300	„
Kozłowskiemu, generał-majorowi	60	„
Falęckiemu, dworzaninowi J. K. Mci	30	„
Rembielińskiemu, sekretarzowi J. K. Mci . . .	16	„

Item. są niektóre zastawy, które już wykupować nie można dla wygórowanéj lichwy.

Item. Pensya, Rudnickiemu niebezpieczném prawem ustąpiona, aż do ostatniego dnia grudnia, za którą on długi niektóre przekazane już wypłacił.

Razem 4,698 dukatów

Już więcéj nie pamiętam.

Po przyjęciu wyszczególnionych tu długów na rachunek królewski, czuje się poeta „wolnym, odrodzonym, szczęśliwym” i przyrównywa swoje uczucia do radości, z niewoli algierskiéj wychodzącego jeńca”, do rozbitka „wynoszącego życie swe z wody po zatonięciu okrętu” — ale zaraz dodaje, że na swoje i swoich obejście się za walor jednego dukata nie ma na swoim majątku, i że nie rad zaciągnąć będzie zniewolony nowe długi, których już nigdy nie będzie miał sposobności zapłacić.

Stanisław August częściami tylko spłacał długi swego szambelana, skarb królewski bowiem był tak nadwerężony, że nie był wstanie całéj wypłacić należytości. Przekonywa nas o tém między innemi na-

stępująca korespondencya Trembeckiego z królem w sprawie wykupna zastawionych kolczyków.

„Najjaśniejszy Panie!

Według rozkazu W. K. Mci byłem u Łyszkiewicza kilkakrotnie, którego przecież zastawszy, takową godną ust lichwiarskich odebrałem odpowiedź, iż on, nie mając nic do czynienia z JP. Rixem, nie znajduje przyczyny udawać się do niego, ale jeżeli mu według skryptu 150 dukatów złotem oddam, tedy on jeszcze gotów kolczyki mi powrócić, chociaż były zastawne pod przepadkiem do dnia tylko dwunastego kwietnia."

Na list ten odpowiada król 30 kwietnia 1781 r.:

„Wykupiłem u Łyszkiewicza kolczyki W. Pana i odsyłam je W. Panu. Resztę powoli Ryx będzie płacił, prócz tych 3 grubszych artykułów, które też W. Pana nie naglą.

Ale jak mi we czwartki nie będziesz bywał, to i zapłacić przestanę. Ja ciebie samego chcę mieć w prowizyi.

A więc się nie gryź i nowych długów nie rób.

Przyszlij mi kwit swój odebranych kolczyków.

St. August."

Tego samego dnia przysyła Trembecki żądany kwit na parę kolczyków, zastawionych za 150 dukatów.

Częściowe jednak spłacanie długów nie polepszało sytuacyi Trembeckiego, który z każdym rokiem w przykrzejszém znajdował się położeniu. Przejęcie długów tych na rachunek królewski ciągnęło się jeszcze przez trzy lata! Poczém składa Trembecki na żądanie króla następujące oświadczenie:

„27 Lutego 1783 r. Ponieważ W. K. Mć raczyłeść wziąść na siebie dawniéj (1780 r.) wszystkie insze długi moje, a dzisiaj to dobrodziejstwo chcesz dokończyć, wyrażam więc według rozkazu Pańskiego, żem jeszcze winien:

Xięciu Generałowi Podolskiemu	300	dukatów
Opalińskiemu Wdzie. Podlas.	150	„
Chłapowskiemu Staroście Kościan. . . .	100	„
Grocholskiemu Miecznikowi koron. . . .	200	„
Bizoarowi	100	„
Suma	850	dnkatów

Oświadczam zaś i upewniam na honor, że żadnych innych długów nie mam i że zupełnie kontent jestem z téj pensyi czterdziestu pięciu czerwonych złotych na miesiąc, które ze szkatuły królewskiéj przez

pana Ryxa odbieram, oraz z tych pięciuset złotych, które JP. Blanc kasyer królewski co miesiąc mi wypłaca.

Dan w Warszawie dnia i roku jako wyżéj.

Stanisław Trembecki.

Załączając ten dokument, zaręcza królowi, że woli raczéj „wszystko cierpieć co skryte sądy boskie dopuściły na niego, aniżeli robić nowe długi"—tymczasem dowiadujemy się niebawem o nowych zobowiązaniach. Zaczęło się od tego, że jeden z dawnych dłużników (Bizonard) mniéj zamożny i mniéj do poczekania skłonny, otrzymawszy od Franciszka Ryxa, kamerdynera królewskiego, odpowiédź, że tenże nie ma rozkazu zaspokojenia go, upomniał się o swą należytość w drodze sądowéj.

Proces przewiedziony skończył się egzekucyą ruchomości Trembeckiego. Do licytacyi jednak nie przyszło, król bowiem wydał „deklaracyę przyśmierzenia tych, którzy go słusznie napastują." Dziękując za nią, powiada dowcipnie:

Troskliwy i o to, co po moim będzie zgonie, już dawno zamówiłem sobie z dobroci W. K. Mci sprawienie mi pogrzebu, już i kilkanaście tysięcy mszy św., mam sobie asekurowanych, jeszcze tylko o to pokornie supplikować mi zostaje, abyś Miłościwy Panie na kamieniu, który niegdyś przyciskać będzie moje zwłoki, to krótkie z pisma św. kazał mi wydrożyć *epitaphium*: *Et non cognoverunt eum.*

Ledwie odetchnął z téj przeprawy, zjawia się „zlecennik" wojewody podlaskiego z nową egzekucyą, a to z następującéj przyczyny: Kamerdyner królewski Ryx oświadczywszy mu, że będzie dług ten spłacać w miesięcznych ratach, dodał: teraz W. M. Panu daję 10 dukatów, drugie tyle późniéj, jeżeli taki odbiorę rozkaz, a tym czasem jeżeli P. Trembecki umrze, albo... to nic nie dostaniesz.

Rozżalony takiém traktowaniem poeta skarży się przed królem na Ryxa i prosi, aby interes przez niego „zepsuty" zechciał naprawić, bo egzekucya do dwóch dni tylko zawieszona.

Na list ten odpisuje król Trembeckiemu:

„Ani W. P. ani ja pokoju mieć nie będziemy nigdy, kiedy tym bajaczom i kłamcom wierzyć będziemy. Wierutny fałsz W. Panu powiedział ten z Podlaskiego człowiek i najlepszym dowodem tego fałszu będzie kwit jego za odebraniem pierwszéj kwoty miesięcznéj, za którą wszystkie poślednie następować będą."

Bizonard—pisze król na innem miejscu—w tém się z prawdą minął gdy powiedział, że mu Ryx kazał W. Pana pozywać. Tylko tyle prawdy było, że Ryx jemu i Molskiemu i od wojewody Podlaskiego

przysłanemu powiedział: Wasze długi do P. Trembeckiego przejął król, ale ja jeszcze nie mam rozkazu do aktualnéj płacy. Otoż dziś już ma rozkaz odemnie Ryx płacić tym trzem po 10 dukatów na miesiąc *usque ad extinctionem*. Więc W. Pan już bądź spokojny i względem tych trzech i względem drugich jeszcze pozostałych W. Pana dłużników w tejże ostatniéj W. Pana notacyi wymienionych, którzy, czyli który, gdy się W. Panu przykrzéć będą, do Ryxa ich W. Pan odeszlij.

Król miał najlepsze chęci — skarb królewski jednak był już w owym czasie w opałach. Zaledwie więc uporał się poeta z ostatnim „gwałtownikiem”, aż tu nowy wyrastał mu nieprzyjaciel.

Oto wytoczył mu proces o zapłacenie długu Chłapowski, który miał być również zaspokojony przez skarb królewski, a którego odesłał z kwitkiem kamerdyner królewski. Tymczasem nie chciał Trembecki dopuścić do egzekucyi, zasłaniając się tém, że rzecz ta należy do skarbu. Wydano więc przeciwko niemu pomoc wojskową. Donosi o tém poeta w liście z 10 sierpnia 1783 r., prosząc o ułożenie się z dłużnikiem.

Z polecenia króla, który i tę sprawę jeszcze załatwić kazał, donosi szambelan Corticelli, że dopełnił rozkazu królewskiego. „Gumiński (Chłapowski) kredytor J. Pana Trembeckiego dzisiaj ułoży się z Panem Ryxem“.

Ale król nie chciał i nie mógł wdawać się w układy z wszystkimi dłużnikami, których co rok przybywało więcéj.

Nie otrzymawszy żadnéj w tym względzie odpowiedzi, chwyta się poeta ostatniéj deski ratunku: postanawia zostać księdzem.

Listy pisane w téj sprawie do króla podaję tu w całości, rzucają bowiem jaskrawe światło na charakter poety, który nie wzdrygał się przed żadnym środkiem, prowadzącym do poprawy swego położenia.

„Postanowiłem—pisze do króla—o kontinuacyę przez rok jeszcze cały zwykłéj pensyi W. K. Mci upraszać, w tym zaś przeciągu miałem się starać o służbę u lepszego Pana, a ponieważ ich dwóch takowych nie ma, bez komentarza łatwo W. K. Mć wyrozumiałbyś, iż Bogu w służbę myśliłem się poświęcić, a tak wkrótce skarbowi W. K. Mci przestałbym być uciążliwym. Z najgłębszym respektem bardzo supplikowałbym, abyś W. K. Mć to moje przedsiewzięcie potwierdzić raczył. Odmiana stanu mego, przynajmniéj przez kilka dni dziwną by się zdawała tym, którzy znali moje do tolerancyi przywiązanie. I gdyby koniecznie wyciągano po mnie dowodów gorliwego katolicyzmu, podjąłbym się o wysoki zaklad, do tutejszego ludu powiedziéć kazanie, po wysłuchaniu którego zarazby tłuszcza poszła burzyć kościół Ewange-

licki, niedawno kosztownie wystawiony. Za ten śmiały wyraz nieskończenie W. K. Mci przepraszam."

Do téj propozycyi na pół żartem przedstawionéj 1778 r. powróci wolteryanin za lat parę i przypuści szturm do duchownéj twierdzy o—tłuste beneficyum.

Po tylokrotnych naprzykrzaniach się nie ma już śmiałości apelowania do szkatuły królewskiéj, do któréj miałyby prawo bardziéj nad niego potrzebujące osoby — chce się więc poświęcić stanowi duchownemu.

Oto jak ten krok swój pozoruje w następującym liście do króla, przyrzekającym skruchę i poprawę.

Przedwieczna Opatrzność różne ma sposoby do naprowadzania grzesznych na drogę szczęśliwéj wieczności, tak i mnie błędnego niegdyś niedowiarka, przymusem na nie ciągnie. Po długim więc opieraniu się i rozmyślaniu, postanowiłem mundur kościelny na się włożyć. Wziąwszy sobie za niezłomną maksymę o rzeczach, nad pojęcie wyższych, nigdy prawie odtąd nie mówić, a powinności moralne jako najściśléj dopełniając, zbudować tych, których dawniéj mogłem zgorszyć przykładem. Waszéj Królewskiéj Mości zaś suplikuję pokornie, abyś pensyą moję skasowawszy, beneficyum jakowe, gdy zawakuje *in aequivalenti* konferować mi raczył. W którymkolwiek ubiorze, aż do zgonu mego z całéj duszy służyć W. K. Mci mam ochotę, a może się i siły znajdą.

W czasie tych starań—około 1780—staje się poeta mniéj natrętnym i mniéj potrzebującym. Nie chce rzekomo przyjąć podwyższenia płacy ze skarbu królewskiego. Nawraca do skromności i wstrzemięźliwości, które „wiekowi jego przystoją." Mniéj czuje goryczy i żalu — więcéj chrześciańskiéj rezygnacyi. Wszystko to było udane, nieszczere, wymuszone. Spodziewał się szambelan na téj drodze złowić jakąś intratną prebendę.

Istotne pobudki tego kroku odsłania dopiéro list następujący:

„Czynię cnotę z potrzeby, wkładając na się liberyą Jezu-Chrysta. I po dopełnionych publicznie obrządkach macierzyńskiéj religii około Wielkiéj Nocy odziewam się w czarne suknie, już nie mając ich koloru odmienić. Supplikuję przy stopach W. K. Mości, aby to z przystojnością stać się mogło, gdyż strach mię przechodzi, abym się pociesznym nie uczynił, a dla wielu racyi właśnieby mi trzeba takim się zdawać, i owszem przeciwnie.

Nigdy wyroki z większym słuchane uczczeniem, ani pilniéj w pamięci ludzkiéj chowane nie były, jak są u mnie wszystkie W. K. Mci słowa. Gdy więc upraszałem pokornie i approbacyą moich zamie-

rzeń, przy jéj pozyskaniu takową jeszcze miałem honor usłyszeć przestrogę: „*Qui Episcopatum desiderat, bonum opus desiderat*—Ty się jednak tego nie spodziewaj, gdyż jest wielu przed Tobą zasłużonych, równie i tych, którzy byli prezydentami, trzeba naprzód kontentować, oficyałem, ani téż sufraganem być nie możesz, ponieważ jest wielu, którzy dawniéj od ciebie tę sukienkę noszą. Powiadam ci to wyraźnie, dla tego, abyś potém nie mówił, że ci król co obiecał, a tak się nie stało."

„A gdy na on czas rzekłem, iż spodziewam się wyjednać sobie koadjutoryą od jednego z Opatów w Krakowskim, na to dana mi była odpowiédź, iż to więcéj od W. K. Mci, niż od opata zawisło, tego mi zaś dozwolić nie możesz tak dla mnogości pretendentów, jako i przeto, iż jest projekt przyłączenia tych Opactw *ad massam.*

Jednakże kanonii jakowéj dla *distinctorium* najdaléj za lat kilka mogę się spodziewać.

Należy ile możności przewidywać przyszłość, a że od więcéj daleko osób, niżbym sobie życzył, znany i wspominany jestem, moje przebranie się będzie bez wątpienia materyą kilkudniowéj tego miasta konwersacyi, którą chcąc sobie wyobrazić, zdaje mi się, że już słyszę mówiących: Otóż ów nasz T., któregośmy znali przez lat dwadzieścia generałem, przez lat jedenaście szambelanem Stanisława Augusta, starostą sądowym przez dni kilka, przez osobliwsze zdarzenie, Starostwo Nowomiejskie dwa razy było mi dane, a nigdy nie przyszedłem do niego. Senator najgórniejszego Województwa desygnowany w roku wieku swego 27, komisarz wojskowy, *voyageur* siedmioletni, bliski krewny książąt krajowych i zagranicznych udzielnych, kawaler orderowy, teraz w piątym lat swoich dziesiątku został klerykiem. A to dlaczego? Bo mu obiecano za lat kilka kanonią, nie wiemy jednak czy Inflantską, czy Smoleńską, czy inną; w téj tedy nadziei kazał sobie środek głowy ogolić—a czemuż nie całą. Dołożą może ci, którzy się lubią z przypadków bliźniego rozweselać.

Takowych ludzi zdanie nie wiele obchodzić mię powinno. Ale niktby się podobno temu nie zadziwił, gdybyś W. K. Mć człowieka nie ciemnego nie najszczuplejsze mającego pojęcie, a w najwyższych stopniach gorliwie sobie przywiązanego (jako się to już pokazało i pokaże) przez wzgląd na przeszłe zasługi, jeżeliby jeszcze świeżemi i niepospolitemi znacznie je powiększył, uczynił kiedyś potem biskupem.

Masz Najjaśniejszy Panie przykład tego w swojéj familii. Władysław Jagiełło, przodek W. K. Mci, mając pierś wdzięczną i sposób myślenia prawdziwie królewski, Zbigniewa Oleśnickiego, sędzica krak. z stanu żołnierskiego w duchowny przeniósł, a pomnąc, że ten Oleśnicki w złym razie go był poratował, nie tylko mu bardzo wysokie

dał biskupstwo, lecz i do kardynalstwa dopomógł. Od pretensyi do biskupstw, sufraganii, oficyalstwa, opactwa i wszelkich urzędów koronnych szczerze odstępuję na zawsze, Dawaj je W. Kr. Mć. tym, którzy przywiązanie swoje i wierność mają dopiéro do zamiany za nie.

Niechbym przez wielowładną protekcyą W. K. Mci był uczyniony koadjutorem dwóch probostw w Krakowskim, katedralnym, którym jest teraz Kicki arcybiskup lwowski, i świętego Michała, którym nie wiem, kto jest od W. K. Mci uczyniony, a choćby miał dwudziestą lat mniéj odemnie, to mi jest wszystko jedno. Te dwa beneficya wraz złączone przynoszą blisko tyle rocznego dochodu, co trzecia część probostwa Trockiego, taką przynajmniéj mam informacyę.

Jeżeliby zaś przypadek zdarzył, że którekolwiek z tych dwóch beneficyów w moje dostały się dzierżenie, na on czas pensya, którą mam z szczodroty W. K. Mci, stałaby mi się wcale nadpotrzebną, i ustaćby powinna.

Dopraszałbym się tylko w łasce W. K. Mci o przytulenie jakowe maleńkie w zamku lub jego okolicach, gdyż tego nadewszystko pragnę, abym W. K. Mci do zgonu mego służąc, ostatnie wspomnienia miał o łaskach W. K. Mci, ostatniemi słowy błogosławił imię najlepszego z monarchów, a siwą, łysą, i zmordowaną pracą, a nie mającą już się więcéj podnieść, głowę, blisko stóp pańskich położył, które z najgłębszym całuję respektem."

W parę miesięcy późniéj dnia 20 marca, jak się domyślam 1780 roku, wraca znowu do tego przedmiotu, usprawiedliwiając się przed królem, dlaczego nie odnosi się w téj sprawie do ks. Poniatowskiego, biskupa płockiego, do którego go odesłał król.

Książę ma serce szlachetne i wdzięczne, a może są tacy duchowni, którym on jakowe winien jest obowiązki, albo którym swoję dawniéj przyrzekł uczynność. Mnie zaś nic winien nie jest, ani mi co kiedyżkolwiek obiecał. Gdyby więc przez względy na tamtych swojéj odmówił mi pomocy, uczyniłby rzecz bez wątpienia sprawiedliwą. Ale ta sprawiedliwość mnie, człowiekowi osiwiałemu przed czasem, przez długie i wielkie niegdyś ucierpienia, zdawałaby się ledwie, że nie nakształt okrucieństwa. Nie godzi mi się więc hazardować prośby mojéj do Księcia JMci.

Wolę się w téj mierze spuścić jedynie na dobroczynność W. K. Mci, na któréj się nigdy nie zawiodłem. A jeżeli przyzwolenie książęcia JMci biskupa jest koniecznie potrzebne, Panie! który za mordercami twemi mówiłeś do narodu tak wymownie i przekonywającym sposobem, racz nieżałować kilku słów za prawdziwie gorliwym sługą, gdy będziesz miał konwersacyą z bratem twoim.

Stopy W. K. Mci z najgłębszym całując respektem, supplikuję pokornie, aby ta rzecz koniec już wziąść mogła, przez co byłbym uwolniony od przykrości myślenia nad sobą samym.

Prosi więc króla „który za mordercami swemi" wstawiał się do narodu, aby przemówił za nim do księcia biskupa.

Po otrzymaniu odpowiedzi króla, że ks. Poniatowski przeciwny jest prośbie Trembeckiego, składa poeta swoje wyznanie wiary w następującym liście. Zaczyna od roztrząsań swego sumienia. „Jak długo w Warszawie żyjąc, niespodziewam się, aby kto przeciw moim obyczajom swoje przed W. K. Mcią nosił zażalenia, a zatém z téj strony napastować mię nie można. Pilny dopełniacz przykazań Dekalogu, które oraz i doczesną społeczności gruntują pomyślność, może tylko przeciw jednemu z nich zdarzało mi się wykroczyć. To pewna, że takowe przestępstwo w dawnym zakonie śmiercią ukarane bywało. Ale nasz Zbawiciel łagodniejsze stanowiący prawo, miłosierny w podobnéj sprawie wydał dekret: *Projiciat lapidem qui est sine peccato.*

Pozór tedy do szkodzenia mi ten tylko zostaje, iż niby mają mię niektórzy za niedowiarka, ale jakże to słusznie zadać można człowiekowi w osobności żyjącemu, który ledwie na trzech, albo czterech domach przez rok bywa, a w nich zapewne o wiarach nic nie mówi. Byłżem kiedy niedowiarstwa apostołem? gdzież są moi prozelyci? czy pisałem kiedy przeciw panującéj w kraju religii? gdzież są te druki? kto czytał te rękopisma? z myśli téż kogo sądzić na pamięć, byłoby przeciwko wszelkiéj znanéj sprawiedliwości, a zatém zarzut nie jest gruntowny.

Dajmy to, że o niektórych mniejszéj wagi artykułach mogłem mieć kiedy niepewność. To bynajmniéj do stanu duchownego przeszkadzać mi nie powinno, jak prędko się od téj wątpliwości usuwam. Jeżeli mi będą pokazane prawa kościelne broniące takowym wstępu, chcę być z pod ich wyłączonym surowości, ale pokazane być nie mogą. Gdyby był książę raczył swojéj poradzić się pamięci, znalazłby był inaksze wcale przykłady.

Ś. Paweł ognistym był chrześcian nieprzyjacielem, a któż potém więcéj nad niego nawrócił narodów!

Ś. Augustyn w Manichejskich wychowany błędach, najpierwszą OO. Ś. jest ozdobą. Mamy pod oczami Siestrzeńcewicza, urodzonego i wychowanego w herezyi, to jednak nieprzeszkodziło mu być potem kanonikiem wileńskim i arcybiskupem mohylowskim.

Kościół ś. jest to matka łaskawa, z otwartemi przyjmująca rękami powracające na swe łono dzieci. Byłby sobie książe przypomniał

i owego z Ewangelii Pasterza, który opuszcza dziewięćdziesiąt i dziewięć owieczek swoich, a idzie szukać jednéj zbłąkanéj.

Jeżeli jestem niedowiarkiem, powinność pasterska byłaby starać się o moje nawrócenie. A jeżeli wyznaję się nim nie być, tedy do jakiegożkolwiek ustanowienia się czynić mi przeszkody jest przeciwko fundamentalnemu religii prawu. *Quod tibi fieri non vis, alteri ne feceris.* Te racye byłyby nie najgorsze, gdyby tu co racye ważyć mogły. Lecz jak prędko niechęć księcia JMci, prawdziwie nie wiem skąd, ku mnie urosła, trzeba jéj ustąpić chociaż poniewolnie. Ja będąc świeckim, mogłem użyć czasem w pisaniu wolności, a to mi teraz za straszliwy kryminał jest poczytane. Mój zaś kolega czwartkowy, Naruszewicz, będąc od tylu lat zakonnikiem, tłumaczył z Woltera księgę „Ecclesiastic", gdzie jest cała religia atakowana: tłumaczył najswywolniejsze powieści i one daleko sprośniejszemi wyrazami niż są w oryginale upluskał, to jednak w duchownym i już wtenczas biskupie było nienaganne. Jakowe obejście się przywodzi mi na myśl, nad to wiele upokarzającą mię, ale jednę z najpiękniejszych bajeczkę [1]).

Kiedy więc tego koniecznie potrzeba „święte przyrzeczenie W.K. Mci, dane mi niedawno, z najwyższym powracam uczczeniem. Zostanę się jak jestem, z tego przynajmniéj cieszący się, że żadnéj a żadnéj w życiu moim nie dałem księciu JMci do nieukontentowania skargi, a zaś W. K. Mci o jedną tylko bagatelkę mam jeszcze jako najpokorniéj suplikować, abyś mię już na czas dalszy od bywania na czwartkach uwolnić raczył. Gdyż to zawsze odnawiałoby mi boleść i pamiątkę, iż przeto jedynie ściągnąłem na siebie prześladowanie, żem kiedykolwiek miał nieszczęście do literatury się mieszać.

Stopy W. K. Mci z najgłębszym całuję respektem.

Przy końcu 1783 r. wraca znów do tego samego przedmiotu. Widocznie leżało mu na sercu. Przypomina więc królowi z przekąsem jego przyrzeczenia, których nie ziścił: że 1) już w czasie dwóch lat dasz mi W. K. Mć w chlebie duchownym *aequivalens* mojéj pensyi, 2) iż ta pensya w miarę dawanéj *aequivalencyi* częściami być miała odejmana, 3) abym nigdy nie spodziewał się być biskupem, opatem, ani sufraganem.

Wszystkie te propozycye z prawdziwą przyjąłem chęcią, gdyż ja potrzebuję chleba troszkę nie biszkoktów. Lecz i wtedy pokazało się, iż mój kontrakt z W. K. Mcią, jest to kontrakt Sarny ze Lwem, to jest z najwyższą mocą nieudolności ostatniéj. Książę Imci biskup płocki

---

[1]) Voyez la fable de la Fontanie. Les animaux malades de la peste.

obwinił mię przed W. K. Mcią o jakowąś herezyę, a zatém wypadało i ten raz złamać przyrzeczenie pańskie, bo *hereticis non est servanda fides*.

Gdyby mi książę Imć dopomagać nie raczył, aż póty możnaby podciągnąć pod delikatność kapłańską. Ale czemu szkodzić człowiekowi względem siebie najniewinniejszemu? Starego i wiernego sługę królewskiego, na którego łonie, wśród zbójców możnaby się przespać, chciéć rozmyślnie przyprawić, o wielkie jakie nieszczęście, dla nie dość dobrze wyrozumianych skrupułów, nie jest że to do ruskiéj cokolwiek podobne maksymy: lepiéj Mazura zabić, niż we środę post złamać.

Tak to fanatykiem chciał mię książę znajdować? *Pater dimitte illi.* Trzebaby raczéj dzięki niebu czynić, że nim nigdy nie byłem, bo możeby inaczéj rzeczy chodziły, niż dziś idą. Świątobliwość i nabożność są bez wątpienia czci godne; ale przy nich godzi się i na to cokolwiek dać baczności, że jest podobno sędzia żywych i umarłych, nie bardzo lubiący czyny oddających złym za dobre.

Cóż tedy mam czynić ubogi karzeł z opprimującym mię olbrzymem? nic innego tylko cierpiéć. Będąc od księcia JMci prześladowanym bez przyczyny, (gdyż ja przeciw niemu ani myślą nigdy nie byłem zgrzeszył) przystałoby mi teraz żal do niego chować nieśmiertelny.

Jednakże od téj godziny zapominam o wszystkim, życząc Mu wszelkiego dobra nieskończenie więcéj, aniżeli mnie samemu, a to prawdziwie szczerze. W jego przeciwko mnie czynieniu widzę tylko instrument Opatrzności, zrywający ostatnie węzły mogące mię jeszcze przywiązywać do ziemi, na któréj gościem tylko znać się powinienem, i być zawsze do odejścia gotowym. Wreszcie książę JMć, pełnił może powinność swojéj ciemnéj sukni (która bodaj prędko w jaśniejszy zmieniła się kolor), ale W. K. Mć nosisz paludament, który inne podobno inspiruje zdania.

Zginie ufność między narodem ludzkim, nikomu na całéj ziemi zawierzyć nie będzie można, kiedy słuszne przyrzeczenia królów, nawet dobrych i łaskawych, nic nie będą znaczyły.

Nigdy ja przed W. K. Mcią hypokrytą nie byłem, i przed doniesieniem księcia JMci o mojéj mniemanéj herezyi, sposób mego myślenia był W. K. Mci zupełnie znajomy. Otwartość moja przed W. K. Mcią szkodzi mi, z niéj jednakże nie obiecuję się poprawić. Ale w tym miejscu należy mi przed W. K. Mcią Panem moim miłościwym z mojéj usprawiedliwić się religii, którą więcéj na uczynkach niż na słowach zasadzam. Urodzony z rodziców katolików rzymskich, od nikogo o apostazyą posądzany nie byłem; ktoby mi zaś czyją przypisywał he-

rezyą, musiałby mię nie znać dobrze, wstydziłbym się cudze kopiować błędy; a gdyby i na mnie przyszła kolej koniecznie błądzić, byłbym może herezyarchą, ale heretykiem nigdy. Mnie zmyślać, nie do twarzy jest.

Rzetelnie więc przed W. K. Mcią powiadam, iż nietylko szanuję wszystkie prawdy, które kościół święty do wierzenia podaje, ale też o żadnéj z nich nigdy w życiu moim nie wątpiłem.

A jeżeli będąc człowiekiem świeckim, człowiekiem ośmnastego wieku, żyjącym na dworze króla Filozofa, inaczéj zdawałem się myśléć niźli mniszy czternastego wieku, tego by mi za złe liczyć nie należało. Skłonność moja do tolerancyi nie była naganna, bo mieszkam w państwach W. K. Mci, gdzie dziewięć religii od dawnego czasu ustanowione są.

Wszakoż gdybym był duchownym, byłbym musiał obowiązki stanu mego dopełniać, kto czyim żołnierzem jest, za jego sprawą walczyć ma. Jeżeli zaś cokolwiek nabytych miałem wiadomości, to mi szkodzić nie powinno było. Mający wzrok dobry, ślepego wyśmienicie naśladować potrafi, ale ślepy widzącego nie wzajem.

Skąd zaś ta suppozycya o mojéj wynikła heterodoxyi, ledwie dojść mogę, że to ten fatalny czwartek pretekstów staréj mody przeciwko mnie dostarczył.

Przez jakoweś przeczucie, zawszem ja tego zgromadzenia unikał, na którym bywać W. K. Mć, swym powtarzanym przymuszałeś mię rozkazem. Przynaglany od W. K. Mci pisałem czasem, produkcye moje zawsze W. K. Mci najpierwéj prezentując, te jako prawdziwy literatury protektor nietylko czytać i aprobować, ale też swoją ręką i swoim niezawodnym gustem „poprawiać", miłościwy panie, raczyłeś. Więc jeżeli się tam co zdrożnego znajdowało, nie przystałożby raczéj na dobroć i łaskawość pańską wymazać to z mego pisania, aniżeli potém wynikające stąd, przeciw mnie przyjmować pozory?

Apostołem ja nigdy nie byłem, niechby każdy myślał, jak mu się podoba. To prawda, że nigdy nie faworyzowałem fanatyzmu, bo cierpiéć go nie mogę, a choć mię to bardzo wiele kosztuję dozgonnym jego nie przestanę być nieprzyjacielem. Czemu to? Ściągnij miłościwy panie rękę do swojéj świętéj głowy, a przy dzisiejszym anniwersarzu namacasz tam jego skutki i moję ekskuzę.

Cała ta sprawa miała akademiczne tylko znaczenie — ks. biskup Poniatowski nie mógł zezwolić, aby znany z swego rozpustnego życia i z swych wolnomyślnych poglądów poeta został bez żadnéj zmiany „duchownym." Trembecki zaniechał więc niebawem téj „szalonéj myśli." Nie przestał jednak w najdrobniejszéj sprawie udawać się na-

tychmiast do króla. Świadczy to o serdecznych stosunkach między nimi, a także o natręctwie poety, a słabości króla. Oto np. nie chce kasyer królewski wypłacić Trembeckiemu zaliczki 100 dukatów, tylko pod warunkiem, aby mu cztery kwity na tyleż miesięcy dał z pensyi po 500 zł. zaraz więc udaje się poeta w téj sprawie do króla. Aby godnie wystąpić na przyjęciach czwartkowych, prosi o letnią odzież; król kazał mu więc przysłać w prezencie piękny garnitur, za który dziękując, powiada szambelan, że go ku służbie Jego Królewskiéj Mości niechybnie zagrzeje."

Innym razem prosił o „haftowaną szatę", którą otrzymał, to znów błaga aby mu z wozowni królewskiéj wydano „jakowy stary i nadpotrzebny gracik", któryby go mógł po mieście przytoczyć, co mu przypomina przysłowie: „kto na czyim wózku jedzie" i t. d.

Kiedy książe biskup płocki miał się przenieść do pałacu biskupów krakowskich, prosi króla o kącik w apartamentach, które biskup w zamku zajmował. Niewiadomo jednak czy prośba jego wysłuchaną została.

Jakkolwiek z natury trochę leniwy, rzadko kiedy w cudze mięszał się interesy, to przecież przez wzgląd na pamięć stosunków przyjacielskich z Ogrodzkim, nie mógł odmówić prośbie jego krewnemu, i wstawił się za nim do króla.

Na prośbę kasztelana Trockiego za Czarnkiem miał król polecić kanclerzowi koronnemu, aby wybadał pannę Kubicką siedzącą w klasztorze, czy związki, które między nimi zaszły i przysięgi wzajemne (lubo jeszcze bez świadectwa kościelnego) mogą być rozstrzygnione i czyli obietnice, „pogróżki i klasztorne więzienie nie zmieniły chęci téj panny."

Kanclerz koronny powiada Czarnkowi, iż dopiéro w ten czas królowi opowie, gdy go się to zapytasz. Zanosi więc Trembecki prośbę do króla, aby „to pytanie dziś uczynił." Z innych podobnéj treści przytaczam list polecający komedyę Zabłockiego.

15 Aug. 1783.

Najjaśniejszy Panie!

„Zabłocki, człowiek niebogaty i literat do lepszéj klasy należący, który już wiele napisał i dosyć dobrze, obligował mię, abym komedyą Amphitriona imieniem Jego Kr. Mci prezentował.

Nie mogąc się takowéj prośbie odmówić, to dzieło jego wraz

z głową moją mam honor złożyć pod stopy W. K. Mci, które z najgłębszym całuję respektem.

St. Trembecki.

W całéj korespondencyi z królem, ten i zaledwie kilka jeszcze listów poświęconych jest sprawom nie osobistym. Poeta nasz bowiem pilnował przedewszystkiém własnéj skóry. Jeszcze mniéj w nich szczegółów odnoszących się do jego twórczości poetyckiéj. Pisał mało a jeszcze mniéj o tém wspominał. Kilka jednak wzmianek napotkać można w korespondencyi z lat dawniejszych.

Oto prosząc króla o usprawiedliwienie, że przez pewien czas nie będzie mógł bywać na czwartkowych zebraniach, powiada przy końcu roku 1776: „Nie pisząc nigdy dawniéj książek, nie wiedziałem jak wiele ta rzecz wyciąga czasu. Obawiam się bardzo, abym nie przyniósł musztardy po obiedzie, a tym sposobem utraciłbym i pracę i zasługę.” W przypisku zaś do tego listu dodaje ciekawy szczegół, odnoszący się do genezy przekładu „Syna marnotrawnego” Woltera.

P. S. „Syn marnotrawny” będzie poprawiony i objaśniony we wszystkich miejscach od W. K. Mci naznaczonych. Pójdzie on pod prasę zaraz po Nowym roku, pod dozorem podkanclerzego korony, który ten manuskrypt odemnie komedyantowi darowany, kupił. Ledwie się ośmieliłem z między moich papierów, ten na widok dobyć kawałek i to szczególnie dla tego, iż ma znaczną analogię z niektóremi zdrożnościami memi i łaskawością W. K. Mci. Gdyż kiedym był za winnego uznany, dobrotliwie Najjaśniejszy Panie odpuścić mi raczyłeś.

Przy sposobności wakansu, o który się ubiegał, a który odmownie został załatwiony, skarży się znowu przed królem — zapewniając o zupełnéj rzekomo rezygnacyi—że on „do żadnéj a żadnéj rzeczy nie jest wpisanym pretendentem”, przyczem wypomina królowi, że dla dopełnienia powinności wobec tronu większą część fortunki swojéj stracił. Zastrzega się, że nie wspomina o téj utracie, aby jéj miał żałować, owszem i dziś jeszcze chętnie miliony—gdyby je posiadał—poświęciłby ku usłudze Jego Królewskiéj Mości, wydaje mu się jednak zgodne z sprawiedliwością i miłosierdziem króla „aby miał cokolwiek wygodne życie, aby je mógł kochać, aby go sobie do reszty nie obrzydził.”

Wsparcie, które pobiera ze skarbu królewskiego, byłoby na inném miejscu więcéj niż wystarczające, ale w stolicy, gdzie wszystko dwa razy tyle kosztuje, on cierpi niedostatek. Zapewnia, że w zbyt-

kach upodobania nie ma, nie jest jednak cynikiem i baczyć musi na zachowanie „jakowéjś przystojności.”

Oto np. danego mu od króla „kawalerskiego zaszczytu” (orderu św. Stanisława) nie godzi się po mieście nosić, ale „wozić”—potrzebuje więc powozu. W czasie uroczystości dworskiéj miał na dany rozkaz „aby się u dworu u sukni św. Stanisława stawił, w te dni największa w sercu poety była gala, ale „grzbiet jego nie mógł być tylko powszednim okryty ubiorem.” Mniejsza o to że taksy, należącéj się od tego zaszczytu nie zapłacił, gorsza dla niego, że nie miał futra na zimę. Trzeci rok dopiéro temu, jak mu król darował piękne futro lecz myszy, których w mieszkaniu jego pełno, wierzch mu nadgryzły, a włóczące się za nim mole, tak włosy podcięły, że już téj odzieży używać niepodobna. „I te drobne stworzenia woła zgorżkniały poeta — przykładają się do moich klęsk.”

Kiedy król Stanisław August skargi i prośby Trembeckiego lekko traktował i ze względu na jego „chorą” lub „poetycką” jak go delikatnie nazywał — głowę nie brał na seryo, dotknięty tém poeta robi obrachunek całego stosunku swego do króla, przyczém nie szczędzi mu ostrych przymówek: „Zgadnąć niepotrafię — powiada—czém się to dzieje, iż od początku dotąd, pod arcyłaskawym W. K. Mci dla wszystkich innych panowaniem wlokę życie smutne i nieprzestannie gorzkie, którego koniec może będzie bardzo dziwny.

Supplikowałem że kiedy W. K. Mci o dostojeństwa?

Czyniłem że jakie kroki do nabycia bogactw? Nigdy. Prośby moje zawsze były jednakie, a na tém się kończyły, abyś miłościwy panie albo obmyślić, albo dopomódz mi raczył do sposobów, którémibym subsistencyą moję mógł miéć upewnioną do zgonu.

Uznałeś był W. K. Mć kilkakrotnie słuszność tego żądania, approbowałeś sposoby, dałeś mi na nie swoje przyrzeczenia, lecz do ziszczenia ich nie przyszło. Jak wiele to było, powtarzane razy — opuszczam.

I tak, tedy miłościwy panie, nie tylko mi W. K. Mć w méj ojczyźnie, do niczego nie raczyłeś dopomódz, aleś mi wszelkie do wyjścia z niedoli, poprzecinał ścieszki. To jednak pewna, że W. K. Mć zawsze jakowe racye przyłączyć mi raczyłeś. Były racye, dla których mi W. K. Mć nie żenić się zaleciłeś; były, dla których nie mogłem być żołnierzem, były dla których nie mogłem być kapłanem, były, ażebym nigdy nic nie miał i nigdy niczém nie był.

Wszystkie te racye przekonywały mię wielce przeto, iż ich król i pan mój używać raczył. Trwało to nie tygodni, nie miesięcy, ale lat niezmiernych przeszło czternaście. Od tak długiego trzymania mię

nad bezdenną przepaścią, nie dziw, że głowa moja poczyna się zawracać, i stąd to idzie podobno, iż W. K. Mć znalazłeś ją poetycką.

Po tym wszystkim, podobało się W. K. Mci podyktować mi skrypt i kazać się podpisać, że jestem zupełnie kontent. Jeżeli miłościwy panie, bierzesz skrypta od tych, którycheś szczęśliwym uczynił, to niemi archiwa musisz mieć napełnione, lecz jeżeli odemnie tylko samego, to te uszczęśliwienie zupełne będzie troszkę podejrzane, komu zaś takowe pismo, czy sumieniu W. K. Mci czy mnie, czy sędziemu, czy potomności imponować ma, nad tym się nie zastanawiam. Nie jestem ja tak od Boga opuszczony, abym nie był w stanie innemi dowodami okazać W. K. Mci zupełność mego ukontentowania, nie zaś takim dyktowanym skryptem.

Ale sprawiedliwy królu i panie mój, obacz, z czego to ja mam być tak zupełnie kontent. Czy z tego, że będąc z równym do wszystkiego (z innemi poddanemi W. K. Mci) urodzony prawem, jestem od wszystkiego oddalony? Czy z tego, że skąd naturalnie pomocy należało mi się spodziewać, stamtąd właśnie wszystkie dla mnie wychodziły przeszkody? Czy z tego, że będąc z przyrodzenia najniezdatniejszym do prośby, przymuszany jednak jestem prośbami memi daremnie naprzykrzać się W. K. Mci, a może i narażać. Czy z tego, że mi tu zawsze nóż na gardle trzymają? Czy z tego, że mi już jest upewniona prawie śliczna ekspektatywa; gwałtowna śmierć, albo sto razy gorsza od niéj mizerya? Co jeżeli tak jest, zdaje się, iż mi W. K. Mć, na to kazałeś się podpisać co ani w myśli W. K. Mci, ani w sercu moim, ani w rzeczy naturze być nie może.

Aby osłodzić zbyt ostry wyraz owych skarg i żalów nie omieszka poeta dodać pochwały swemu Monarsze, przedewszystkiém za to, że „człowieka—jak się mieni—przez zbytnią odludność zdziczałego, przeciwnościami ustawicznemi drażnionego, nie umiejącego ani języka ani obyczajów dworskich”, na swoim jednak dworze „tolerował, długi płacił i utrzymywał, o czém gdyby zapomniał, byłby najpodlejszém ze zwierząt. Nie chce on w pałacach mieszkać, ubierać się w złotogłów, zamorskiemi karmić się potrawami, ale pragnie mieć zaspokojone najniezbędniejsze potrzeby do życia, aby deszczem, głodem i mrozem zabity nie był”, aby nie stał się urągowiskiem szyderców, którzyby mu wyrzucali w nieszczęściu: „Otóż tobie przyjacielu królów.” Po takiém nastrojeniu St. Augusta prosi go, aby mu pozwolił dożywocie t. j. pensyę którą pobiera ze skarbu „przelać na inną osobę.” Spodziewa się znaléść „chrześcianina”, któryby mu dał za nią wartość jéj czteroletnią.

Takowa sumka byłaby procentem od kapitału, który miał wchodząc w służbę dworską, a którego nigdy nie pożyczył królowi. Nie naprzykrzałby się w takim razie żadnemi prośbami, na co ofiaruje „przysięgę, kaucyę, albo parol honoru" i przedkłada następujące pismo królowi do podpisu:

„Przez wzgląd na zasługi urodzonego Stanisława Trembeckiego podkomorzego naszego nadwornego, onegoż w przeciągu roku jednego od daty dzisiejszéj chlebem dożywotnym opatrzyć deklarujemy, *in aequivalenti* pensyi, którą z hojności naszéj królewskiéj ma. Jeżeliby jednak dla jakowych okoliczności, w czasie roku jednego, do tego nie przyszło: tedy temuż urodz. Trembeckiemu, pensyą, którą z łaski naszéj ma, na inną którążkolwiek osobę przelać dozwolemy i dozwalamy. Dan w gabinecie naszym dnia pierwszego grudnia 1783 roku."

Na niewłaściwe prośby król z razu nie odpowiedział, a owe „nieprzystojne wyrazy" skarcił, jak się dowiadujemy z następnego listu poety, w którym prosi króla o przebaczenie za to „niepotrzebne pisanie", usprawiedliwiając się „długiemi troskami skołataną głową." Nagabywany jednak prośbami szambelana, polecił król kanclerzowi koronnemu, aby przystał na wspomniany reces, a w bilecie do Trembeckiego wyraził nawet warunki tego przelewu. Chodziło tylko o wyszukanie osoby, na ktorąby pensyę przelać było można. Trembecki reflektował na księcia Stanisława Poniatowskiego, któryby tę cesyę kupił. Miał przytém nadzieję, że książe, mając dosyć włości około Warszawy mógłby mu jaką wioseczkę w dzierżawę w procencie puścić i w przydatku dać pokoik do mieszkania w ustroniu. Nie wymienił jednak osoby księcia. Dlatego król Stanisław August odpowiada Trembeckiemu:

Naznaczyć osoby ja nie mogę, bo nie wiem kto zechce uczynić W. Panu tę przysługę. Waćpan więc szukaj i wynajduj człeka. Mnie powiédz imię. Ja zezwolę, byle nie było przemagającéj jakiéj przeciwnéj racyi, któréj się nie spodziewam.

Za zezwoleniem królewskiém raczył się już ks. Stanisław Poniatowski przychylić do żądań Trembeckiego — ale gdy „całe miasto pełne było burzliwych zagranicznych wieści, nie chciał siebie ani drugich narażać na nieprzyjemności i od sprawy téj odstąpił. Natomiast na początku 1785 r. występuje z nową propozycyą: aby mu dotychczasową „pensyę w kapitalik zamienić." Rzecz to drobna dla króla, dla niego zaś wielkiéj wagi, w przeciwnym bowiem razie czeka go „kalectwo zasłużonéj ślepoty, i miejsce za furtą szpitalną. Przyrównywa się przy téj sposobności do owych koni bagdadzkich, co to chodzić nie

umiejąc „szłapią noga za nogą, albo lecą chyżéj wiatrów, gdy ich z munsztuków uwolnią.”

Wasza Królewska Mość — powiada pełen żalu — masz ze mnie poddanego z całéj duszy przywiązanego sobie, którego stałą wiernością przewyższyć niepodobna, który lat kilkanaście służył, który w czasie okropnéj potrzeby dla ratunku W. K. Mci w ogieńby skoczył, i bardzo się popalił, który w swoim kraju ma troszkę imienia, a wkrótce całéj Europie jeszcze więcéj znajomym będzie.

Takiego jednak poddanego dozwalałeś W. K. Mć prześladować i sam bez przestania martwiłeś, nie dając mu żadnego do życia sposobu i przecinając wszystkie inne. Bez względu na to nawet, iż z kwitnącego stanu, przygodami W. K. Mci, wciągniony jest w stateczną ruinę.

Jesteś, Miłościwy Panie, od wszystkich uznany za filozofa większego z tych, którzy kiedykolwiek na tronie siedli, wiész zatém, iż na świecie nic się nie dzieje przypadkiem, i gdzie piołuny sieją, nie mogą stąd trzciny cukrowe wschodzić.

Znieś W. K. Mć przyczyny, w tym momencie znikną skutki, a głowy, które się czasem poetyckiemi zdały, nad mniemanie okażą się czyściejszemi.”

Wyrazy te dotknęły króla, który za tyle łask wyświadczonych szambelanowi, słuchać był zniewolony cierpkich i niesłusznych wyrzutów. Opiekował on się szczerze swoim szambelanem, posyłał nieraz do niego Wojnę z poleceniami dla uspokojenia jego „zbyt rozgrzanéj głowy”, wstrzymując go słowem i czynem od nieprzyzwoitych kroków.”

Ale „tak zapalonéj i w takim stopniu i w takim gatunku jeszcze jego głowy nie doznałem nigdy, jak wczoraj” (11 czerwca 1785 r.). Był tu u mnie—pisze król—nagadał mi takie rzeczy, których i powtórzyć nie chce, ale które mię zniewalają zlecić W. Panu Wojnie, abyś Trembeckiemu powiedział odemnie, żeby do mnie więcéj nie chodził, ani pisał; dodaj W. Pan, że mu wyraźnie zakazuję wyjeżdżać z Warszawy bez mego pozwolenia nigdzie, a mianowicie do Karlsbadu. Mam tego bardzo ważne racye i ważniejsze, niż sobie W. Pan możesz imaginować. Powiédz mu W. Pan, że jeżeli nie będzie mi w tém posłuszny, to pensyę traci, i że mu to jedynie pod kondycyą zostawię, żeby się stąd nie ruszał bez mego pozwolenia i żeby cicho siedział. Gdyby się Trembecki W. Pana pytał o przyczynę tego zlecenia, odpowiédz mu W. Pan, żeś odemnie więcéj nie słyszał, ale że się sam domyślić łatwo może.

„Jam dotychczas najwięcéj Corticellego wzywał do Trembeckiego z dawnéj jego z nim koneksyi, ale że Corticelli ma wkrótce wyjechać, właśnie tego trzeba, żeby ktoś strzegł tego Trembeckiogo, żeby

on szaleństwa jakiego nie zrobił, do którego i jego przyrodzenie poetyckie, a bardziéj może ta samotność i ciemna rozpusta mogą dać powód."

Po tych słowach umieścił król dodatkową uwagę:

„Wojna przyrzekł to wszystko wykonać i nazajutrz uczynił mi raport, że Trembecki odpowiedział, że będzie posłuszny temu rozkazowi."

W następnym więc liście usprawiedliwia się poeta z tego postępowania, ale niebawem, wybierając się dla poratowania zdrowia do Karlsbadu, prosi znowu o pokrycie nowo-zaciągniętych długów, wymienionych w następującym liście:

Krajewskiemu, który jest moim podskarbim, praczką, szwaczką, fryzyerem, kuchmistrzem, i żadnéj litery nieznającym bibliotekarzem, z generalnego rachunku winien jestem 123 dukatów. — Domagalskiemu komornego według kontraktu aż do św. Michała, choć tu mieszkać nie będę, przypada odemnie 69 dukatów.

Czekają mię jeszcze te nieuchronne przed wyjazdem expensy: Libcrya już należąca się dawniéj; Dla mnie dwie albo trzy suknie gładkie, płaszcz, któregoby w drodze i w mieście użyć można.

Następuje potém takowy rozchód: podróż do Karlsbadu; podróż do Wiednia; przemieszkiwanie w Wiedniu świetniejsze; powrót do Włoch, albo powrót do Polski — *ad minimum* 1,000 dukatów.

Na to i na zwykłe codzienne expensy, mam tylko percepty od dnia pierwszego czerwca 45 na miesiąc; gdyż pięćset złotych podług mego, niewiem czyli chwalebnego zwyczaju, aż do Nowego Roku przedane i zjedzone są.

Do wyjścia więc z tych trudności nie widzę innego sposobu, jak tylko „udać się do tylekroć doświadczonéj W. K. Mci, która mię nigdy w przykrym nie opuściła i suplikować przy stopach Pańskich, abyś W. K. Mć tę pensyę, którą z wspaniałéj szczodroty przez ręce Bastyana czerpam, odkupić odemnie raczył i zamienił w kapitalik."

Do téj zamiany jednak nie przyszło, z rachunków bowiem Jego królewskiéj Mci kasy generalnéj dowiadujemy się, że pobiérał jeszcze do stycznia 1787 roku swą zwykłą płacę—z dodatkiem 64 dukatów na mieszkanie.

Poczém nastąpiła redukcya płacy „blisko do połowy". Przyczyną jednak obniżenia tego nie była rzucona nań „kalumnia"—jak sądził

poeta, ale po prostu względy oszczędności. Ale cios ten dotknął boleśnie poetę i spowodował do następującéj żalem i skargą skąpanéj prośby, w któréj aż do samochwalstwa wynosi swoją erudycyę.

„Za rzetelne i długie usługi, za największe hazardy i straty, nigdy tyle pozyskać nie mogłem względu, aby mi w tym kraju jakiżkolwiek sposób do dożycia był dopuszczony, a za mniemaną winę, bez pytania się o nią, pośpieszono się odjąć mi blisko połowę subsistencyi, która wspaniała szczodrota W. K. Mci dla mnie przepisała.

Za całe dobro posiadałem chałupkę na lodzie budowaną, i tę mi już obalono.

Jeżeli mię teraz moc W. K. Mci nie zasłoni, przyjdzie mi nikczemnie zaginąć i między innemi rzeczami, zaginie ze mną jeden rodzaj erudycyi krajowéj, w którym żaden uczeńszy Europejczyk nie jest mi równym, nie wyjmując ani W. K. Mci.

Sam Najjaśniejszy Panie zrobiłeś mię, czym jestem, sam znowu, gdy zechcesz, zniszczyć mię możesz. Nie byłoby stąd jednak ani sławy, ani pożytku, owszem coś nakształt szkody, któréj zreparować niepodobna, i między rzadkim a jedynym jest cokolwiek różnicy.

Kamera obcinając pensye — gdy to czyni osobom majętnym, albo od W. K. Mci z innéj strony ubogaconym, odejmuje im rzecz nadpotrzebną, obcina im paznokcie i włosy, ale mnie ubogiemu, który nic innego nie mam, obcina moje członki.

Przy dogorywaniu mojém, o nic więcéj upraszać nie chcę, tylko abyś W. K. Mć przez pamiątkę przeszłych i przez wzgląd na przyszłe rzeczy, z pod władzy kamery, któréj ja nigdy nie służyłem, raczył mię wyjąć, i sobie samemu zostawić, a wszelkie jéj dotąd przeciwko mnie czynienia za niebywałe osądzić.

Jeżeli zaś przemienienia téj kamery przemienionemi być nie mogą, nie zostaje mi tylko najpokorniéj suplikować W. K. Mci, abyś mi tę resztę pozostałéj pensyi przedać pozwolił, a ja zaspokoiwszy moich dłużników, znajdę dla siebie sposoby do niepotrzebowania wszelkich już więcéj pieniędzy."

Gdy prośbę tę pokrył król Stanisław wymowném milczeniem, a ci, z którymi się poeta miał zjechać u wód karslbadzkich „odmienili zamysł" i gdzieindziéj swoje obrócili kroki, Trembecki zanosi prośbę do króla o pozwolenie podróży „po niektórych Hanseatyckich miastach". Nęcą go głównie Hamburg i Lubeka i spodziéwa, że „wojaż ta będzie mu użyteczną przez odkrycie niektórych kawałków, do starożytności narodu stosujących się."

A gdy i ta prośba nie została wysłuchana—odważa się więc najusilniéj prosić króla, „aby go na sejm teraźniejszy (1787) posłem swoim z Inflant miéć raczył.“

Nie było czasu na odmowną odpowiedź téj nowéj propozycyi — musiał bowiem poeta (na początku 1787 r.), zapadłszy ciężko na kamień i podagrę, wyjechać na kuracyę do Królewca. Zaledwie wyrwał się z rąk lekarzy, kiedy „okłamano“ go przed królem, że miał pisać „przeciwko interesom“ Jego królewskiéj mości. Aby się z téj czarnéj oczyścić potwarzy, musiał z Gdańska, gdzie wówczas bawił, przybyć na dwór królewski. Generał Komarzewski wziął był na siebie jego obronę i kazał mu pomyślnéj czekać rezolucyi, aż po ukończeniu sejmu. Tymczasem sejm się skończył, Komarzewski wyjechał do Petersburga, a Trembecki za pożyczone piéniądze, przybywszy z Gdańska, został na lodzie.

Z listów wnoszę, że go oskarżono przed królem, jakoby napisał broszurę „Głos Polaka“, tymczasem sam poeta i inni przyjmują autorstwo jéj marszałkowi Potockiemu.

W tém utrapieniu, i gdy „dawno tonącemu“ woda się przez usta leje, prosi i wywodzi nowe żale przed królem, którego zdanie w téj sprawie przytaczam:

„W pierwszych dniach maja 1788 r. Trembecki przez Komarzewskiego proponował mi się na posła z Inflant. Odpowiedziałem: nie może to być. W kilka dni potém prosił tenże Trembecki przez Komarzewskiego, abym mu pensyę 480 dukatów, którą Trembeckiemu daję, obrócił w kapitał. Odpowiedziałem: ani racyi, ani sposobności, ani chęci tak uczynienia nie mam.

Znowu w kilka dni potém Trembecki napisał do Komarzewskiego: czy wié, że on, Komarzewski, lubo czyni się jego przyjacielem, jest mu nieprzyjacielem, a mianowicie, że Komarzewski mnie powiedział, że Trembecki jest autorem niektórych paszkwilów mnie obrażających.

Komarzewski posłał do niego generała Byszewskiego z tém, że nigdy tego królowi nie powiedział, że prosi o delatora i tego kłamcą czarnym nazywa; z przypomnieniem przysług uczynionych Trembeckiemu i dobrodziejstw królewskich, przez ręce Komarzewskiego jemu uczynionych i za wstawieniem się tegoż Komarzewskiego. Trembecki delatora wymienić nie chciał.

Król kazał Trembeckiemu tak powiedziéć: Nigdy lepszego przyjaciela nie miałeś nad Komarzewskiego, nie chcę słyszéć o tym paszkwilu.

Jeżeli oddaliłem Trembeckiego od częstego ze mną obcowania, to przyczyna tego nie inna, tylko owe pisma Trembeckiego, królowi przez niego samego oddane w r. 1785 w Łazienkach.

Na to wszystko Trembecki odpowiedział: Jabym gotów darować niesłuszne może urazy do Komarzewskiego, żeby tylko król tę sumę mi kazał wypłacić, którą ja żądam.

Kazał zatém król przez Byszewskiego powiedziéć Trembeckiemu, że na mojéj skórze Trembecki nie powinien wybijać pretensyi swoich do króla, tém nieprzyzwoitszych, że tylekroć popłaconych przez króla długach swoich i innych darowiznach, obiecał i na piśmie przyrzekł, żadnych już próśb nie czynić.

Dał zarazem do zrozumienia, że płaca 480 dukatów dla bezżennego jest wcale obfita. Sprawa tak się potém zawikłała, że mało nie przyszło do pojedynku. W końcu Popiel, kasztelan sandomierski, podjął się pośrednictwa, przyszedł do mnie z tém, że Trembecki gotów jest pogodzić się i przeprosić Komarzewskiego, bylem ja na piśmie dał świadectwo, że Komarzewski nigdy przedemną jego nie podejrzywał o owe paszkwile.

Dałem to świadectwo w ręce kasztelana do pokazania Trembeckiemu. Zaczém ten napisał do mnie przez kasztelana bilet niniejszy z 30 maja. A nazajutrz był u Komarzewskiego i w przytomności Byszewskiego generała i Hofmana uczynił Komarzewskiemu deprekacyę, i pogodzili się w dzień czwartkowy 5 czerwca 1788 r.

A w dzień przedtém był u mnie Trembecki za uproszeniem osobném posłuchania i prosił, abym ja jemu darował tę porywczość.

Jam od niego wyciągnął wyznanie osoby, która mu powiedziała, że Komarzewski czynił go przedemną autorem paszkwilu, abym ja sam wiedział kogo się strzedz. Trembecki uprosił u mnie słowo królewskie, że nie dam nigdy po sobie poznać, że wiem kto, i dałem słowo, on osoby nie wymienił. Jam mu spokojność zalecił. I tak się skończyło."

Nie skończyła się jednak nieustająca żebranina szambelana. Oto przed owém zajściem, w odpowiedzi na jedną z tysiącznych próśb otrzymał poeta od króla przez generała Komarzewskiego pierścień brylantowy wartości 800 czerwonych złotych, na co wystawił poświadczenie 22 lutego 1787 r. Pierścień ten oddał poeta tegoż samego dnia Bachmińskiéj na pokrycie długów.

Prosił ją zarazem, ażeby się wstawiła za nim do króla o wypłacenie dawniéj jeszcze zaciągniętych długów, które ona przejęła na siebie.

W liście Bachmińskiéj przedstawia się Trembecki jako człowiek, który różnemi i to wcale skutecznemi środkami naciągał kogo mógł. Starą kobiétę straszył samobójstwem i śmiercią głodową, jeżeli mu nie da pieniędzy.

Oto list Bachmińskiéj do króla, z 28 września 1788 r.:

„Mój Najjaśniejszy Panie!

Cztery lat minęło nieszczęśliwéj mojéj przyjaźni dla p. Trembeckiego, która mnie tyle rozmaitego rodzaju kłopotów kosztowała. Wyjechał do Królewca, tam ciężko chorując tę mi dał wiadomość o interesach swoich: Przyjaciółko, jestem bliski śmierci, uczyń mi ostatnią usługę. Winien jestem memu gospodarzowi 300 dukatów, i teraz widzącego mnie nad grobem ratuj mnie, weź moje papiéry pisane i oddaj królowi, a proś, żeby ten dług zapłacił. Te zaś, co są przy mnie będą przez biskupa warmińskiego królowi odesłane, już je kazałem zapieczętować.

Pokazuje się, jak dawno długi zaczęte. I drugiéj podróży dopilnować nie mogłam, wyjechał do Gdańska, bez wiadomości mojéj; na kilka godzin przed swoim wyjazdem to do mnie mówił: „Ratuj mnie, przyjaciółko, bom bardzo nieszczęśliwy, od ludzi opuszczony, od fortuny prześladowany. Jutro będziesz tego żałować, żeś miała dla mnie tyle przyjaźni.“ Wyrwał się z rąk moich i wyszedł już do podróżnego pojazdu. Tę mi zostawił kartkę: „Przyjaciółko, źleś wybór swojéj przyjaźni zrobiła dla człowieka nieszczęśliwego, prześladowanego od fortuny, który za twoje przywiązanie smutkami cię codzień karmi, bądź zdrowa już na zawsze, póki Bóg przedłuży dni królewskich. Rozumiem, że mi tę pensyę zachowa, a na resztę byle mi został pistolet nabity, to z nędzy nie umrę.” Z rozpaczy śmierci żądałam, bez pomocy boskiéj i ludzkiéj znalazłam się na całéj ziemi, sto razy zapędziłam się do zamku, upaść do nóg W. K. Mci, sto może listów w tym sposobie napisałam, ale nie śmiałam do króla, dla którego mam serce pełne adoracyi, słabości i nieszczęścia, uczynić moim sędzią, nie oparłam się saméj sobie, jechałam do Gdańska. Zastałam go tak zamkiętego, że ludzi swoich widziéć nie chciał. Moje łzy, moje prośby nic na jego umyśle twardym nie zrobiły. Jak z letargu obudzony został, kiedy mu ktoś doniósł, że jest na niego porozumienie za książkę „Głos Polaka”, pisał, że W. K. Mość bardzo się o to gniewasz. Pisze do mnie: „Potrzeba mi było do kompletu mojego nieszczęścia, ażeby i takie supozycye w sercu królewskiém umieścić. Właśnie wtedy, kiedym pismo jedno na ręce Xcia prymasa posłał, bezimienne to pewna, alem rozumiał, że się domyśla, czyje to pismo.” Jako najlepszy Ojciec, który własne potrzeby oszczędza, tak W. K. M. żebyś nieszczęśliwych i tego prawdziwie marnotrawnego syna ratował, gdyż on w takim stanie powrócił z Gdańska obdarty, z długami tysiąca przeszło dukatów.”

List Bachmińskiéj kończy się prośbą o pokrycie długów Trembeckiego i o posadę dla niego w Radzie lub Komisyi.

Król wysłuchał prośby owéj Bachmińskiéj i jeszcze raz przyjął długi Trembeckiego w ilości 490 dukatów na swój rachunek.

Bachmińska jednak dziękując za to „miłosierdzie, które utrzymuje Trembeckiego przy życiu i szczęściu", przypomina królowi, że ulubieniec jego podał rejestr tych tylko długów, które się od podróży kijowskiéj zaczęły. A przed tą podróżą było długu czerw. złt. 1115, które ona przejęła i zapłaciła, oprócz długu p. Kalerego, któremu się należało 160 czerw. złt., prosi więc o wypłacenie wyłożonéj kwoty.

Na to odpisuje król—jak się domyślam — 4 października 1788 r.

„Pisała Bachmińska do mnie wczoraj i zabiła mi znowu ciężki klin w głowę. Oznajmia mi, że nad owe 490 dukatów, którem już przejął długów Trembeckiego, jeszcze zostaje 1275 dukatów... Jużci mi Bachmini żal, ale na honor upewniam, że nie mogę teraz ani myśléć o tym nowym wydatku. Niech będzie cierpliwa.

Jak spłacę te pierwsze — 490 dukatów — wtedy pomówiemy o tych 1,275 dukatów. Tymczasem niech ten bilet, tu przyłączony, służy Jéj za respons.

St. August."

Zapokoiwszy z grubsza swoich wierzycieli, puszcza się dworak znowu na flukta łaski królewskiéj.

W liście z 11 marca 1788 r. wraca do poruszonéj przed rokiem myśli zostania posłem z ziemi Inflanckiéj. — Oto, jakie motywa podaje na uzasadnienie swéj prośby:

„Godzi mi się miéć nadzieję, iż w dwudziestym roku służby, i nigdy nieskażonéj wierności, nie raczysz W. K. Mć odmówić mi proszącemu o ziemskie p o s e l s t w o z I n f l a n t.

Mam przyczyny zdające mi się być słusznemi, dla których z tego, a nie innego miejsca, przez dobrotliwą względność W. K. Mci pragnąłbym być posłem.

Jestem teraz nazbyt ubogi do czynienia kosztów, które nieodbicie sejmiki za sobą ciągną.

Jestem z przyrodzenia, aż do nagannéj rozrzutności hojnym, świadkami całego wieku mego czyny, niedostatek powściąga moje wydatki, ale nie odmienia natury; jadąc gdzieindziéj na sejmiki, musiałbym się gorzéj niż dotąd zdłużyć, a tam według mego zwyczaju zapomniawszy o futrze, oddałbym ostatnią suknię szlachcicowi proszącemu o nią. Afektacya równości obywatelskiéj zniewoliłaby mię do nieskromnego z bracią używania napojów, a mnie się pić wcale nie godzi — ilekroć mi się kielich jeden więcéj nad szczupłą dostaje miarę, zaraz nie-

zawodnie, ów dawny we mnie odzywa się Trembecki, którego ja koniecznie zatrzéć pragnę, i nowym z gruntu uczynić się człowiekiem.

Duch W. K. Mci, który mię ożywia i na sejmie władać mną, jak zawsze, będzie, a przypadek zdarzyć może, iż W. K. Mć znajdziesz sobie we mnie instrument od wielu innych nie podlejszy, z któréjkolwiek strony oglądać go zechcesz.

Upraszałem książęcia JMci Prymasa Michała Poniatowskiego, aby w téj mierze swoją interpozycyą wesprzéć mię raczył, który nietylko nie być przeciwnym chęci mojéj, ale dopomódz mi wstawieniem się za mną przed Majestat W. K. Mci przyobiecał.“

Do prośby téj dołącza dar w postaci książki księdza Lana, wynalazcy machin aerostatycznych, których wydoskonalenie zawdzięczamy Francuzom. Równocześnie wstawial się za nim w téj sprawie książę podskarbi litewski, król jednak otwarcie powiedział, że w razie wakansu oddałby poselstwo ziemskie z Inflant jednemu z Badenich, Nieborowskiemu albo Starczewskiemu.

Na list zaś Trembeckiego odpisał król następujące słowa:

„Odpowiedziéć kazałem przez Ryxa, przez którego to przysłał, że miejsca nie zawakowane z Inflant.“

Pozbawiony nadziei zostania posłem, stara się dostać do Rady nieustającéj, malując znowu królowi swoje położenie w najjaskrawszych kolorach i nie bez ubocznych wyrzutów, że za długoletnie wierne usługi nie otrzymał odpowiedniego wynagrodzenia.

„Bardzo szanować zwykłem nieinteresowanych ludzi i sam takim być koniecznie chciałbym, ale nie wiem, czyli to nieinteresowanie należy mi aż do tego posunąć stopnia, ażebym tu kiedy od głodu umarł.

Nie chcąc być ciężkim skarbowi W. K. Mci, pierwszy raz w tych latach postanowiłem sobie starać się o umieszczenie w Radzie nieustającéj, abym i wyżyć tu mógł, i W. K. Mci nieprzerwane czynić usługi. Tam ja z sobą woli mojéj nie przyniósłbym, ale znając W. K. Mć jako prawdziwego ojczyzny Ojca, najzbawienniejsze dla narodu mego zdania, do nich zawsze starałbym się stosować.

Jako najpokorniéj przy stopach W. K. Mci suplikuję o pomoc i protekcyą, która, ręczę, iż będzie wdzięcznością moją odpłacona.”

Nie mając nadziei otrzymania téj godności, prosi zgóry, aby mu król powiedział otwarcie, że miejsce to, o które się ma starać, już komu innemu przeznaczone. Po otrzymaniu odmownéj odpowiedzi, widzimy poetę dnia 22 czerwca 1789 r. na Litwie. Po ośmiu latach niebytności w tym kraju, zapamiętał go sobie z tego, że w dwunastomilowéj podróży ośm razy wywrócił się z powozem. Przyjechał do Wilna starać się o rektorstwo uniwersytetu tamtejszego. W korespondencyi

z królem donosi, że akademicy wileńscy, którzy mieli „prawo wybrania sobie rektorem kogo chcą", pragnęli nadal mieć nim ks. Poczobutta. Obywatele zaś mieli im narzucić jakiegoś „plebana".

Ta ostatnia wiadomość wielce mętna ma służyć Trembeckiemu za powód nowéj prośby, o wstawienie się za jego kandydaturą, na rektorstwo wileńskie. Pisze więc do króla:

Jesteś, Miłościwy Panie, nietylko wielkim protektorem, ale prawie twórcą nauk i umiejętności w państwach twoich; obacz W. K. M. czyli te *Monopolia*—Poczobutt był długoletnim rektorem — zachęcą do chwalebnéj emulacyi umysły poddanych W. K. Mci, czy je raczéj w bezczynność strącać będą.

Nie utraciemy przez to zacnego astronoma, choćby ten raz rektorem nie był, jest wiele innych złotych łańcuchów, które go przywiązują do miejsca.

Czy byłaby rzecz słuszna, mnie wzywanego od pierwszéj zacności obywatelów krzywdzić, zbyt wczesną dając mi exkluzyę i ustawy gwałcić; czynowi pamiętnemu pod panowaniem W. K. Mci przeszkadzać, i nie dopuszczać ku pożytkowi powszechnemu wszczęcia się, bez kosztu, biblioteki publicznéj, a to jedynie dlatego, aby już mającemu zbywające rzeczy, jeszcze więcéj zbywających Mu przydać!

Miłościwy Panie, mam honor od lat dwudziestu z nieskażoną nigdy wiernością i najżywszą gorliwością, być sługą W. K. Mci przez cały ten przeciąg czasu, względem W. K. Mci, nie popełniłem nigdy (jak teolodzy zowią) *peccatum omissionis*. Dni moje się kończą, jestem z dostatniego ubogi, może w ostatniéj umrę mizeryi, niechby mi przynajmniéj szlachetnego nie zazdroszczono nagrobku! o tę ostatnią zasług moich nagrodę suplikuję W. K. Mci, abyś powagą swoją teraz zachodzące spory rozstrzygnąć raczył, wszak nie moich szukam korzyści, ale publicznego pożytku z rozszerzenia sławy mądrego W. K. Mci panowania. Twoim to jest, Najjaśniejszy Panie, dziełem, jeżeli cóżkolwiek dobrego w życiu moim wykonać zdołam: jestem prawie wychowańcem W. K. Mci; na dworze W. K. Mci formowały się umysł i serce moje. Ale któryżby najlepszy muzykant zagrać potrafi, jeżeli mu wszystkie instrumenta odejmą?"

Widocznie zależało wiele Trembeckiemu na otrzymaniu tego miejsca, skoro kilkakrotnie dobijał się o to do łaski królewskiéj.

Przemawiał przeciw niemu przedewszystkiém brak kwalifikacyi, miał też przeciwnika w osobie ks. podkanclerzego litewskiego. Nie zraża go to jednak i dnia 20 czerwca 1789 r. pisze znowu do króla w téj sprawie:

„Przygoda niosąca mi przykrość zdarzyła, iż od niektórych osób litewskich pierwszéj distinkcyi, rektorstwo wileńskie było mi proponowane, którego dłużéj bez przełamania ustaw JX. Poczobutt posiadać nie może. Lubo kocham spokojność, cichość i życie osobne, jednakowoż unikać takowéj przysługi nie zdało mi się rzeczą słuszną. Uczyniłem tedy do tego celu kroki, których przystojnie cofnąć nie mogę.

I tu znalazły się zawady, podkanclerzy litewski, dla którego ja tak wkorzeniony miałem szacunek, z przeszkodami przerznął mi drogę. Najprzód, zarzucając mi cudziemstwo, bo jestem Polak. Powtóre, ukazując list jakowyś podyktowany i wymożony od akademików, w którym proszą na daléj o JX. Poczobutta za rektora.

Na pierwszy zarzut rozumiem, iż byłoby dosyć, jeżeli od największéj części senatorów i ministrów litewskich ukażę moje zaświadczenie, iż moje cudzoziemstwo bynajmniéj ich obrażać nie będzie.

Na drugi (pominąwszy, że ten list jest pisany za rozkazem) możnaby replikować, iż sprawiedliwy minister żądającym przestępstwa prawa powinienby podobno odpowiedzieć *negativ.* Bardzobym ja nierad w żadnym punkcie walczyć z podkanclerzym litewskim, i ciężko zasmucony jestem, że Jego prawie jednego mam przeciwko mnie zdanie.

Przy stopach W. K. Mci jako najpokorniéj suplikuję, abyś Go od szkodzenia mi odwieść raczył.

Pod koniec składa przyrzeczenie, że „wszelkie z rektorstwa pożytki pieniężne, któreby mnie dostawać się miały, przez wszystek czas, w którym rektorem wileńskim byłbym, w całości ofiaruję na początkowe założenie w Wilnie Biblioteki publicznéj.“

W kilka dni późniéj wraca znowu do tego samego przedmiotu, podnosząc przytém siebie, a obniżając przeciwnika.

Jeżeli JX. Poczobutt, pod temiż samemi kondycyami na piśmie danemi rektorstwo przyjmie, schylam przed nim kapelusz i konkurentem Jego być przestaję; ale jeżeli się nad tym zastanowi, nie zdaje się rzeczą koniecznie potrzebną dla cudzéj chciwości obrażać słuszność. W tym przypadku zostawałoby mi o to przynajmniéj suplikować, aby w e d ł u g p r z e p i s ó w, w c z a s i e n i e s k r a c a n y m u m y ś l n i e w o l n o b y ł o a k a d e m i k o m o b r a ć, k o g o s i ę p o d o b a i k o g o s i ę g o d z i.

Jak się zachowywał król wobec téj niczém nie uzasadnionéj kandydatury swego ulubieńca? Nie był zrazu przeciwny staraniom jego— tłómaczył mu, że podkanclerzy nie jest mu osobiście ani wrogiem, ani „sprawcą“ listu akademików za ks. Poczobuttem, ale nie polecał Trembeckiego uniwersytetowi.

Dowiedziawszy się bliższych szczegółów o stanie rzeczy od Chreptowicza i Potockiego, marszałka, odpisuje Trembeckiemu, że wcale nie stąd rzecz była nasadzona, ale że wszyscy profesorowie wileńscy, zszedłszy się i poprosiwszy Poczobutta, aby im pozwolił bez niego naradzić się, gdy wyszedł, umówili się, aby wspólnie wszyscy podali do komisyi edukacyjnéj, uwiadamiając, że się zrzekają prawa swego co do obierania na ten raz rektora, ale owszem proszą komisyi, aby im nominowała i na to trzecie *quadriennium* X. Poczobutta na rektora.

Profesorowie—dodaje król—akademią wileńską składający, mogliby sobie nawet cudzoziemca obrać za rektora. A zatém, Chreptowiczowi ani na myśl nie przyszło exkludować Trembeckiego, jako nie Litwina, albo nie Polaka, i wcale przeciw niemu żadnego nie czynił kroku.

Dowiedziawszy się o trudnościach i przeciwieństwach, nie zachęcał już szambelana do dalszych starań, w końcu zaś dał przez kasztelanową podlaską do zrozumienia, że od myśli téj musi odstąpić.

Trembecki jednak chciał dowiedzieć się o tém wprost od króla, prosił o jasną i stanowczą odpowiedź, i dał do zrozumienia królowi, że gotów zrobić huczek na sejmie z powodu téj sprawy. Na list ten odpowiada więc król Stanisław August dnia 21 czerwca 1789 r.:

„Zdawało mi się, żem dość jaśnie myśl moją wyraził. Kiedy jednak piszesz mi WPan wczoraj, że decyzyi mojéj jaśniejszéj żądasz, więc najwyraźniéj mówię, że żądam, abyś WPan nie czynił żadnych kroków do powzięcia hałasu dążących względem rektorstwa akademii wileńskiéj, i żebyś się osobiście rozmówił, o tém z JW. Panem podkanclerzym litewskim, i żebyś przestał na tém, co on W. Panu powié."

Po otrzymaniu téj karty, pisze Trembecki po raz ostatni w sprawie rektorstwa, starając się usprawiedliwić swoje postępowanie, a właściwie obrzucając króla i jego ministra gradem wyrzutów.

Kilku przyjaciół moich i nieprzyjaciele podkanclerzego litewskiego (których każdy podobno minister mieć musi) obiecali mi pomoc i skuteczne wsparcie, a choćby się rzecz wytoczyła i przed sejmujących, ci nie mogliby nie aprobować mego zamysłu. Już tedy prawie pewna nadzieja wygranéj.

Wczora w późny wieczór, gdym już udał się do spoczynku, przyszła maleńka niepieczętowana kartka (najpokorniéj przepraszam, Miłościwy Panie, że tu ją przyłączam), w któréj kasztelanowa Podlaska pisze do mojéj sąsiadki, we dwóch interesach, niby równie wartych torby sieczki: względem kilku łokci muślinu i względem mojéj sprawy.

Ta kartka była mi pokazaną zaraz, ale jakąż we mnie zbudzić mogła sensacyę? Nie prędzéj piorun leci, jak ja zdecydowałem się po

poznaniu W. K. Mci być jéj posłusznym i wszystkiego zaraz odstąpić bez najmniejszéj rezerwy.

Bogdajbyś W. K. Mć mógł uczuć tę moją dla siebie ofiarę? bogdajbyś się mógł przekonać, aż do jakiego punktu w największych impetach, jedném skinieniem W. K. Mci rządzony jestem!

Przybędzie mi teraz niechętnych, i z tych, którzy mi się przeciwili, i ci, którzy mi swoją oświadczali pomoc, źle to znajdą, żem jéj nie przyjął.

A zaś od widzenia się i rozmowy z podkanclerzym litewskim suplikuję, abyś mię W. K. Mć dispensować raczył. Cóż on teraz mógłby mi powiedziéć? może obietnice, może nadzieje chciałby mi jakie czynić. tych ja nie potrzebuję, oszpeciłbym niemi powolność moją na rozkazy W. K. Mci, bez żadnéj a żadnéj kondycyi, a potém żal mam do niego podobno słuszny, i z gorącego jeszcze ciepły. Nic mu złego w życiu nie zrobiłem, distingowałem Jego wartość, brałem Go za ministra filozofa, ale widzę i Xiądz pleban człek; zepsuł mi akcyą sławną, dlatego żeby JX. Poczobutt miał większą kupkę pieniędzy, których nigdy użyć nie będzie umiał. Kalifa Omar spalil bibliotekę w Alexandryi; dla osłodzenia komparacyi muszę przyłączyć co jest mniéj wiadomo, że ś. Paweł ewangelista toż samo zrobił, pismo powiada, iż zebrawszy od pobożnéj prostoty wielkie sumy, nakupił za nie ksiąg, żeby je spalił. Trzeci, podkanclerzy litewski tak dobrze jak spalił teraz Bibliotekę publiczną w Wilnie. Mam nadzieję, że to zreparuje kiedyś, bo inaczéj reputacya Jego cierpiałaby w potomności.

Na list ten odpisuje król 25 czerwca na bilecie, aby zaniechał raz na zawsze starań o rektorstwo—dodając mu do zrozumienia, że nie uznaje owéj „ofiary" zrzeczenia szambelana, że sprawiedliwość jest po stronie podkanclerzego litewskiego, a po jego niesłuszność.

Ze wszystkich godności i urzędów, o jakie się ubiegał poeta, dostała mu się w udziale najnieprzyjemniejsza: Gdy konfederacya Targowicka ustanowiła cenzurę na pisma z druku wychodzące, powołano w skład jéj St. Trembeckiego, który w dwóch „Instrukcyach dla drukarzy i księgarni" wydanych, pod imieniem W. K. Mniszcha, z 1 lutego 1793 r. miał podobno czynny brać udział. Cenzura ta ograniczała niebywałemi dotychczas przepisami wolność słowa, a cenzorowie mieli obowiązek „rewidować" księgarnie, spisywać książki „podejrzane i szkodliwe", i usuwać je z obiegu. Trembeckiemu przypadła w udziale cenzura sztuk teatralnych, tudzież pism polskich, sprowadzanych z zagranicy. Ale wykracza to już po za granice naszéj korespondencyi. Ostatni list Trembeckiego do króla, datowany 16 sierpnia 1789 r.,

zawiéra prośbę o pozwolenie wyjazdu poety w towarzystwie Bachmińskiéj—do Berlina.

„Bachmińska—pisze poeta—wyjeżdżająca po zdrowie, prosi mię, abym jéj w podróży trzymał kompanią, był życia jéj stróżem i poufałym przed lekarzami jéj dolegliwości tłómaczem, gdyż ona prócz ojczystego języka, innemi mówić nie przywykła.

Nie godzi się podobno, abym jéj prośbie odmówił, i jako chrześcianin, i jako kiedykolwiek obowiązany od niéj. Jeżeli za jéj drobne grzeczności dla mnie, bez żadnego mego interesu, jedynie przez wdzięczność, w obce mam jechać kraje, za któreż granice, za które morza, wywyższona wdzięczność chętnego mię nie powiedzie, gdy mi tak W. K. Mć rozkażesz?

Teraz JP. Bachmińską nie daléj, jak do Berlina odprowadzićbym się podjął, byłbym bardzo fortunnym, gdybym i na tamtém miejscu jakie, choć z najmniejszych mógł uczynić W. K. Mci usługi."

Na list ten odpowiada król St. August 17 sierpnia 1789 r.:

„Wdzięczność i wzajemność afektu jednostajnie cenię. Więc wielce aprobuję WPanu zamysł towarzyszenia choréj Przyjaciółce, w podróży, któréj jest celem Jéj ozdrowienie, a któréj pomyślnego skutku z serca Wam życzę obu. Znajdziecie tam rezydenta mego, Zabłockiego, zawsze dla wszystkich rodaków usłużnego bardzo, a któremu Was jeszcze osobliwie polecę."

Na tém się kończy przechowana w bibliotece ks. Czartoryskich korespondencya St. Trembeckiego z królem St. Augustem.

H. Biegeleisen.



W ARKADYI.

(BALLADA).



Różowa Eos szafir nieb
Już w barwne zdobi tęcze,
I w szaty z wiotkich, sinych mgieł,
Przystraja się pajęcze...

W mirtowych gajach życie wre:
Ptaszęta i motyle,
Niby wiosennych kwiatów deszcz,
W słonecznym błyszczą pyle;

Ziół balsamiczna płynie woń,
Owady w słońcu brzęczą,
I cała ziemia w blasku zórz
Kąpie swą pierś młodzieńczą...

I nagle... głośny słychać gwar,
Ochocze płyną pieśni —
I zadziwiony milknie wiatr
I śpiewakowie leśni:

A z mroków, jak królewski dwór
Przepychem jaśniejąca,
Wybiega rzesza chłopiąt, dziew
W złotego fale słońca...

Za niemi, skroś gęstwinę krzów,
Skroś mirty i cyprysy.
Z perłowéj muszli ciągną wóz
Pokorne dwa tygrysy;

A w wozie dworu tego pan
Na świéżych wonnych kwiatach —
Sam Dyonizos, wina bóg
W bogatych spoczął szatach...

Za nim faunowie dążą w ślad,
Przy ustach dzierżąc fletnie —
I cały orszak płonie, lśni,
Barwami błyska świetnie...

Bóg skinął — w miejscu staje dwór,
Dryady tworzą koło,
Na wiatr rzuciły złoty włos
I śmieją się wesoło;

Różowych chłopiąt biegnie rój,
W zielone zdobnych bluszcze —
I miga złoto drogich czar
I śmiechem drgają puszcze...

Pląsają nimfy... Młody bóg
Pod mirtem w cieniu siada,
I płoni mu się ogniem żądz
Twarz od nadużyć blada;

W oczach niezdrowy błyska żar;
Rozchylił wargi wzdęte —
Ściga wejrzeniem mętnych ócz
Dziewiczych kras ponętę...

A z po za gęstych puszczy drzew
Na dryad pląs figlarny,
Złoconą szerścią w blasku lśniąc,
Płochliwe patrzą sarny...

Wtém... drgnął nieznacznie wiotki liść;
Słychać czyjś krok nieśmiały;
Sarenki pierzchły, z trwogi drżąc,
I w gąszczy się schowały...

A na ścieżynie niby kwiat,
Niby zjawisko złudne,
Wykwitła nagle róża róż —
Dziewczątko, jak sen, cudne...

Stanęła cicho... patrzy w głąb'
Na tajemnicze grono,
Strzelistych piersi kryjąc biel
Zazdrosnych szat osłoną...

Bóg dojrzał dziewczę, skinął nań,
Więc zbliża się nieśmiało —
I wnet satyrów zmilkła pieśń,
Nimf grono pląs przerwało...

„Kto jesteś, piękna?...“ „We wsi, tam
Za tym mirtowym gajem
Ja owce pasę; stado me
W dolinie nad ruczajem...“

„Gdzie idziesz?... Dziewczę schyli skroń,
Jak róża się zapłoni
I szepnie cicho: „Luby mój
Tam czeka mię w ustroni...“

„Twój luby?... Dziewczę!... Jakto — ty,
W tak świetne strojna wdzięki,
Pozwalasz, by cię brukać śmiał
Śmiertelnéj uścisk ręki?

O—rzuć tę miłość... Do twych stóp
— A nóżki masz tak ładne —
Ja — Dyonizos — wiosny bóg
Z rozkoszą sam upadnę...

Patrz!... Oto dwór mój, sługi me...
Pałace mam ze złota;
Klejnotów pereł — cały stos:
Pójdź, luba, w moje wrota!“

Zadrżało dziewczę... Myśli rój
Pod czołem jéj się tłoczy;
Rumieniec śnieżną oblał twarz,
Zabłysły czarne oczy,

I w duszy, w blasku wszystkich kras,
W młodości aureoli
Ujrzała tego, co miał być
Jéj towarzyszem doli...

Ujrzała go — więc pokus tłum
Od serca precz odpędza...
Lecz płochy demon szepce wciąż:
„Z nim nędza... nędza... nędza!...“

A tu, na łożu z wonnych róż,
Słuchając cudnych pieśni,
Niby rozkoszny, złudny sen,
Całe swe życie prześni...

Nęci ją złota świetny blask,
Woń kwiecia, dwór wspaniały,
I nawet... nawet — wstyd mi rzec —
Pijanych uciech szały...

Więc... dała bogu śnieżną dłoń
Na znak milczącéj zgody —
A tam, w ustroni, czekał wciąż
I tęsknił pasterz młody...

A gdy go straszna doszła wieść,
Z żalu mu pękło serce —
I poszedł, biedak w zimny grób —
O płochéj śnić pasterce..

A dziewczę?... Zwykły życia tryb:
W zatrutéj atmosferze
Straciła swój naiwny czar
I barwy swoje świeże;

Śród grona nimf rozpustny pląs
Dziś wiedzie już bez sromu,
I na kosmatą fauna pierś
Upada pokryjomu...

. . . .

O — jakże trudno znaléźć tu
Na biednym naszym świecie
Śród tylu pysznych wiosny róż —
Nie robaczywe kwiecię!...

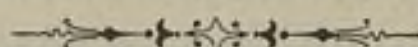
Warszawa, d. 28/VIII 1897 r

Leon Rygier.



SYSTEM

EKONOMII MATEMATYCZNÉJ.[1])



Gdy jakaś reforma naukowa staje się potrzebną i pożyteczną, zarysowuje się zwykle w kilku krajach jednocześnie. Prawda ta, często powtarzana, stwierdza się obecnie w ekonomii politycznéj. Wszystko, co powiedzieć było można w téj gałęzi wiedzy, opiérając się na zwykłéj dedukcyi, już powiedzianém zostało: dla każdéj kwestyi ważniejszéj postawiono dziesiątki hipotez i doktryn, często sprzecznych. Obecnie czuć się daje jakby pewne znużenie tą pracą dość bezowocną i, obok badań indukcyjnych, które postępują swoją drogą, dedukcya

---

1) Cournot: „Recherches sur les principes mathématiques de la théorie des richesses“, 1838; Gossen: „Entwickelung der Gesetze des mennschlichen Verkehrs“; Braunschweig, 1854; Jevons: „The Theory of political Economy“, London, 1871 L. Walras: „Eléments d'Economie politique pure“, 3 ed., Lausanne, 1896; F. Y. Edgeworth: „Mathematical Psychics“, London, 1882; Irwing Fisher: „Mathematical investigations in the theory of value and prices“, 1892. Transactions of the Conn. Acad.; Auspitz und Lieben: „Untersuchungen über die Theorie des Preises“, Leipzig, 1887; J. Lehr: „Grundbegrieffe und Grundlagen der Volkswirthschaftslehre“, Leipzig, 1893; Marshall: „Principles of economics“; Wickstead: „Alphabet of Economic Science“; L. Winiarski: „La méthode mathématique dans la Sociologie et dans l'Economie politique“, Paris, 1894; Tenże: „Deux théories d'equilibre économique“ (Revue Internationale de Sociologie), Paris, 1896; Tenże: „Etude critique sur le III vol. du „Capital“ (Revue d'Economie politique), 1897.

zaczyna przybiérać charakter bardziéj ścisły, matematyczny. W artykule niniejszym przedstawimy krytycznie rezultaty osiągnięte dotychczas w téj nowéj dziedzinie, opiérając się na przykładach arytmetycznych, ogólnie zrozumiałych. Udowodnień ścisłych szukać należy w dziełach specyalnych, które w odnośnikach wskazywać będziemy.

I. Użyteczność.

„Użyteczność" pojmowana jest przez nową ekonomię w sposób zupełnie podmiotowy. Dlatego niektórzy autorowie chcieliby na jéj miejsce wprowadzić do nauki wyraz *ophélimité* = żądzy [1]) (od greckiego *ophélimos* = pożądany). Użytecznemi są przedmioty, które pomyślnie wpływają na rozwój jednostki, narodu lub rasy, gdy przedmiotem żądzy lub potrzeby mogą być rzeczy nietylko nie użyteczne, ale i owszem szkodliwe. Tak alkohol jest pożądany dla pijaka, ale bynajmniéj nie użyteczny. Różnicę tę bardziéj jeszcze uwydatni kilka przykładów. Złoto jest przedmiotem pożądanym — to fakt! — ale nie wiemy, czy pożytecznym dla ludzkości, a dla pewnych jéj odłamów np. dla Indyan amerykańskich był szkodliwy, wzbudziwszy chciwość Hiszpanów. Brylant jest pożądany, ale bardzo trudno powiedziéć, czy użyteczny. Lekarstwa nie są pożądane dla dziecka, a jednak mogą mu być nader pożyteczne, podobnież nauka czytania. Wogóle mówiąc, żądza, potrzeba są faktami bezpośredniemi, danemi każdemu przez doświadczenie, natomiast użyteczność jest pojęciem nader złożoném i nieokreśloném. Wszak istnieją ludzie, jak Tołstoj, którzy zaprzeczają użyteczności kolei żelaznych, nauki i wogóle cywilizacyi? Należy przyznać, iż dotychczas nie posiadamy żadnych sposobów ścisłych rozstrzygnięcia téj kwestyi i ze sfery ogólników wyjść nie możemy. Inaczéj mówiąc, nie nastała jeszcze pora badania naukowego użyteczności. Natomiast badanie to jest zupełnie możliwe względem potrzeb i żądz, jako faktów doświadczenia bezpośredniego. Ekonomia matematyczna zajmuje się głównie, prawie wyłącznie nawet, niemi. I dlatego, gdy w danym wykładzie używać będziemy—w braku innego—wyrazu „użyteczność", to w znaczeniu czysto podmiotowém: termin „użyteczny" jest równoznaczny z „pożądanym".

Potrzeby ludzkie są nieskończenie rozmaite, można jednak klasyfikować je, jako materyalne, moralne, estetyczne, umysłowe i t. d. Potrzeby te rozwijają się stopniowo, w porządku, który Banfield starał się

---

[1]) Pareto: „Cours d'économie politique", 2 vol., Paris, 1896.

ując prawem następującém: „zaspokojenie każdéj żądzy niższéj wywołuje żądzę charakteru wyższego.“ Gdy potrzeby najprostsze są zaspokojone, zjawiają się potrzeby pewnéj elegancyi w odzieży, mieszkaniu, pokarmie i t. d., następnie potrzeby pewnéj godności moralnéj, nareszcie potrzeby estetyczne i umysłowe, które wydają się nienasyconemi i mogą się rozwijać bez końca. Porządek ten może zresztą być znacznie zmieniony — ustalenie jego praw należy do psychologii, która jeszcze dokładnie ich nie określiła — ale jakikolwiek on jest, musi potężnie wpływać na rozwój gospodarstwa narodowego. Zapotrzebowanie towarów i ich produkcya zależą oczywiście od porządku, w jakim potrzeby się rozwijają. Popyt na wytwory wyszukane — od łatwości, z jaką potrzeby pierwotniejsze mogą być zaspokojone. W téj żądzy względnéj różnych przedmiotów, które chcemy nabyć, zawiera się—jak to daléj zobaczymy—istotna podstawa teoryi wartości.

Potrzeby i żądze mogą jednak być nietylko klasyfikowane, ale także mierzone. Potrzeby zaspokojone są źródłem przyjemności, niezaspokojone — przykrości. Gdy przyjemność i przykrość następują po sobie bezpośrednio u téj saméj osoby, neutralizują jedna drugą. Dodać przyjemności, znaczy zmniejszyć przykrość i odwrotnie. Możemy je traktować, jako wielkości dodatnie i ujemne. Gdy dana osoba przechodzi przez szereg przyjemności i przykrości, można dodać do siebie jednorodne i odjąć mniejszą sumę od większéj. Czyny człowieka skierowane są zwykle w stronę, gdzie suma przyjemności przewyższa sumę przykrości. Umysł ludzki nieświadomie dokonywa wciąż tego rachunku; jego rezultatem są czyny. Każda przyjemność i każda przykrość może trwać krócéj lub dłużéj i może być mniéj lub więcéj natężoną Wrażenia te mają więc dwa wymiary: czas i natężenie. Z pomiędzy dwu wrażeń jednakowéj trwałości, to jest większe, które jest bardziéj natężone. I odwrotnie: dwa dni tych samych i jednakowo natężonych wrażeń sprawiają dwa razy więcéj przyjemności lub cierpień, niż jeden dzień. Zwykle jednak natężenie wrażeń, zmniejsza się z biegiem czasu, jak nas o tém doświadczenie bezpośrednie przekonywa. By utrzymać natężenie wrażenia wciąż na tym samym poziomie, trzeba, by siła pobudki wciąż wzrastała. Fechner ujął odpowiednie zjawiska w następujące prawo: pobudka musi wzrastać w postępie geometrycznym (1, 2, 4, 8, 16...), by wrażenie wzrastało w postępie arytmetycznym (1, 2, 4, 6, 8...). A to dlatego—jak to Delboeuf wykazał — iż każda pobudka wywołuje skutek podwójny: jest źródłem nietylko wrażenia, ale jednocześnie i wyczerpania, i to ostatnie zmniejsza wciąż poprzednie. Każda następna pobudka działa przeto na osobę o zmniejszonéj wrażliwości i dlatego musi pobudka wzrastać, jeżeli ma utrzymać wrażenie na tym

samym stopniu, a musi wzrastać daleko silniéj od niego, jeżeli i ono ma rosnąć w natężenie. Oto dlaczego natężenie naszych wrażeń wyczerpuje się z biegiem czasu, oto dlaczego wzrost majątku nie sprawia proporcyonalnego wzrostu przyjemności.

Praktyka codzienna pokazuje nam powszechność tego prawa. Natężenie potrzeb zmniejsza się w miarę tego, jak je zaspakajamy. W ten sposób dochodzimy nieznacznie do sytości. Człowiek głodny może zjeść jedną, drugą, trzecią bułkę: natężenie jego głodu wciąż opada i nareszcie staje się zerem, gdy jest syty. Możemy słuchać w ciągu godziny, dwóch—koncertu, jesteśmy jednak znużeni i mamy dość tego, gdy koncert nazbyt się przedłuża. Weźmy człowieka, który ma pragnienie i zaspakaja je szklanką wody, zawierającą 20 łyków. Gdybyśmy chcieli pozbawić go ostatniego (20-go) łyka, aniby się spostrzegł, również—względem przedostatniego (19-go), ale brak 16-go i wszystkich poprzedzających będzie mu już dotkliwym. Nazwijmy każdy łyk przyrostem; możemy powiedzieć, iż każdy przyrost odpowiada natężeniu żądzy mniejszemu, niż przyrost poprzedzający. Wogóle natężenie potrzeby względem jakiéjkolwiekbądź rzeczy zależy od ilości téj rzeczy już spożytéj przez daną osobę. Prawo to pozostaje niezmienném, jeżeli rozpatrywać będziemy części chociażby najmniejsze, np. jeżeli podzielimy powyższą szklankę wody nie na 20 części, lecz na 100, tysiąc lub więcéj: każda dalsza cząstka przedstawia natężenie potrzeby słabsze, niż poprzedzająca. Toż samo się dzieje nawet gdy cząstki są nieskończenie małe. Teoretycznie mówiąc, człowiek ma każdéj chwili tylko świadomość potrzeby względem cząstki nieskończenie małéj danego przedmiotu: tak, pijąc szklankę wody, mamy każdéj chwili świadomość jednéj tylko kropli, która najjaśniéj przedstawia się naszemu smakowi, reszta odczuwa się mniéj więcéj mglisto. Tak samo fizyka nas uczy, iż, spoglądając na rzecz, widzimy wyraźnie każdéj chwili tylko j e d e n j é j p u n k t.

Natężenie potrzeby względem cząstki nadzwyczaj małéj danego przedmiotu, gdy już pewną część jego spożyliśmy, nazywa się jego u ż y t e c z n o ś c i ą e l e m e n t a r n ą (Jevons nazywa ją *final degree of utylity*, Marschall—*marginal utylity*, Walras—*rareté*, Gossen—*Werth des letzten Atoms*, inni autorowie niemieccy—*Grenznutzen)*.

Dodając użyteczność elementarną pierwszéj cząstki spożytéj, do drugiéj, do trzeciéj i t. d. aż do ostatniéj, otrzymujemy użyteczność całkowitą danego przedmiotu dla spożywcy. Ta ostatnia pozostaje dlań jednak zawsze mniéj więcéj nieznaną, gdyż nigdy nie zaspakaja on swych potrzeb w całéj ich rozciągłości, lecz zawsze tylko w pew-

nych granicach. Są inne jeszcze powody, dla których nie możemy znać użyteczności całkowitéj przedmiotu: wyłożymy je w dalszym ciągu.

II. Metoda.

Ekonomia polityczna może być rozpatrywana jako nauka matematyczna dlatego, że ma do czynienia z ilościami. Stosunki zjawisk ekonomicznych są z natury rzeczy ilościowe: tak stosunek między popytem, podażą, a ceną towaru. Można wprawdzie pisać i rozprawiać o tych zjawiskach zwykłym językiem. Niestety, gramatyka i słownik nie wystarczają dla wyrażenia stosunków tak złożonych, z jakiemi mamy do czynienia w zjawiskach ekonomicznych. Tymczasem matematyka jest logiką zmechanizowaną, ona uwalnia nasz umysł od wysiłków często niepotrzebnych, a zawsze nużących i nie wystarczających.

Przesąd istniejący przeciw użyciu matematyki w naukach moralnych pochodzi między innemi i z tego źródła, że ludzie mieszają zwykle nauki matematyczne z naukami ścisłemi. Powszechnie przyjęte jest zdanie, iż można liczyć tylko dane ścisłe, by otrzymać rezultat ścisły. Jestto jednak sąd całkiem nieuzasadniony. Można obliczać stosunki ilości zupełnie nieokreślonych—np. stad, nie wdając się w to z ilu sztuk bydła każde z nich się składa—zupełnie tak samo, jak obliczamy stosunki ilości ściśle określonych. Większy lub mniejszy stopień ścisłości zdobywany w naukach matematycznych jest rzeczą drugorzędną i nie zmienia natury tych nauk.

Otóż nie ulega najmniejszéj wątpliwości, iż użyteczność i szkodliwość, przyjemność i przykrość mogą być traktowane w sposób ilościowy. Można nawet powiedziéć, że wszystkie operacye handlu i przemysłu polegają na porównywaniu ilościowém korzyści lub strat. Wprawdzie niektórzy zarzucają, iż nie posiadamy tu pierwszéj zasady wszelkich obliczeń, jednostki wymiaru, iż nie możemy bezpośrednio mierzyć uczuć. To jednak bynajmniéj nie stanowi przeszkody dla rozwoju nauki: i siły ciężkości saméj w sobie mierzyć także nie możemy, lecz tylko według jéj skutków, według ruchów wahadła. Tak samo trzeba mierzyć siłę uczuć według postanowień umysłu. Wola jest naszém wahadłem i najmniejsze jego poruszenia są skrupulatnie zaznaczane w cenach towarów. Jednostka wymiaru staje się więc zbyteczną, gdyż możemy porównywać ilości bezpośrednio. Umysł ludzki jest wagą, która mierzy i porównywa uczucia. Z pomiędzy dwu uczuć to jest silniejsze, które wywołuje czyn i dlatego nauka wnioskuje według czynów o sile uczuć. Nie ma przyjemności, ani przykrości obiektywnych.

Są one zawsze tylko tém, za co je dana jednostka uważa. Nie trzeba jednak sądzić, by przyjemności lub przykrości mniéj więcéj grube mogły być rozpatrywane, jako pobudki dostateczne dla wytłómaczenia wszystkich czynów ludzkich. Jeżeli teorya utylitarna znajduje jedyne kryteryum dobra i zła w ilościach szczęścia, przyjemności, których one dostarczają, pojmuje takowe w znaczeniu najobszerniejszém. Człowiek ma potrzeby i przyjemności nietylko fizyczne, ale także moralne, estetyczne i umysłowe. Pobudka charakteru podniosłego może przeciwważyć w nim cały szereg potrzeb niższego porządku. Uczucia rodzinne lub przyjazne mogą kazać mu wyrzec się zadowolenia pewnych potrzeb materyalnych. Uczucia patryotyczne mogą pokonać w nim uczucia rodzinne. Otóż ekonomia polityczna zajmuje się tylko tym szeregiem przyjemności i przykrości, które posiadają charakter czysto samolubny. Rachunek ekonomiczny pokazuje, w jaki sposób jednostki, grupy jednostek i społeczeństwa mogą dopiąć *maximum* dobrobytu w zaspokojeniu tych potrzeb codziennych.

Rozwój każdéj nauki przechodzi zwykle przez trzy fazy, które prof. Pareto opisuje w sposób następujący. Wyobraźmy sobie kilka zjawisk *A*, *B*, *C*, *D*... Nasza wiedza o ich zależności wzajemnéj rozpoczyna się tak: 1) konstatujemy, iż pewna zależność istnieje, a mianowicie, że obecność zjawiska *A* lub zmiany w niém zachodzące, wpływają na *B*, *C*, *D*... albo téż, że obecność *B* wpływa na *A*, *C*, *D*... i t. d. Nie wiemy wszakże nic jeszcze o charakterze tego związku. 2) Następnie zdobywamy pojęcie o charakterze zależności, jaka istnieje pomiędzy *A*, *B*, *C*... możemy np. wiedziéć, że gdy *A* rośnie, *B* i *C* zmniejszają się i t. d. Jedném słowem, możemy znać sens zmian zachodzących w *B*, *C*, *D*... za każdą zmianą, która zachodzi w *A*. 3) Nareszcie, możemy znać nietylko sens tych zmian, ale także obliczać ściśle ich wielkość. Doszedłszy do tego punktu, nasza wiedza o systemie zjawisk *A*, *B*, *C*, *D*... jest zupełną i doskonałą. Faza 1) jest czysto jakościowa, faza 2) jest już ilościowa, matematyczna, ale jeszcze nie ścisła i dopiéro faza 3) jest ścisłą. Astronomia doszła już, dla ruchu systemu słonecznego, do fazy 3-éj. Mechanika kontentuje się jednak w badaniu systemów materyalnych fazą 2-gą, nie posiada bowiem dostatecznéj masy danych ilościowych. Nauki społeczne znajdują się jeszcze dotychczas w fazie pierwszéj, tylko ekonomia polityczna zaczyna wchodzić w fazę drugą: spostrzega już ona zależność ilościową odnośnych zjawisk i rozumuje o nich w sposób matematyczny. Z tego jednak nie wypada, by mogła już dokładnie obliczać wielkość i natężenie sił działających, gdyż to wprowadziłoby ją do fazy trzeciéj. Może więc ona być nauką matematyczną, ale jeszcze nie ścisłą. Jeżeli je-

dnak ten stan ostatni jest ideałem poznania, to faza poprzednia, druga, bardziéj nas do niego zbliża, niż pierwsza. Z tego właśnie punktu powinna być sądzona doniosłość ekonomii matematycznéj. Przypuśćmy, iż mamy do rozstrzygnięcia zadanie tego rodzaju: określić dwie liczby na zasadzie warunków następujących: a) suma ich powinna być równa 10 i b) różnica powinna się równać 4. Nazwijmy liczby szukane x i y. Możemy zbudować dwa równania $x + y = 10$ i $x - y = 4$. Te dwa równania wystarczają do określenia obydwu niewiadomych: $x = 7$, zaś $y = 3$.

Natomiast zadanie to byłoby nie do rozwiązania w wypadkach następujących: 1) gdyby chciano określić obiedwie liczby na zasadzie jednego tylko warunku, iż suma ich powinna się równać 10; warunkowi temu czyni bowiem zadość nieskończenie wielka masa liczb; 2) gdyby oprócz dwu warunków powyższych postawiono trzeci jeszcze np. jedna z liczb szukanych powinna być dwa razy większa od drugiéj, niema bowiem liczb, któreby czyniły zadość tym trzem warunkom, wziętym razem.

Jestto wogóle zasada elementarna, iż dla rozwiązania zadania trzeba, by suma warunków danych była równą ilości niewiadomych: nie powinno ich być ani mniéj ani więcéj. Ekonomia polityczna ogólna składa się właśnie z szeregu tego rodzaju zadań. Niewiadomemi tych zadań są ceny: towarów, środków wytwarzania i kapitałów. Otóż ekonomia matematyczna, stara się określić warunki powstawania tych cen. Studyum to dzieli się na trzy części: 1) na teoryę w y m i a n y, która wskazuje warunki niezbędne do określenia cen towarów i środków spożycia, 2) na teoryę p r o d u k c y i, która wskazuje warunki niezbędne do określenia cen środków wytwarzania i usług wytwórczych i 3) na teoryę k a p i t a l i z a c y i, która wskazuje warunki niezbędne do określenia cen kapitałów. W każdym z tych działów należy policzyć z jednéj strony ilość warunków danych, z drugiéj ilość niewiadomych: jeżeli dwie te ilości są równe, zadanie może być rozstrzygnięte. Jak w powyższym przykładzie, możemy w takim razie zbudować ilość równań takąż samą, jak liczba niewiadomych i w rezultacie określić wszystkie niewiadome. W ten właśnie sposób postępuje ekonomia matematyczna i dochodzi do rezultatów nadzwyczaj ważnych. W dalszym ciągu poznamy bliżéj, z przykładów, na czém postępowanie to polega.

III. Teorya wymiany.

Wystawmy sobie studenta, który posiada 100 fr. miesięcznie, co powinno mu starczyć na mieszkanie, pokarm, odzież i książki. Znaj-

duje się poraz pierwszy w mieście, którego warunków i cen jeszcze dokładnie nie zna. Wynajmuje pokój za 30 fr., wydaje na książki 20, kupuje laskę za 10 fr.; na pokarm zostaje mu więc tylko 40 fr. W ciągu miesiąca głód mu będzie potrosze dokuczać i postara się on oczywiście w miesiącu następnym inaczéj ułożyć stosunki pomiędzy swemi potrzebami i środkami. Pokój wyda mu się nazbyt „paradnym", wynajmie inny za 20 fr., na odnowienie jakiéjś części odzieży wyda już nie 10 fr. lecz tylko 5, i piętnaście franków w ten sposób zaoszczędzonych dołoży do wydatków na pokarm, które wynosić będą 55 fr. Ale nasz student jest człowiekiem żądnym nauki i przekonywa się, iż wydając tylko 20 fr. na książki, nie zaspakaja w sposób dostateczny swych potrzeb umysłowych i że to mu bardziéj dolega, niż skromność obiadu. Odejmie więc pięć franków z 55-u i dołoży je do wydatków na potrzeby umysłowe, które wynosić będą 25 fr. Nasz uczony manewrować będzie w ten sposób aż do chwili, gdy wszystkie jego potrzeby będą zaspokojone w równym stopniu, t. j. gdy nastąpi równowaga stała pomiędzy jego potrzebami a wydatkami. Równowaga tu dopiętą zostanie wówczas, gdy stosunek pomiędzy przyjemnością doznawaną z zaspokojenia któréjkolwiek potrzeby, a odpowiednim wydatkiem, będzie równy stosunkowi pomiędzy każdą inną potrzebą, a jej wydatkiem. Tego rodzaju budżetów „doskonałych" można ułożyć kilka. Zauważmy, iż chodzi tu nie o przyjemność całkowitą, płynącą z zaspokojenia każdéj potrzeby, lecz tylko o przyjemność („użyteczność") elementarną, czyli o natężenie ostatniéj potrzeby zaspokojonéj. Prawdę powiedziawszy, nie znamy nigdy przyjemności całkowitéj, jakiéj przedmiot może nam dostarczyć nie tylko w chwili obecnéj, ale wogóle, t. j. w teraźniejszości, w przeszłości i w przyszłości. Jaką jest użyteczność całkowita, którą teatr może wogóle przedstawiać dla mnie — tego nie wiem. Nie przypominam sobie nawet, ile razy byłem tam w roku bieżącym, a od tego zależy, że tak powiem, przyjemność chwilowa i konkretna, którą teatr obecnie dostarczyć mi może. A jednak mam pewną świadomość, mniéj więcéj jasną, o natężeniu ostatnio zaspokojonéj potrzeby względem teatru, w porównaniu z natężeniem każdéj innéj z mych potrzeb, i postaram się zastosować do tych natężeń obecnych me wydatki, nie troszcząc się ani o ich stan przeszły, ani o przyszły—od których także zależy użyteczność całkowita. Znamy więc tylko natężenia potrzeb ostatnio zaspokojonych, czyli użyteczności elementarne („rzadkości" jak je Walras nazywa) i możemy przedstawić budżet naszego studenta w sposób następujący:

$$\frac{\text{Uż. elem. pokarmu}}{50} = \frac{\text{Uż. el. pokoju}}{20} = \frac{\text{Uż. el. książek}}{25} = \frac{\text{Uż. el. odzieży}}{5} =$$

Ten budżet „doskonały" może zresztą być kombinowany w sposób najrozmaitszy [1]). Wykonawszy działania zawarte w téj formule otrzymujemy, iż użyteczności elementarne różnych potrzeb, o ile mogą być zaspokojone za jednego franka każda, powinny być równe pomiędzy sobą. Inaczéj mówiąc, gdy człowiek wydaje pewną sumę pieniędzy na zaspokojenie kilku potrzeb, stara się, by każdy ostatni frank (lub każdy grosz), w jakikolwiek sposób użyty, dostarczył mu téż samą użyteczność, lub przyjemność (elementarną). Jeżeli cel ten dopięty nie został, pieniądze nie były wydane w sposób najdogodniejszy dla jednostki, zmieniać ona będzie odpowiednio owe wydatki i dopiéro wówczas. gdy ustanowiona zostanie proporcyonalność doskonała między użytecznościami elementarnemi potrzeb a wydatkami, jednostka otrzymuje *maximum* korzyści lub przyjemności, jakie tylko wogóle zdobyć może.

Nie trzeba zapominać, iż powyższa formuła stosuje się do każdego z wymieniających z osobna budżetów i że ceny w niéj zawarte, są zupełnie dowolne. Należy więc przypuścić, iż student, o którym mowa, nie zrealizował wszystkich „doskonałych" budżetów, lecz tylko układał je sobie, jako możliwe, przed przyjazdem do miasta dlań nowego— np. znajdując się w wagonie—ale jest gotów do zrealizowania jednego z nich, według okoliczności.

Można przyjąć, iż każdy członek społeczeństwa posiada mnóstwo takich budżetów możliwych, przedstawiających najlepszy sposób zaspakajania potrzeb; inaczéj mówiąc, każdy z pomiędzy tych budżetów dostarczyć może *maximum* użyteczności.

Zauważmy nareszcie, iż każdy członek społeczeństwa jest wytwórcą pewnego przedmiotu, który ofiaruje, inni natomiast go żądają i na odwrót. W jego formułę (w jego budżet) wchodzą nie tylko przedmioty, których potrzebuje i ich ceny (dowolne), ale także przedmioty sprzedawane przezeń i ich ceny. Ustępując jakiś przedmiot, sprawiamy sobie przykrość, która musi być wynagrodzona odpowiednią zapłatą, tak samo, jak nabywając rzecz, sprawiamy sobie przyjemność, która musi być zrównoważona przykrością płacenia. Prawo zostaje więc ogólném, czy chodzi o rzeczy nabywane, czy też o sprzedawane: w obudwu wypadkach *maximum* użyteczności osiągnięte zostanie tylko wów-

---

[1]) Np. nasz student mógłby zdobyć *maximum* użyteczności, układając sobie jeszcze następujący budżet: 7 fr. (kapelusz) + 20 (pokój) + 13 (śniadanie) + 30 (obiad) + 10 (książki) + 20 (teatr) = 100 fr. Może on ułożyć sobie takich „doskonałych" budżetów kilka np. siedem. Natomiast istnieje sto takich, które nie są dlań odpowiednie.

czas, gdy istnieje proporcyonalność pomiędzy użytecznością elementarną każdego przedmiotu—nabytego, czy też sprzedanego—a jego ceną.

Dotychczas mieliśmy do czynienia tylko z cenami dowolnemi, zobaczmy teraz, jak można przejść od tych cen wyobrażalnych do rzeczywistych, do tych co ustanowione zostają na rynku i tam panują.

Wzięliśmy powyżéj spożywcę, mającego pewną sumę pieniędzy do rozporządzenia: chcąc zdobyć *maximum* użyteczności, układa on sobie budżet, w którym wydatki zastosowane są do napięcia potrzeb. Może on budżet ten ułożyć w sposób nader rozmaity, zmieniając ilości przedmiotów nabywanych, ich użyteczności elementarne i odpowiednie wydatki, pod warunkiem, iż każdy z tych budżetów dostarczy mu *maximum* użyteczności. Jeżeli jestto człowiek, mający sto franków miesięcznego dochodu, może wybrać dla kupna kapelusza cenę wahającą się naprzykład pomiędzy 4 a 10 frankami (4—5—6—7—8—9—10). Przy każdéj z tych cen będzie musiał zmniejszać lub zwiększać napięcia innych swych potrzeb i wydatki konieczne dla ich zaspokojenia. Może więc ułożyć sobie siedem budżetów maksymalnéj użyteczności, pod warunkiem iż w każdym z nich suma wydatków równa będzie ilości pieniędzy, którą rozporządza.

Przedstawmy sobie następnie innego spożywcę, który posiada 150 fr. dochodu miesięcznego. Dla niego wydatek możliwy na kupno tegoż samego kapelusza wahać się będzie w granicach trochę wyższych, gdyż jest zamożniejszy, np. pomiędzy 5 i 12 frankami (5—6—7—8—9—10—11—12). Ten więc posiada ośm budżetów możliwych. Dla trzeciego nareszcie spożywcy, mającego tylko 80 fr. dochodu, ten sam wydatek wahać się będzie pomiędzy 3 i 8 frankami (3—4—5—6—7—8) a zatém posiada on sześć budżetów możliwych. Zróbmy przypuszczenie hypotetyczne, iż na rynku istnieją tylko ci trzéj nabywcy i abstrahujmy zupełnie warunki podaży.

Obecnie należy wybrać pośród całości tych budżetów możliwych te mianowicie, w których wydatki czynione dla zaspokojenia téj saméj potrzeby, są też same u wszystkich trzech. Ta tożsamość ma miejsce w danym razie tylko na trzech cenach (6 fr., 7 fr. i 8 fr.), które wszyscy trzéj gotowi są płacić za ten sam kapelusz. Ale żaden towar nie może mieć na danym rynku trzech cen rozmaitych. By wiedzieć, która z tych cen będzie ostateczną, należy porównać inne pozycye różnych budżetów naszych trzech spożywców i szukać, czy niema takiego, w którym wydatki dla zaspokojenia wszystkich ich potrzeb są też same, inaczéj mówiąc, czy nie mają jednego budżetu wspólnego. Porównywając naprzykład notesy, w których oni zapisywali sobie możliwe swe budżety, znajdujemy, iż przy cenie sześciu franków za kapelusz

byliby gotowi płacić (odpowiednio do rozmiarów ich dochodów) za ten sam pokój: pierwszy 22 fr., drugi 23, trzeci—21. Zaś przy cenie ośmiu franków za kapelusz, pierwszy byłby gotów płacić za ten sam pokój 18 fr., drugi 19, trzeci—17. Przypuśćmy nareszcie, że przy cenie 7 fr. za kapelusz, znaleźlibyśmy w notesach naszych trzech spożywców, iż byliby gotowi płacić za tenże pokój po 20 fr. i żeby nie przedłużać téj ilustracyi przypuśćmy, że w tym punkcie ma miejsce tożsamość wszystkich innych ich wydatków. Inaczéj mówiąc, istnieje jeden wspólny dla wszystkich trzech budżet, np. następujący:

Pierwszy chce wydawać: 7 fr. (na kapelusz) + 20 (pokój) + 13 (śniadanie) + 30 (obiad) + 10 (książki) + 20 (teatr) = 100 fr. Trzeci ma ten sam budżet, tylko teatr jest dlań niedostępny: 7 + 20 + 13 + 30 + 10 = 80 fr. Nareszcie drugi, mając też same wydatki, co i pierwszy, kupi pewnych przedmiotów ilość dwa razy większą np. 7 + 20 + 13 + 2.30 + 10 + 2.20 = 150.

Wówczas te trzy budżety zrealizują się na rynku i ceny w nich zawarte z dowolnych, wyobrażalnych staną się rzeczywistemi, rynkowemi (jeżeli nb. rynek złożony jest tylko z tych trzech nabywców i abstrahując w zupełności warunki podaży: jestto przykład całkiem hypotetyczny, ale wyświetla bardzo dokładnie kwestyę—używamy go téż nie jako dowód, lecz jako ilustracyę).

Widzimy więc, iż ceny sześciu i ośmiu franków za kapelusz, jakkolwiek wspólne wszystkim trzem, nie staną się cenami rynkowemi, gdyż inne ceny budżetów, którym odpowiadają, nie są też same u wszystkich trzech nabywców. Ta tożsamość ma miejsce tylko przy cenie siedmiu franków za kapelusz. W ten sposób otrzymana zostaje dla każdego przedmiotu jedna tylko cena, drogą realizacyi jednego z budżetów możliwych, który jest wspólny wszystkim trzem nabywcom.

Przypuśćmy teraz, że tożsamość wydatków ma miejsce, nie w całym budżecie naszych trzech osób, lecz tylko w połowie, w drugiéj zaś połowie uskutecznia się ona dla każdéj z nich z trzema innemi osobami, które swoją drogą także związane są z innemi grupami, a nic w naszém rozumowaniu nie będzie zmienione. Mamy tylko w takim razie do czynienia z ugrupowaniem licznéj masy osób. Nareszcie zbliżymy się jeszcze bardziéj do rzeczywistości, przypuszczając, że obok nabywców są sprzedawcy, a także iż każdy nabywca jest zarazem sprzedawcą — co, jakeśmy to powyżéj widzieli, bynajmniéj nie zmienia prawa proporcyonalności napięcia potrzeb (rzeczy nabywanych i sprzedawanych) i cen dowolnych — a także, iż tożsamość cen ma miejsce względem jednego towaru dla jednego szeregu osób, względem innego towaru tożsamość ta urzeczywistnia się dla téjże osoby z szeregiem

innych i tak daléj. Otrzymujemy w ten sposób rynek rzeczywisty z wielką liczbą osób wymieniających i towarów—i nasze rozumowanie początkowe w zupełności daje się zastosować do tego rynku. Uprościliśmy znacznie w powyższym wykładzie zjawiska, które w rzeczywistości są daleko bardziéj złożone. Ścisłe rozstrzygnięcie zadania może być uzyskane tylko za pomocą matematyki [1]). Ale nawet bez jéj udziału, drogą rozumowania i ilustracyi, w rodzaju téj którą przytoczyliśmy powyżéj, można się przekonać, że jeżeli dane są budżety hypotetyczne osób wymieniających, z cenami dowolnemi, lecz proporcyonalnemi do napięcia potrzeb, ceny rzeczywiste rynkowe, mogą być otrzymane.

Tu się kończy strona teoretyczna kwestyi i trzeba zobaczyć, w jaki sposób zadanie rozstrzyga się praktycznie, t. j., w jaki sposób w powyższym przykładzie pośród mnóstwa budżetów możliwych wybrany zostaje ten, który posiada ceny wspólne dla wszystkich osób wymieniających. Wystawmy sobie, iż istnieje instytucya społeczna, która zbiera od wszystkich tych osób notesy zawierające ich budżety możliwe: odrzucając z pośród nich te, których ceny nie są zgodne, natrafiłaby ona wreszcie na jeden, zawierający tożsamość wydatków i w ten sposób określiłaby ceny rzeczywiste towarów. Instytucyi takiéj specyalnéj niema, ale rolę jéj w zupełności wypełnia mechanizm zwyżki i zniżki cen. Dla wyjaśnienia téj sprawy weźmy przykład powyższy z kapeluszami. Cena najwyższa, którą nasi trzéj nabywcy zgadzają się płacić za ten sam kapelusz jest dla jednego 10 fr., dla drugiego—12, dla trzeciego—8 fr. Wszyscy trzéj mogą więc urządzić sobie takie budżety, przy których płacą za kapelusz po 8 fr. (tylko pierwszy który mógłby płacić za ten sam kapelusz 10 fr. a płaci tylko 8, zakupi dwa kapelusze, drugi który zamiast 12 płaci 8 fr. kupi trzy, trzeci który płaci tyle tylko, ile mógł, kupi jeden).

Przypuśćmy z drugiéj strony, że na tym samym rynku znajdują się trzéj sprzedawcy i że ceny najniższe, za które oddają swe kapelusze są u jednego 4 fr., u drugiego 5 fr., u trzeciego 6 fr. Wszyscy trzéj mogą więc sprzedawać po 6 fr. (tylko pierwszy, który chciał sprzedawać po 4 fr. a sprzedaje po 6 fr. zaofiaruje np. 4 kapelusze, drugi—trzy, trzeci—dwa.

W rezultacie otrzymujemy, iż sprzedawcy ofiarują 9 kapeluszy po 6 fr., a nabywcy żądają 6 kapeluszy po 8 fr. (zauważmy, iż chodzi tu o kapelusze tegoż samego gatunku). Obie partye spotykają się na rynku i dowiadują się wzajemnie o swych zamiarach i wówczas rozpoczyna się między nimi walka. Cena zaofiarowania (6 fr.) jest mniejsza

---

[1]) Zob. Walras „Elements d'éc. pol. pure.“ Théorie de l'échange.

od ceny popytu (8 fr.). Widząc to, sprzedawcy postarają się zmniejszyć podaż, by otrzymać wyższą cenę, nabywcy zwiększą popyt, gdyż mogą po niższéj cenie otrzymać więcéj kapeluszy. Obiedwie ceny popytu i podaży idą na spotkanie jedna drugiéj, jedna wzrastając, druga spadając, aż do chwili, gdy obiedwie będą równe, co się urzeczywistni wówczas, gdy popyt kapeluszy będzie równy podaży. W téj chwili walka między nabywcami a sprzedawcami ustaje, gdyż żadna strona na drugiéj nic już zyskać nie może. Np. przy cenie 7 fr. i popyt i podaż są równe ośmiu kapeluszom. Cena 7 fr. będzie ceną bieżącą, rynkową. Otrzymuje się ją przez szeregi wahań, zniżek i zwyżek ceny kapeluszy, z których każda zmienia wszystkie inne ceny (t. j. każe wybierać inne wciąż budżety, którym one odpowiadają). I gdy cena kapeluszy nareszcie się staje dla wszystkich jednakową, trzeba rozpocząć też same operacye np. dla ceny pokoju. Gdy równowaga téj ostatniéj ceny nareszcie otrzymaną zostaje, może ona naruszyć równowagę poprzednio ustanowioną dla ceny kapeluszy. Trzeba więc nanowo rozpocząć grę zwyżki i zniżki dla kapeluszy, aż do chwili, gdy dla każdego z nich ustanowi się jedna stała cena. Wahania te rozpoczynają się dla każdego następnego towaru, naruszając wciąż równowagi już poprzednio ustanowione dla innych towarów, ale właśnie drogą tych wahań zbliżamy się coraz bardziéj do równowagi ogólnéj, t. j. do stanu, przy którym ilości żądane każdego towaru są równe podawanym i każdy towar ma jedną tylko cenę.

Rynek można więc sobie wystawić jako system równań, obejmujących budżety nabywców i sprzedawców (budżetów opartych na prawie proporcyonalności napięcia każdéj potrzeby do odpowiadającéj jéj ceny, dowolnéj) a także warunek, iż popyt każdego towaru musi być równy podaży. Co się tyczy gry zwyżki i zniżki, która ma miejsce na każdym rynku, to jest ona tylko praktycznym sposobem rozwiązania powyższego systemu równań i odpowiada w zupełności temu, co w matematyce nazywają „rozwiązaniem systemu równań drogą prób” (*solution par tentatives d'un système d'equations.*)

Z wysokości, na którą się tu wspięliśmy, wniknięcie w operacye odbywające się na ryku dostarcza rozkosz nie tylko naukową, ale artystyczną: to co z punktu widzenia życia codziennego wydaje się tak ohydną i bezmyślną gwarą, jest w rzeczywistości sposobem rozwiązania systemu równań matematycznych, sposobem, który pod względem ścisłości i elegancyi przewyższa wszystko, czegoby najbieglejszy rachmistrz w swym gabinecie zacisznym mógł dokonać. Zauważmy, iż równowaga wymiany powyżéj scharakteryzowana jest stanem idealnym, ku któremu siły walczące na rynku wciąż się zbliżają, nie urzeczywi

stniając jéj w zupełności. Otóż i teoretyczne rozwiązywanie zadań tak złożonych musi także zadawalać się tylko pewnym stopniem przybliżenia. Równowaga wymiany jest stanem idealnym, tyleż jednak uzasadnionym w nauce, co i stan idealny poziomu oceanu.

Ze wszystkiego, cośmy powyżéj mówili, wypada, że, jeżeli jest dane prawo proporcyonalności napięcia ostatnich potrzeb zaspokojonych do wydatków dowolnych, to ceny bieżące równowagi wymiennéj są zupełnie określone. Można więc w tym sensie powiedziéć iż—o ile rozpatrujemy wymianę — napięcia ostatnich potrzeb zaspokojonych, czyli użyteczności elementarne są przyczyną cen bieżących, czyli stóp wymiennych, czyli nareszcie wartości wymiennych.

Wyrazu „wartość" używać będziemy tylko w znaczeniu stopy wymiennéj, stosunku ilościowego, w jakim jeden towar wymienia się na drugi. Stosunek ten zależy od dwu czynników, od użyteczności i od ilości istniejącéj każdego towaru, które razem składają się na wytworzenie użyteczności elementarnéj. Wartość zależy od téj ostatniéj. Nie należy jéj mieszać z użytecznością wogóle. Użyteczność przedmiotu może być nieskończenie wielka, a jednak nie będzie on miał żadnéj wartości, jeżeli ilość istniejąca przewyższa potrzebę, np. powietrze, lub woda. By przedmiot miał wartość trzeba, by nie tylko był użyteczny, ale także by był ograniczony w ilości, tak powietrze w miejscach, gdzie go nie staje, natychmiast nabywa wartości. Z drugiéj strony są przedmioty bardzo małéj użyteczności, ale istniejące w ilościach nader ograniczonych i dlatego mające wielką wartość, np. niektóre przedmioty zbiorów muzealnych. Wszystkie te czynniki są objęte przez „użyteczność elementarną", lecz bynajmniéj nie przez „użyteczność" wogóle. Chciano także zrobić z „pracy" przyczynę wartości. Jestto słuszne o tyle, iż praca jest jednym z czynników za pomocą których można wpływać na ilość przedmiotów wytworzonych, a zatém i na ich wartość; ilość ta przecież zależy nie tylko od pracy, ale i od warunków naturalnych, np. od nieurodzaju, gradobicia i t. d., a zresztą wartość zależy nie tylko od ilości ale i od użyteczności. Otóż wszystkie rzeczy istnieją w ilościach ograniczonych i z właściwościami specyalnemi — i nie zawsze można właściwości te fabrykować jedynie nakładem większéj pracy—np. cygara hawańskie, wino szampańskie etc. Są rzeczy rzadkie i drogie jak posągi starożytne, a na wartość ich praca w żaden sposób wpływać nie może. Nareszcie praca nie jest czémś jednorodném, i niema stanowczo współczynników, któreby pozwoliły sprowadzić wszystkie rodzaje pracy do jednéj wspólnéj, ogólnoludzkiéj. Próbował to uczynić Marx, ale — niestety — w ostatnim tomie „Kapitału" poczynił w swéj doktrynie takie zmiany, iż ktoby chciał jeszcze obec-

nie twierdzić, iż towary wymieniają się według pracy społecznie niezbędnéj na ich wytworzenie, byłby większym papistą niż sam papież. Marx mianowicie dowodzi w III tomie swego dzieła, iż miara powyższa wartości panowała tylko w społeczeństwach pierwotnych i w średniowiecznych, opartych na gospodarstwie naturalném, w nowożytnych natomiast zamiana odbywa się na zasadach zupełnie innych. Nie chcemy tém bynajmniéj zmniejszać doniosłości dzieła Marxa, która jest olbrzymia pod innemi względami—ale nie o to nam tu chodzi.

Dawniejsza ekonomia, obierając za istotę wartości czy to użyteczność wogóle, czy to pracę, stawała na gruncie z zasady fałszywym. Wartość nie oznacza ani rzeczy, ani nawet własności wewnętrznéj rzeczy: jest ona stosunkiem ilościowym, proporcyą, według któréj jedna rzecz zamienia się na drugą—i niczém więcéj. Jeżeli na pewnym rynku 80 funtów żelaza zamienia się na jeden funt złota, to ani żelazo, ani złoto, ani téż ich właściwości naturalne, ani praca w nich zawarta nie stanowią wartości, gdyż jest nią tylko stosunek 1 do 80-ciu. Otóż, rozpatrując rynek widzieliśmy, iż jest on systemem równań (budżetów, o których powyżéj mówiliśmy i t. d.) i że ten system równań matematycznych zupełnie wystarcza dla określenia, czemu złoto zamienia się na żelazo w stosunku jednego do 80-ciu, również jak i dla określenia wszystkich innych stop wymiennych, czyli wartości. I to absolutnie wystarcza, naukowo mówiąc. Rozpatrując zarazem powyższy system równań (czyli budżetów) widzimy, iż w nich ceny (czyli stopy wymienne, lub wartości) są proporcyonalne do użyteczności elementarnych [1]). Oto dlaczego można te ostatnie uważać — o ile chodzi tylko o wymianę—za przyczynę bezpośrednią, ale nie za istotę, wartości. Same bowiem użyteczności elementarne nie są czémś niezależném. Zmieniają się one wraz z użytecznością przedmiotów i wraz z ich ilością. Użyteczność zaś i ilość przedmiotów zależą nie tylko od warunków smaku, spożycia i wymiany, ale także od warunków wytwarzania: postęp techniczny i ilość wytworzona produktów, wpływają na użyteczności elementarne, a także na wartości. A zatém, by poznać istotę wartości, musimy się jeszcze zastanowić nad wszystkiemi warunkami wytwarzania i gromadzenia bogactw. Wówczas téż będziemy mogli pojąć całą dziecinność określeń, które istotę wartości upatrywały w rzeczach lub ich własnościach, w pracy, lub w użyteczności.

Zanim jednak przejdziemy do rozbioru produkcyi i gromadzenia

---

[1]) Które nb. same przez się są także tylko stosunkiem matematycznym, nie zaś rzeczą ani własnością rzeczy: użyteczność elementarna jestto współczynnik różniczkowy użyteczności względem ilości danego przedmiotu.

bogactw, możemy już teraz zauważyć wpływ, jaki mają zmiany w smakach lub spożyciu na stopy zamienne, czyli wartości. Ponieważ rynek zamienny jest systemem równań, to wszystko, co zmienia w nich którąkolwiek bądź daną, zmienia natychmiast cały system wszystkich stóp zamiennych (wartości). Teoretycznie mówiąc, jeżeli zamiast jednego funta cukru — który zwykle codziennie kupuję — kupię pewnego dnia dwa funty, dzięki zmianie smaku i spożycia, to tym faktem—o ile rozpatrujemy tylko zamianę—zmieniam nie tylko cenę cukru wogóle, ale także cenę (wartość) [1]) wszystkich innych towarów. Jestto oczywistém dla wielkich aktów kupna. Jeżeli np. kupuję naraz kilka milionów funtów cukru, cena jego natychmiast wzrasta, gdyż ze zmniejszeniem ilości użyteczność jego elementarna wzrasta. Spożywcy, płacąc więcéj za cukier, będą musieli ograniczyć użyteczności elementarne innych swych potrzeb, ceny wszystkich innych towarów spadną. Zmiany te mają miejsce przy wzroście chociażby najnieznaczniejszym kupna, ale ceny nie są dość czułe, by je odrazu zaznaczać: tak termometr oznacza zmiany temperatury tylko w określonych granicach, teoretycznie jednak mówiąc, powinien byłby zaznaczać wszelkie, chociażby najmniejsze.

IV. Teorya produkcyi i kapitalizacyi.

Dotychczas zajmowaliśmy się wymianą produktów już gotowych, obecnie musimy zająć się wytwarzaniem. Naprzód jednak damy kilka określeń. Wogóle mówiąc, ta część ekonomii matematycznéj opracowana została głównie przez prof. Walrasa. Autor nazywa kapitałem wszelkie dobro ekonomiczne, które służy kilkakrotnie w procesie wytwarzania i dzieli je na kapitały osobowe, ruchome i gruntowe (*capitaux personnels*, *mobiliers et fonciers*). Kapitały osobowe są to istoty ludzkie, gruntowe — ziemie, do kapitałów ruchomych nareszcie autor zalicza wszystkie pozostałe t. j. budowle, narzędzia, kruszce drogocenne i t. d. Każdorazowe użycie kapitału nazywa się jego usługą (*service*). Usługi mające użyteczność bezpośrednią dla ich właściciela nazywają się spożywczemi, te zaś które posiadają użyteczność tylko pośrednią, udziałem przyjmowanym w produkcyi—usługami wytwórczemi. Każdy kapitał może dostarczać obadwa rodzaje usług.

---

[1]) Używamy wszędzie „cenę“ i „wartość“ jako wyrażenia równoznaczne, gdyż cena przedmiotu jest tylko jego wartością (użytecznością elementarną) wyrażoną w wartości (użyteczności elementarnéj) złota. Ale jedyną formą realną wartości są ceny, poza tém istnieją one tylko jako stany duchowe, jako użyteczności elementarne.

Człowiek próżnujący spożywa usługi swego kapitału osobistego, usługi zajętego—to praca. Usługi spożywcze kapitałów gruntowych to przechadzki w parkach, widoki i t. p., kapitały te dostarczają natomiast usług wytwórczych, gdy służą do posiewów, do budowania fabryk etc. Nareszcie usługi ruchome mogą także być spożywcze (przedmioty, które kupujemy dla własnego użytku za pieniądze zaoszczędzone) i wytwórcze (udział tych pieniędzy w produkcyi i t. p.).

Cena usług spożywczych może być określona narówni z ceną wszelkich towarów gotowych w teoryi wymiany, gdyż one przedstawiają pewną użyteczność elementarną bezpośrednią dla ich właścicieli. Co się tyczy cen usług wytwórczych, t. j. płacy roboczéj (ceny pracy), renty (ceny usług ziemi) i procentu (ceny usług kapitału ruchomego), to one nie mogą być ustawione w teoryi wymiany, gdyż usługi te nie posiadają użyteczności elementarnéj bezpośredniéj dla ich posiadaczy, lecz w teoryi wytwarzania. Tę ostatnią Walras przedstawia w sposób następujący. Przedsiębiorca jest osobą, która wynajmuje usługi wytwórcze kapitałów (pracę, rentę i usługi ruchome) i kombinuje je w sposób odpowiedni dla wytworzenia towarow gotowych. Stara się on przytém, by koszta wytwarzania były równe cenie tych ostatnich, a także używa każdéj usługi tylko ilość ściśle niezbędną przy stanie danym wiedzy technicznéj. Te ilości usług potrzebne dla wytworzenia jednostki danego towaru nazywają się w s p ó ł c z y n n i k a m i w y t w a r z a n i a (*coëfficients de fabrication*). Przedsiębiorca otrzymuje za swe zachody odpowiednią płacę, jak i każdy inny pracownik i płaca ta wchodzi w koszta wytwarzania. Jeżeli wkłada w przedsiębiorstwo oprócz swéj pracy jeszcze pewien kapitał otrzymuje zeń procent—i nic więcéj. Walras odrzuca w ten sposób specyalne źródło dochodu zwane zyskiem przedsiębiorczym (*bénéfice de l'entrepreneur*), któremu nie może odnaléźć odpowiedniego źródła, Jestto — jak to daléj zobaczymy— jeden z punktów słabych teoryi. Tymczasem jednak poprzestaniemy na jéj wykładzie. Bardzo prostym rachunkiem matematycznym można wykazać, iż wyliczone powyżéj warunki pozwalają ułożyć system równań w ilości téj saméj, co ilość niewiadomych [1]). Zagadnienie produkcyi jest więc zupełnie określone i w ten sposób znajdujemy ceny usług wytwórczych, a także ilości tych usług, które wymienione zostały. Praktycznie zagadnienie to rozstrzyga się w sposób następujący. Ceny towarów gotowych ustanowione zostają—jak widzieliśmy— na rynku wymiany, popytem i podażą. Przedsiębiorcy kombinują i przystosowują usługi wytwórcze do tych cen, w sposób taki, by koszta

---

[1]) Walras: Elements—Théorie de la production.

wytwarzania były im równe. Jeżeli się zdarzy, iż koszta wytwarzania są wyższe od cen towarów, przedsiębiorcy ograniczają produkcyę i ilość użytych usług wytwórczych, w przeciwnym razie postępują odwrotnie. Zmieniając w ten sposób ilości towarów wytwórczych aż do chwili, gdy koszta wytwarzania równe są cenom towarów, wiedzą oni nareszcie, jaka ilość usług jest potrzebna i taki właśnie popyt stawiają. Popyt na usługi wytwórcze zależy więc w rezultacie od cen towarowych: jeżeli te ostatnie rosną, wzrasta popyt na usługi, w przeciwnym razie dzieje się odwrotnie. A od czego zależy podaż usług wytwórczych ze strony ich posiadaczy, właścicieli ziemskich, kapitalistów i robotników? Teoretycznie mówiąc, będą one ofiarowane w całéj ilości istniejącéj i za wszelką cenę, gdyż nie posiadają żadnéj użyteczności bezpośredniéj dla ich posiadaczy. Tak robotnik np. nie może żyć bezpośrednio ze swéj pracy, gdyż warunki współczesne wytwarzania wymagają narzędzi i materyałów surowych, których on nie posiada; musi więc koniecznie pracę swą sprzedać, zastosowując się do ceny i ofiarowanéj przez przedsiębiorcę. Toż samo powiedziéć można o usługach wytwórczych ziemi i kapitału ruchomego — z zastrzeżeniami, o których w dalszym ciągu wspomnimy. Znana więc jest podaż usług wytwórczych, również jak i popyt: a zatém znana jest ich cena, która jest właśnie stosunkiem popytu do podaży.

Stan idealny, w którym popyt każdéj usługi jest równy jéj podaży, w którym każda ma jedną stałą cenę, a suma cen trzech odpowiednich usług równa się cenie odnośnego towaru—nazywa się stanem równowagi wytwarzania. Jestto stan, który nigdy w zupełności się nie urzeczywistnia, lecz ku któremu gra wszystkich sił ekonomicznych dotychczas przez nas rozpatrzonych automatycznie dąży. I tu można użyć porównania z poziomem idealnym oceanu, który w rzeczywistości nigdy nie bywa osiągnięty — ale mamy zupełne prawo rozpatrywać go, jako możliwy teoretycznie.

Teorya wymiany dała nam sposób określania cen towarów, teorya wytwarzania — cen usług wytwórczych, w obudwu wypadkach opieraliśmy się jedynie na siłach psychologicznych, automatycznie działających. Ani razu nie zapytaliśmy się, czy rezultaty tych działań, ceny, są słuszne lub nie, gdyż pytanie tak postawione, wychodzi poza zakres ekonomii naukowéj. Widzieliśmy np. jak ustanawia się cena usług ziemi, czyli renta i cena usług kapitału, czyli procent, w zależności od wszystkich innych warunków zamiany (od ceny towarów) i wytwarzania, w sposób czysto mechaniczny. Wcale zaś nie stawialiśmy sobie pytania, jakie jest pochodzenie tych cen, czy one są nagrodą za „oszczędność” — gdyż niektórzy chcą uważać kapitał za owoc oszczę-

dzania—czy téż wprost łupiestwa, jak to inni utrzymują. Z kury kradzionéj można zrobić bardzo dobry rosół. Jakiekolwiek jest pochodzenie kapitału, bierze on pewien udział w ustanowieniu cen — w sposób czysto mechaniczny. Otóż chodzi nam jedynie o zbadanie téj mechaniki ekonomicznéj. I zdaniem naszem, ci z pomiędzy ekonomistów matematyków (jak np. Walras), którzy wychodzą po za to stanowisko i uważają procent np. za wynagrodzenie oszczędności, już znajdują się na drodze apologetyki pewnych stosunków, nie zaś na gruncie nauki. Ta ostatnia może nam tylko pokazać, w jaki sposób cena towarów, określona za pomocą wymiany, rozpada się na kilka części składowych, na ceny usług wytwórczych, odpowiednio do ich udziału w produkcyi [1]), który się wyraża w popycie na nie i w ich podaży; może także pokazać, w jaki sposób ceny samych towarów zależne są od cen tych usług—ale nic po za tém.

Widzieliśmy dotychczas jak się określają ceny towarów (w teoryi wymiany) i ceny usług wytwórczych (w teoryi produkcyi). Pozostaje nam jeszcze rozpatrzyć mechanizm, zapomocą którego ustanawiają się ceny kapitałów — i to stanowi przedmiot teoryi kapitalizacyi. Ceny ustanowione w teoryi wytwarzania są cenami *brutto* usług wytwórczych różnych kapitałów. Jeżeli od tych cen odciągniemy ratę amortyzacyjną (na odnowienie kapitału w miarę zużycia) i ratę asekuracyjną (zabezpieczającą od możliwych wypadków), to, co zostanie, stanowi cenę *netto* usług wytwórczych kapitału, która podzielona przez kapitał stanowi procent. Otóż wolna konkurencya, przerzucając kapitały do gałęzi produkcyi, gdzie dochód jest wyższy, prowadzi koniecznie do tego, by procent czysty wszelkich kapitałów — osobowych, ruchomych i gruntowych—był jednakowy. Mając zaś stopę precentu—która zależy od popytu i podaży kapitałów, czyli od ich nagromadzenia, od kapitalizacyi — a także mając cenę usług wytwórczych każdego kapitału ustanowioną, jak to wyżéj widzieliśmy w teoryi produkcyi, łatwo odnaléść można cenę samych kapitałów. Jeżeli np. cena usług pewnéj ziemi, czyli renta równą jest 300 fr., a stopa procentowa średnia jest 5%, to cena ziemi, która jest tylko skapitalizowaną rentą, będzie oczywiście $\frac{300.100}{5}$ czyli 6,000 fr. Zupełnie w ten sam sposób znaléźć można cenę kapitałów osobowych i ruchomych. Będzie ona tém wyższa im stopa procentowa (mianownik) jest mniejsza i odwrotnie. Ale cena kapitałów zależy oczywiście także od ceny usług wytwórczych, t. j. płacy ro-

[1]) Tą kwestyą zajmiemy się jeszcze w rozdziale następnym „o podziale bogactw.“

boczéj, renty i dochodu z kapitału (od 300 fr. renty w naszym przykładzie), te zaś ostatnie, jak powyżéj widzieliśmy, zależą od ceny towarów, ustanowionéj w teoryi wymiany, proporcyonalnie do użyteczności elementarnych. Z drugiéj jednak strony te ostatnie, a zatém i ceny towarów, zależne są od popytu i podaży usług wytwórczych i kapitałów t. j. od cen tych usług i kapitałów. Między cenami towarów, usług i kapitałów istnieje więc współzależność tego rodzaju, iż ze zmianą któréjkolwiek z nich pozostałe także się zmieniają. Nie jestto związek przyczyny i skutku, lecz współzależność wzajemna, jaka istnieje zwykle w każdym systemie. Niektórzy autorowie dużo rozprawiali o tém, czy należy uważać koszta wytwarzania (ceny usług wytwórczych) za przyczynę, czy też za skutek cen towarowych. Kwestya tak postawiona nie mogła być rozstrzygnięta, gdyż była postawiona fałszywie. Jedyna rzecz, którą twierdzić można jest następująca: w stanie idealnym równowagi ekonomicznéj, obejmującym trzy równowagi cząstkowe — wymiany, produkcyi i kapitalizacyi—koszta wytwarzania są równe cenom towarowym. Określaliśmy już poprzednio te równowagi cząstkowe: równowaga wymiany jest stanem idealnym, w którym popyt towarów jest równy podaży a każdy towar ma tylko jedną cenę, równowaga wytwarzania musi odpowiadać tym samym warunkom dla usług wytwórczych i nareszcie równowaga kapitalizacyi jest stanem, w którym popyt na kapitały jest równy ich podaży i stopa procentowa jest równa dla wszystkich kapitałów. Tylko więc w stanie idealnym, któryby urzeczywistniał wszystkie te trzy równowagi cząstkowo, miałaby miejsce ogólna równowaga ekonomiczna, przypominająca idealny poziom oceanu i tylko w tym stanie koszta wytwarzania towarów byłyby równe ich cenie. Każda jednak przyczyna, która narusza jedną z równowag częściowych, narusza zarazem i ogólną równowagę ekonomiczną i powoduje odchylenie ceny od kosztów wytwarzania. Ale jak w systemie materyalnym (czyli jakiémkolwiek bądź ciele) wyprowadzonym z równowagi zjawiają się natychmiast siły automatyczne, które starają się powrócić go do pierwotnego stanu, tak samo w systemie ekonomicznym każda przyczyna, naruszająca równowagę, wywołuje siły automatyczne, dążące do odrodzenia stanu idealnego. Zastanówmy się z tego punktu widzenia nad wytwarzaniem. Przypuśćmy, iż równowaga cząstkowa wymiany już ustanowiona została. Ceny usług wytwórczych zastosują się do nich za pomocą całego szeregu prób. Jeżeli przypadkiem są one odrazu takiemi, iż koszta wytwarzania są równe cenom towarowym, równowaga wytwarzania jest odrazu osiągnięta. W rzeczywistości jednak przypadek ten nigdy się nie zdarza. Niektóre ceny towarowe będą wyższe od ksztów wytwarzania i przedsiębiorcy

rozwijają te gałęzie, inne ceny będą niższe od kosztów odpowiednich i przedsiębiorcy ograniczają swe interesa. Ilości towarów ofiarowanych przez nich na rynku są w ten sposób zmienione, przez co naruszona zostaje równowaga początkowa wymiany i ceny towarowéj. Trzeba więc ustanowić nową równowagę wymiany przy nowych warunkach, co zmieni ponownie ceny towarowe i ceny usług. Próby te będą powtarzane aż do chwili, gdy dopięta zostanie równość cen towarowych z kosztami wytwarzania, a zarazem równowaga ekonomiczna. Nareszcie, ona będzie w ten sam sposób naruszana i odradzana przez wszystkie warunki kapitalizacyi, aż do ustanowienia jednéj ogólnéj równowagi ekonomicznéj.

Tylko w tym stanie idealnym ceny towarów byłyby równe kosztom wytwarzania. Ale ponieważ on nigdy urzeczywistnianym nie jest, więc istnieje zawsze pewne odchylenie między niemi. Wszystkie trzy równowagi cząstkowe — wymiany, produkcyi i kapitalizacyi — są najściśléj między sobą związane, i wszystko, co narusza jedną z nich, odbija się natychmiast naruszeniem dwu pozostałych. Przeto wartość ustanawiana drogą wymiany, zależy nie tylko od warunków wymiany, ale także od warunków produkcyi i kapitalizacyi. A zatém wartość, czyli cena przedmiotu jest faktem niesłychanie złożonym, zależnym od wszystkich warunków ogólnéj równowagi ekonomicznéj. Wartość danego przedmiotu, np. kapelusza, zależy nie tylko od popytu i podaży kapeluszy i wszelkich wogóle towarów, ale także od warunków produkcyi, t. j. od płac roboczych, od renty, od dochodu z kapitału, od współczynników wytwarzania t. j. od zmian zachodzących w technice i nareszcie od warunków kapitalizacyi, t. j. od popytu i podaży kapitałów, a także od stopy procentowéj. Wszelka zmiana, zachodząca w którymkolwiekbądź z tych warunków, odbija się natychmiast naruszeniem ogólnéj równowagi ekonomicznéj, równowagi wymiany, a zatém i wartości każdego towaru. Wartość każdego przedmiotu jest więc oznaką pewnego stanu ekonomicznego, stosunków nadzwyczaj skomplikowanych, o charakterze ilościowym, matematycznym, które w żaden sposób wyrazem praca lub użyteczność ujęte być nie mogą. Są to orzeczenia dobre dla życia potocznego, ale na nic nie przydatne w nauce. Tak temperatura przedmiotu wydaje się na zwykłe oko czémś bardzo powierzchownem, co wymierzyć można ręką lub termometrem, i na tém koniec, lecz dla fizyka temperatura oznacza nadzwyczaj głęboki stan molekularny ciała, oznacza pewną szybkość drgań cząsteczkowych i t. d. Tak samo wartość, cena: są to tylko oznaki zewnętrzne nader głębokich stanów wewnętrznych całego agregatu ekonomicznego. Można i należy badać odnośne stosunki, t. j. zależność, jaka istnieje mię-

dzy ceną a popytem i podażą towarów, między ceną a stanem płac roboczych, renty, stopy procentowéj lub warunkami technicznemi wytwarzania—wówczas teorya matematyczna równowagi ekonomicznéj zamieni się w naukę ścisłą, przebiegłszy zarazem wszystkie etapy, które poprzednio wskazaliśmy. Dużo jednak czasu jeszcze upłynie, zanim ekonomia polityczna do tego stanu dojdzie. Bądź co bądź, teorya matematyczna równowagi będzie stanem przejściowym, który nas zbliża ku temu ideałowi. Nic zresztą nie przeszkadza, by dotychczasowe teorye ekonomiczne, biorące za punkt wyjścia bądź pracę, bądź użyteczność, nie mogły rozwijać się niezależnie w dalszym ciągu, badając tymczasowo tylko czysto jakościowe stosunki rzeczy. I owszem, prace tego rodzaju mogą być pożyteczne, wykazując braki i słabe strony ekonomii matematycznéj, która będzie musiała uwzględnić te krytyki. Obiedwie metody mają więc tymczasowo prawo równoległego rozwoju: one nietylko nie przeszkadzają sobie w ten sposób, ale owszem, pomagają jedna drugiéj.

V. Podział bogactw.

Wyłożona powyżéj teorya równowagi ekonomicznéj pokazuje odrazu, iż wszystkie warunki wymiany, produkcyi i kapitalizacyi są ze sobą ściśle związane, tak np. płaca robocza, renta i procent, nie mogą być określone każda zosobna i niezależnie: są to trzy niewiadome tegoż samego zadania, które muszą być określone jednocześnie i wraz ze wszystkiemi innemi niewiadomemi równowagi ekonomicznéj. Chodzi tylko o dowiedzenie, iż ilość warunków danych, a zarazem i równań, które zbudowane być mogą, jest ściśle równa ilości niewiadomych. Otóż bardzo prosty rachunek matematyczny pokazuje, że tak jest [1]). Praktyczny jednak wniosek, który stąd wyprowadzić się daje, jest następujący: nie można postawić teoryi płacy roboczéj osobno, teoryi renty osobno i teoryi procentu osobno—jak to czynili dawniejsi ekonomiści. Podział bogactw wynika ze wszystkich warunków równowagi ekonomicznéj i po za nią w żaden sposób zrozumiany być nie może. Zauważmy, iż jedną z przyczyn gruntownych, które ją zmieniają, to monopol i on téż najbardziéj narusza podział, któryby wypływał z wolnéj konkurencyi. Ta ostatnia ma dążność dostarczenia wszystkim uczestnikom wymiany *maximum* użyteczności, jaką tylko wogóle zdo-

---

[1]) Rachunek ten znaléść można w „Elementach“ prof. Walrasa, albo téż w „Kursie“ prof. Pareto.

być mogą. Natomiast monopol narusza to prawo i zapewnia monopoliście więcéj, reszcie społeczeństwa mniéj, niż otrzymaliby przy wolnéj konkurencyi.

Jak rzekliśmy, nie można zbudować teoryi płacy roboczéj niezależnie od teoryi renty i niezależnie od teoryi procentu. Walras dał znakomitą krytykę teoryi podziału bogactw ekonomistów angielskich, mającéj właśnie tę wadę. Rozumowali oni w sposób następujący: cena towaru jest niewiadomą, którą określić należy, dodając do siebie koszta wytwarzania (płacę roboczą + rentę + procent z kapitału). Należy więc naprzód określić te koszta. Płaca robocza zależy według nich od „funduszu pracy" dzielonego przez ilość robotników. Otóż fundusz ten—jak Walras słusznie powiada—jest czystym mitem, jeżeli ma on wogóle jakiekolwiek znaczenie, to tylko to, iż jest sumą płac realnie wypłacanych ludności pracującéj, a zatém nie płaca zależy od „funduszu płacy", lecz odwrotnie, on sam zależy od płacy. Właściwie więc mówiąc, szkoła angielska nie dała teoryi płacy roboczéj. Następnie wystawia teoryę renty, według któréj ta ostatnia nie wchodzi, jako część składowa do ceny towarów, albowiem cena ta ustanawia się w warunkach produkcyi najgorszych, na ziemi ostatniego gatunku, która wcale renty nie płaci. W ten sposób niewiadoma cena towaru = płacy roboczéj (nibyto już określonéj) + procent z kapitału. I wreszcie, by określić procent szkoła ta powiada, iż jest on równy cenie towaru (która wszak jeszcze jest niewiadomą!), od któréj należy odciągnąć płacę roboczą. W ten sposób określa jednę niewiadomą za pomocą drugiéj.

Jestto błędne koło, z którego wyjścia nie ma po za teoryą równowagi ekonomicznéj.

Ta ostatnia pokazuje, iż cena towaru, płaca robocza, renta i procent są to cztery niewiadome tegoż samego zadania, które muszą być określone jednocześnie, tylko matematyka pokazać może, iż jestto zadanie rozwiązalne, t. j. że można zbudować tyleż równań, ile jest niewiadomych.

Płaca robocza zależy więc nie od żadnego „funduszu pracy", który nie istnieje, lecz od wszystkich warunków systemu ekonomicznego i dowolnie ona zmienioną być nie może, lecz wzrasta lub spada odpowiednio do zmian zachodzących w warunkach, które określają równowagę ekonomiczną. Tak położenie wskazówki na barometrze zależy od wszystkich warunków wewnętrznych (budowy mechanizmu) i zewnętrznych (ciśnienia atmosfery). Wprawdzie mogą być przyczyny sztuczne, rdza, kurz i t. p., które odchylają wskazówkę od jéj naturalnego położenia, zawarunkowanego przez ogólną równowagę całego sy-

stemu. I dlatego dobrze jest od czasu do czasu potrząść barometr, by wskazówka zajęła położenie należyte. Toż samo system ekonomiczny: płaca robocza nie zawsze może należycie zastosowywać się do rozwoju wszystkich warunków równowagi i dlatego dobrze jest od czasu do czasu wstrząsnąć systemem, by należyte położenie klasy roboczéj wystąpiło na jaw. Tylko o tyle może ona miéć wpływ na stan płacy, którą otrzymuje. Tak samo zupełnie procent nie jest zależny od woli kapitalistów, ani téż od innéj jakiéjś cząstkowéj przyczyny, lecz od całości wpływów działających na system ekonomiczny. Nareszcie, co do renty, Walras słusznie wskazuje, wbrew teoryi Ricardo, że, przynajmniéj w państwach cywilizowanych, gdzie nie ma gruntów wolnych, ziemia, chociażby nawet najgorszego gatunku, daje pewną rentę, albowiem stanowi ona swego rodzaju własność monopoliczną. Z drugiéj strony Marshall, a w ślad za nim Pareto, wykazują, że renta nie jest zjawiskiem specyalnie właściwém ziemi, lecz że zjawia się wszędzie, gdzie oszczędności nie mogą być zamienione na kapitał, gdzie zatém ilość wytworów nie może być dowoli zwiększana. A zatém np. wszelki artysta o zdolnościach wyjątkowych otrzymuje rentę. Nareszcie Walras, a w ślad za nim i Weekstead, krytykują teoryę Ricardo z innego jeszcze punktu widzenia, a mianowicie: zdaniem angielskiego ekonomisty renta nie jest przyczyną, lecz skutkiem ceny. Walras i Weekstead odpowiadają na to, iż toż samo można powiedziéć poniekąd i o płacy roboczéj i o procencie, albowiem wszystkie te trzy źródła dochodu są częściami składowemi ceny towarów, od któréj zależą.

Opiérając się na téj uwadze, Weekstead, a także ekonomista włoski Barone formułują teoryę podziału bogactw w sposób następujący.

Nazywają oni c z y n n i k a m i w y t w a r z a n i a kapitały, których usługi zamieniają się, odpowiednio skombinowane, na produkty, a — w y t w ó r c z o ś c i ą k r a ń c o w ą (*marginal productivity*) wzrost produkcyi, wywołany zwiększeniem bardzo drobném jednego z czynników wytwarzania. Jeżeli np. używając téj saméj ilości pracy i kapitału, zwiększymy o t r z y małe części przestrzeń ziemi uprawnéj i jeżeli dzięki temu ilość chleba otrzymanego zwiększa się o c z t e r y jednostki, to wytwórczość krańcowa będzie $^4/_3$. Otóż oczywista rzecz, iż przedsiębiorca zwiększa lub zmniejsza ilość danéj usługi, użytéj odpowiednio do tego, czy wartość przyrostu téj usługi jest niższą lub wyższą od wartości odpowiedniego przyrostu produktu. Przedsiębiorca probuje, zastępuje jedną usługę przez drugą (np. pracę przez maszyny lub odwrotnie) aż dopóty, gdy nie ma dlań żadnéj różnicy, czy użyje nowego przyrostu jednéj lub drugiéj usługi. Punkt ten równowagi

otrzymany będzie wówczas, gdy cena produktu określona przez wymianę rozpada się pomiędzy czynnikami produkcyi proporcyonalnie do ich wytwórczości krańcowéj [1]). Jestto wniosek wyprowadzony z teoryi równowagi ekonomicznéj, którą poprzednio wyłożyliśmy. W każdym razie widzimy, iż podział bogactw zależy od ogólnéj równowagi ekonomicznéj i otrzymuje się w sposób zupełnie automatyczny pod wpływem wszystkich sił, stanowiących system gospodarczy. Podział bogactw odbywa się pod działaniem ogólnych praw mechaniki ekonomicznéj, tych samych, które rządzą wymianą, wytwarzaniem i gromadzeniem bogactw. Jest on ostatecznym ich wyrazem, ale i punktem wyjścia w formach własności.

Oczywista rzecz, że jeżeli społeczeństwo opiéra się na nierówności własnościowéj, to równowaga ekonomiczna przystosuje się tylko do istniejących nierówności, nic w nich nie zmieniając. Cząstkowe udowodnienie tego prawa znaléść można w IV-ym rozdziale *Theory of political economy* Jevonsa, gdzie autor pokazuje, iż w wypadku bezpośredniéj zamiany, odbywającéj się między dwiema osobami, mającemi majątki nierówne, obadwaj wymieniający doprowadzają zadośćuczynienie swych potrzeb do *maximum* względnego, zgodnego z warunkiem, iż każdy z nich zachowuje prawo własności na swój towar. Jestto podział indywidualistyczny, kierowany wolą jednostek i pozostawia nienaruszoną n i e r ó w n o ś ć bogactw, która istniała przed wymianą. Toż samo powiedziéć można o wszelkich rodzajach wymiany, z jakiekiemi dotychczas mieliśmy do czynienia: nietylko przedmiotów spożycia, ale usług wytwórczych lub kapitałów. Jeżeli zaś powyższa nierówność—w położeniu kapitału osobowego i rzeczowego — ma charakter monopoliczny, wówczas wymiana nietylko nie zostawia jéj nienaruszoną, lecz i owszem dąży do jéj zwiększenia z korzyścią monopolisty i z uszczerbkiem dla drugiéj strony, która jest wyzyskiwana. Okoliczność ta—do któréj w dalszym ciągu jeszcze powrócimy — zmienia poniekąd wyłożoną powyżéj teoryę podziału, opartą na przypuszczeniu doskonałego współzawodnictwa i pozwala wprowadzić obok trzech źródeł dochodu: płacy roboczéj, renty i procentu, przyjętych przez Walrasa, inne jeszcze, dochód przedsiębiorcy. Wypuszczenie tego ostatniego, jako źródła samodzielnego, był jednym z punktów słabych teoryi Walrasa, ale wypadał on koniecznie z przypuszczenia konkurencyi doskonałéj. Wogóle ta strona kwestyi, wpływ wyżéj wskazanego monopolu na ogólną równowagę ekonomiczną dotychczas jeszcze wcale przez ekonomistów-matematyków uwzględniony nie był. W rozdziale

---

1) Bliższych wyjaśnień szukać należy w Dodatku do „Elementu“ Walrasa.

następnym pokażemy, jak on, zdaniem naszém, zmienia teoryę ogólnéj równowagi ekonomicznéj i w jaki sposób powinien być badany. Tu tylko zauważymy, że jeżeli kapitał otrzymuje pewną nadwartość, to może ustąpić pewną jéj część przedsiębiorcy, jako „dochód przedsiębierczy”.

VI. Teorya ogólnéj równowagi ekonomicznéj.

Dotychczas wychodziliśmy z założenia ściśle naukowego, iż dana osoba może porównywać trwanie i natężenie różnych swych wrażeń, że natomiast dla osób rozmaitych porównania te są niemożliwe, albowiem nie ma dla nich wspólnéj jednostki miary. Niektórzy ekonomiści—jak np. Edgeworth—sądzą jednak, iż ewolucya społeczna coraz bardziéj zbliża nas do stanu, w którym porównania takie stają się możliwe. Ona czyni nas coraz podobniejszymi jednych do drugich, wytępiając jednostki nazbyt odskakujące od typu średniego. W takim zaś razie można już porównywać—w granicach jednego narodu—przyjemność danéj jednostki z przyjemnością innéj, można określić przyjemność lub użyteczność grupy, przyjemność średnią. Przypuszcza się tu, iż drobny przyrost użyteczności przedstawia wartość jednakową dla wszystkich członków danéj grupy. Suma przyjemności, którą pewien agregat społeczny odczuwa, zależéć będzie od ilości jednostek, od natężenia ich czucia i od czasu jego trwania. By zdobyć tę masę przyjemności, agregat społeczny i jego członkowie muszą się oddawać wysiłkom i przykrościom, związanym z wytwarzaniem i gromadzeniem bogactw. Otóż każdy system sił, działających czy to w agregacie materyalnym, czy w agregacie społecznym, dąży do równowagi. Równowaga ustanawia się w systemie ekonomicznym między dążeniem do przyjemności i między przykrościami w tém dążeniu napotykanemi. System ekonomiczny znajduje się w równowadze, gdy wszelkie naruszenie tego stanu wywołuje w samym systemie siły, które dążą do postawienia go ponownie w pozycyi pierwotnéj. Gra naturalna wymiany, produkcyi i kapitalizacyi dąży, przy wolném współzawodnictwie, wciąż do tego stanu idealnego, który bywa naruszany tylko przez monopole. Ta kwestya monopolów gra rolę pierwszorzędną, gdyż stosuje się nietylko do zjawisk wyjątkowych życia ekonomicznego, lecz wchodzi do jego podstaw.

Walras, a w ślad za nim i Pareto, przyznają ten charakter monopolu własności ziemskiéj. Nam jednak się wydaje, że to pojęcie monopolu może być rozszerzone na daleko większe zakresy. A mianowicie: czy kapitały osobowe (osoby ludzkie) mogą być rozpatrywane, ja-

ko znajdujące się w tych samych zupełnie warunkach, co i kapitały ruchome, jakby tego wymagała wolna konkurencya, pojmowana w sposób idealnie doskonały? Idealne współzawodnictwo wymaga zupełnéj równości stron przy zgadzaniu się, czego w danym wypadku bynajmniéj nie ma: usługi wytwórcze (czy to osób, czy kapitałów) nie przedstawiają żadnéj bezpośredniéj użyteczności dla swych posiadaczy i muszą dlatego być sprzedane za wszelką cenę; ale to jest ściśle obowiązkowém tylko dla usług osobowych, gdyż kapitały ruchome mogą ograniczyć podaż swych usług na rynku wytwórczym, umieszczając część zbyteczną dla produkcyi w rentach państwowych, czego uczynić nie można z usługami osobistemi. Głębsza jeszcze różnica występuje w czasach stagnacyi przemysłowéj: posiadacz kapitału ruchomego, nie otrzymując dochodów, może napocząć sam kapitał i czekać lepszych czasów, kapitał osobowy natomiast nietylko wówczas dochodów nie daje, ale napoczęty być nie może. Strony nie znajdują się więc w jednakowych warunkach przy ugadzaniu się: jedna może czekać, druga — nie. Ta niemożność czekania stawia kapitał osobowy w położenie niższości w stosunku do ruchomego, który korzysta dzięki temu z pewnego rodzaju monopolu i z wszystkich jego skutków naturalnych: otrzymuje więcéj, niż otrzymywałby przy doskonałém współzawodnictwie. Nie jestto monopol naturalny, lecz historyczny, który powstał wraz z społeczeństwem klasowém; do niego zastosowuje się — jak widzieliśmy poprzednio — ogólna równowaga ekonomiczna, odpowiednio zmieniona i podział bogactw, który jest nietylko rezultatem, ale i punktem wyjścia téj równowagi. Zauważmy także, iż doskonałe współzawodnictwo wymaga, by prawo dziedziczenia działało w sposób zupełnie jednakowy i dla kapitałów osobowych i dla kapitałów ruchomych. Otóż dziedziczność fizyologiczna zdolności osobistych jest daleko mniéj prawidłową, niż prawo sukcesyi majątków.

Geniusz Shakespeare'a lub Goethego daleko trudniéj przechodzi na dzieci, niż bogactwa milionerów. Zauważmy nareszcie, iż doskonałe współzawodnictwo wymaga, by posiadacze kapitałów osobowych sami mogli się zająć wytwarzaniem, gdy posiadacze kapitałów ruchomych mniéj im płacą za ich usługi, niż one są warte. Owóż przy dzisiejszych warunkach technicznych wielkiéj produkcyi jestto rzeczą niemożliwą. Monopoliczny charakter kapitału sprawia, iż teorya równowagi ekonomicznéj, wyprowadzona z założenia doskonałego współzawodnictwa, nie uskutecznia się w rzeczywistości. To ciągłe naruszanie równowagi, która bez zakłóceń ustanowić się nie może, przejawia się peryodycznie w formie kryzysów. Walras, który na tę przyczynę nie zwrócił należytéj uwagi, upatruje dla nich jedno tylko źródło: spóźnie-

nia w zastosowaniu się do siebie różnych czynników równowagi, t. j. zamiany, produkcyi i kapitalizacyi. Przeto szuka przyczyn jeszcze bardziéj powierzchownych, w t. zw. „naturze ludzkiéj". W rzeczywistości jednak istnieje przyczyna daleko głębsza, która systematycznie narusza równowagę ekonomiczną. Jest nią antagonizm pomiędzy wzrostem wydajności pracy i nagromadzania bogactw z jednéj strony, a środkami mas, które, dzięki wskazanemu powyżéj monopolowi, nie mogą wzrastać również szybko. Antagonizm ten przejawia się peryodycznie w formie kryzysów. Masa wciąż wzrastająca kapitałów, które w produkcyi umieszczenia znaléść nie mogą, musi być na wszelkie sposoby usuwana z rynku. Cel ten dopięty zostaje podatkiem z dochodu i systemem długów państwowych. Dzięki tym środkom, między kryzysami otrzymane zostają epoki względnego spokoju, który zresztą nie ma nic wspólnego z teoretyczną równowagą ekonomiczną, opartą na wolnéj konkurencyi. Ta ostatnia powinna była być skutkiem gry naturalnéj sił gospodarczych, którą miały naruszać podatek i długi państwowe. Tymczasem w rzeczywistości gra ta jest naruszana przez przeszkody wewnętrzne, przez monopole i trzeba przeciwdziałać zamieszaniom, które stąd powstają, środkami sztucznemi podatków i długów. Teoretycznie jednak mówiąc, pojęcie równowagi ekonomicznéj — opartéj na współzawodnictwie doskonałém — jest zupełnie uprawnione i tylko wychodząc zeń można będzie za pomocą całego szeregu odpowiednich poprawek zbliżać się coraz bardziéj do poznania rzeczywistości ekonomicznéj. Dlatego téż matematycy-ekonomiści dzielą ekonomię na dwie części: ekonomię czystą i stosowaną, co odpowiada takiemuż podziałowi mechaniki.

Teorya równowagi ekonomicznéj jest najwyższém—ściśle naukowém uogólnieniem, które ekonomia polityczna dotychczas posiada. Rozpatruje ona agregat ekonomiczny, jako układ zamknięty i dobrze określony, gdyż objęty jest ilością równań takąż samą, jaką jest ilość niewiadomych—widzieliśmy to, mówiąc o wymianie, produkcyi i kapilizacyi. Zasadnicze formuły równowagi ekonomicznéj—formuły Walrasa—przedstawiają zadziwiającą analogię z formułami ruchu d'Alemberta i Lagrange'a. Bardzo być może, iż uda się w ten sposób podprowadzić ekonomię polityczną pod ogólne prawa mechaniki — takiém przynajmniéj jest zdanie prof. Edgewortha. Dotychczas jednak wszystkie tego rodzaju próby jeszcze poważnych rezultatów nie dały. Bądź co bądź, siły, które działają w układzie ekonomicznym, są siłami psychologicznemi: z jednéj strony dążenie do *maximum* przyjemności lub użyteczności, poruszające każdą molekułę agregatu, każdą jednostkę (są to siły czynne), z drugiéj strony siły przykrości rozwijające się w je-

dnostkach przy tém dążeniu i które odpowiadają mniéj więcéj siłom inercyi w układzie materyalnym. Przykrość ta obejmuje nietylko pracę potrzebną dla zdobycia odpowiedniéj użyteczności, ale wogóle wszelkie wysiłki i wydatki bądź materyalne, bądź umysłowe związane z niém, jak wyrzeczenie się w chwili obecnéj jakiéjś przyjemności, by po pewnym czasie otrzymać większą jéj ilość, t. j. zaoszczędzanie, tudzież zużycie stopniowe kapitałów osobowych, ruchomych lub ziemskich i t. d. Między przykrością, pojętą w sposób tak obszerny, a użytecznością (pojętą zresztą także w sposób jaknajobszerniejszy) istnieje dążność do zrównoważenia się, drogą przechodzenia jednéj w drugą. Wysiłki, przykrości, stosownie skierowane, zamieniają się na odpowiednią ilość przyjemności, użyteczności. Być może, iż na téj drodze da się zastosować do ekonomii ogólne prawo zachowania energii, jeżeli *nb.* będzie dowiedzioném, iż przyjemność i przykrość są zawsze subiektywnym wyrazem energii, są z nią współrzędne (*concomitant*) — jak utrzymuje prof. Edgeworth — jestto jednak tylko hipoteza. Wówczas być może uda się także zastosować na miejsce „przykrości" i „użyteczności" terminy „energii kinetycznéj" i „energii potencyalnéj", ale tu już jesteśmy w krainie czystych hipotez, literatury przyodzianéj w terminy naukowe. Myślenie ściśle naukowe kończy się w téj dziedzinie na teoryi równowagi ekonomicznéj, opartéj z jednéj strony na pojęciu użyteczności elementarnéj (jak ją wyjaśniliśmy w teoryi wymiany), a z drugiéj na przykrości (o ile ona może być utożsamiona z „kosztami wytwarzania" w wysiłkach, zużyciu i czasie). W tym sensie system ekonomiczny może być zrozumiany, jako agregat molekuł (osób), z których każda poruszana jest dążnością do *maximum* użyteczności i powstrzymywana przytém siłami (inercyi) przykrości, które przytém w nich się rozwijają. W ten sposób cały agregat wraca wciąż do stanu równowagi—tu mamy do czynienia ze s t a t y k ą e k o n o m i c z n ą. Ale z biegiem czasu wszystkie warunki téj równowagi — i użyteczności elementarne i koszta wytwarzania — się zmieniają. Zarazem i równowaga ekonomiczna, ustanawiając się przy nowych warunkach, jest odmienną od poprzedniéj. Szereg takich stanów równowagi, następujących po sobie w czasie, stanowi d y n a m i k ę e k o n o m i c z n ą (zupełnie jak w mechanice, która rozkłada dynamikę układu na szereg stanów równowagi). Przy przejściu od jednego stanu równowagi do następnego, wszystkie części układu mogą się zmieniać nierównomiernie: np. koszta wytwarzania mogą spaść dzięki wzrostowi wydajności pracy, co wywołuje zwiększoną produkcyę. Gdyby system ekonomiczny był oparty na doskonałém współzawodnictwie, to zmiana równowagi w produkcyi wywołałaby natychmiast odpowiednie zmiany we

wszystkich innych dziedzinach systemu ekonomicznego. Płace byłyby wzrosły odpowiednio do wzrostu wydajności pracy; wzrostowi ilości produktów odpowiadałby wzrost środków zakupna i stosowne zmiany w użytecznościach elementarnych masy. W ten sposób przejście od pierwotnéj równowagi agregatu ekonomicznego do następnéj, wywołane przez wzrost wydajności pracy, odbyłoby się spokojnie, bez zakłóceń. Inaczéj jednak rzeczy mieć się będą, jeżeli przypuścimy, iż pomiędzy kapitałem osobowym, a ruchomym i ziemskim, istnieją nie stosunki wolnéj konkurencyi — idealny jéj stan byłby tylko wówczas urzeczywistniony, gdyby strony ugadzające się były gotowe każdéj chwili zamienić się miejscami, np. wyścigi są tylko wówczas doskonałe, gdy wszyscy wyścigowcy mają jednakowe prawa na każde miejsce u punktu wyjścia — bez monopolu. W takim razie jedna strona będzie brać więcéj, druga mniéj, niż powinna z masy wzrastającéj produktów. Płace nie będą wzrastać w tym samym stopniu, co wydajność pracy, nowa równowaga wymiany nie będzie zastosowana do nowéj równowagi produkcyi, ceny uchylać się będą od kosztów wytwarzania, ogólna równowaga ekonomiczna może się odbyć tylko drogą eliminacyi pewnéj części wytworów: przejście od jednego stanu ekonomicznego do drugiego odbywa się tu drogą kryzysu.

Studyując w ten sposób statykę i dynamikę ekonomiczną, znajdujemy się na gruncie czysto naukowym, gdyż mamy do czynienia z systemem zamkniętym i dobrze określonym, a charakter wszystkich funkcyi, użyteczności i przykrości (o ile ta ostatnia może być utożsamiona z kosztami wytwarzania w wysiłkach, zużyciu i czasie) jest nam dokładnie znany. Prawdopodobnie pod tą użytecznością i przykrością kryje się energia, ale tu już wchodzimy w sferę hipotez: naprzód dlatego, iż nie jest nam znany „most" między tamtemi, a tą. Następnie dlatego, że, przyjmując te nowe terminy, musielibyśmy się wyrzec systemu zamkniętego: o ile mamy do czynienia z empirycznemi wrażeniami przyjemności i przykrości (a raczéj kosztami wytwarzania), możemy zbudować — jak to poprzednio widzieliśmy — ogólny stan ekonomiczny, zawierający tyleż równań, co i niewiadomych; jeżeli zaś zamiast tych wyrazów subiektywnych energii — o ile użyteczność i przykrość niemi są! — chcielibyśmy podstawić samą energię, wchodzimy w nowy zupełnie układ o granicach całkiem nie określonych, istotnie nie wystarcza wprowadzić nową terminologię „energii kinetycznéj" lub „potencyalnéj" i tém się zadowolić, trzeba jeszcze dowieść, iż funkcye te działają w systemie zamkniętym i ściśle określonym, który zawiéra tyleż równań, co i niewiadomych — inaczéj pod pozorem badania naukowego mamy zwykłą literacką frazeologię—określiwszy przedtém ściśle

już nie mówimy wartość numeryczną, ale przynajmniéj charakter tych funkcyi. Próbowano np. określić „energię kinetyczną", jako pracę. Otóż najmniejsza znajomość ekonomii matematycznéj pokazuje, iż np. „energia kinetyczna" w żaden sposób utożsamioną być nie może z pracą, chociażby nawet pojętą, jako praca społecznie niezbędna: system równań produkcyi nie utrzymałby się ani chwili, gdyby w nich na miejsce „kosztów wytwarzania" chciano postawić „pracę", która jest tylko ich częścią, chociażbyśmy nawet pojmowali pracę nie w zwykłém znaczeniu, lecz jako pracę społecznie — niezbędną. Przyklad Marxa pokazuje, iż to utożsamienie było dotychczas nieusprawiedliwione. On, który w pierwszym tomie swego dzieła brał za punkt wyjścia pracę społecznie niezbędną, w trzecim porzuca ten punkt widzenia i powraca do kosztów wytwarzania. Wprawdzie stara się zrównać je całym systemem kompensacyi, ale próba ta, zdaniem naszém, nie wypadła pomyślnie, być może dlatego, iż pojął pracę w sposób nazbyt wyłączny [1]).

Leon Winiarski,
privat-docent uniwersytetu Genewskiego.

---

[1]) W kwestyi téj por. pracę naszą p. t. „Etude critique sur le III vol. du Capital de Marx" w „Revue d'Economie politique", 1897.



Rynek Staromiejski w Warszawie.

Domy i ich historya.

We wszystkich dotychczasowych opisach Rynku Starego Miasta, poprzestawano na wzmiance o kilku najwydatniejszych jego domach. Reszta wydawała się opisującym niegodną bliższéj uwagi. My sądzimy o tém inaczéj. Dla nas Rynek Staromiejski jest księgą, któréj wszystkie bez wyjątku karty powinny być odczytane. Jedne z nich zajmują więcéj, inne mniéj — nie wynika stąd jednak, aby którakolwiek bez szkody dla całości, mogła być wydarta.

Z czterech boków Rynku, każdy miał niegdyś swą nazwę urzędową. Nazwy te dla dzisiejszego czytelnika byłyby już niezrozumiałe. Zamiast nich postawimy inne, prościejsze i wskazujące zarazem stronę, w któréj się każdy z boków znajduje.

Szczegółowy przegląd domów odbywać się będzie koleją dzisiejszych numerów policyjnych; tuż obok nich wskażemy numery hipoteczne.

A. Bok Południowy.

(Pomiędzy Jezuicką i Świętojańską).

O boku tym ksiądz Kurowski napisał, że „nie posiada żadnego domu, do którego-by przywiązana była pamiątka głośnego czynu lub w dziejach wspomnianéj osoby.” Zobaczymy zaraz o ile to jest prawdą.

Pierwszy opis należy się domowi dziś już nieistniejącemu. Stał on na rogu Rynku i ulicy Jezuickiéj, tam, gdzie znajduje się obecnie przedłużenie gmachów po-Pijarskich.

W wieku XVII dom ten był własnością rodziny Gizów (albo Gissów), liczącéj się do patrycyatu Staréj Warszawy. Rodzina ta posiadała również dom oboczny.

O Gizach mówi Jarzembski:

Gizowie od czasów dawni
W urzędach są różnych sławni...

Potwierdzają to fakta.

Uczony biskup warmiński Tydeman Giza, żyjący w pierwszéj połowie XVI-go w. z tego rodu pochodzi. Niejednostajność pisowni już przy jego nazwisku występuje wyraźnie. Nazywany jest naprzemian: Giza, Gissa, Gize (ta forma ustaliła się), Ghize, Ghise a wreszcie Gisius i Gizjusz. Łączyła go przyjaźń z Kopernikiem i Erazmem z Rotterdamu; cieszył się téż wielkiem zaufaniem Zygmunta Starego.

Prawie współcześnie z biskupem występuje Balcer albo Baltazar Giza, który jest rajcą Staréj Warszawy.

Syn Balcera Paweł jest księdzem († 1624). Napis na jego nagrobku, dziś już nieistniejącym, utrwalił w swych „Monumentach" Starowolski.

Mieli téż Gizowie w rodzie swym i poetę. Na imię mu było Jan. Żył on i pisał ku końcowi wieku XVI-go, modą zaś ówczesną przezwał się *Gysaeus*. Bentkowski wspomina za Janockim (*Janociana* I, 105) o dwóch jego wierszach, w młodym wieku napisanych, które się w Bibliotece Załuskich znajdowały. Oto ich tytuły: 1-o *In obitum Sereniss. Stephani Regis Pol. etc.* (Kraków 1588, in 8-vo); 2-o *Charites Serenissimam Annam Reginam Pol. etc. in ingressu Cracoviam anno 1588 salutant. Joanne Gysaeo Varsavien. ad lyram tenero aetatis plectro praecinente.* (Kraków 1588 in 4-to).

Jedna z Gizanek (nazywana zwykle „Giżanką") odgrywa nieciekawą rolę w erotyczno-melancholijnych fantazyach Zygmunta Augusta. Poślubił ją Michał (syn Jerzego) książe Wiśniowiecki. Inna (Anna) jest matką dziejopisa Rudawskiego. Rudawski nazywa ją „baronessą z przesławnego rodu Gissów we Frankonii." Jest w tém przesada, ale częściowa tylko. Gizowie—jak niemal wszystkie rody mieszczańskie Staréj Warszawy — byli pochodzenia niemieckiego; gniazdem téż ich była podobno naprawdę Frankonia.

W początkach XVII-go w. Aleksander Giza piastuje urząd administratora komór solnych Mazowieckich. Z lustracyi 1620 r. dowiadu-

jemy się, że miał spór z mieszczanami Nowomiejskimi. Przedmiotem sporu była jego posiadłość sześciowłókowa, w obrębie Nowéj Warszawy leżąca. Gizowie otrzymali przywiléj na nią od Bolesława księcia Mazowieckiego. Nowomieszczanom nie było to na rękę, wystąpili więc energicznie przeciw libertacyi — któréj wszakże prawomocności pozbawić nie mogli.

W r. 1652 Mikołaj Konstanty Gize otrzymuje indygenat. Jednocześnie król Jan Kazimierz obdarza go przywilejem, uwalniającym od czynszów z folwarku we wsi Wielka Wola i z gruntów, półtrzeciéj włóki obejmujących.

W epoce pierwszéj wojny szwedzkiéj wsławia się Jan Aleksander Giza (syn administratora). Akta Staréj Warszawy nazywają go naprzemian Janem, i Aleksandrem. Wprowadza to zamieszanie do genealogii Gizów, wśród których znajduje się współcześnie inny Aleksander, kanonik warszawski. Jest to zapewne młodszy brat tamtego.

Jan Aleksander Gize jest w r. 1655 właścicielem domu, o którym mówimy. Piastuje on wówczas zaszczytną godność burmistrza Staréj Warszawy. Na urząd ten wraca kilkakrotnie, co dowodzi jak wielkiém zaufaniem darzony był przez współobywateli.

W czasie najazdu szwedzkiego, gdy popłoch ogarnął całe miasto, on jeden głowy nie traci, i stanąwszy na czele obrony, umiejętnie nią kieruje. Zjednywa mu to przydomek: „Rząd Warszawy."

Dwaj bracia Jana-Aleksandra służą wojskowo. Jakób jest rotmistrzem rajtaryi, Franciszek—kapitanem. Męstwo Jakóba, okazane przy wzięciu Torunia w r. 1658, zapisano w konstytucyach.

Ksiądz Aleksander Giza, kanonik warszawski, jest sekretarzem królewskim. W „Rewizyi gospód" z r. 1669 występuje on jako właściciel opisywanego przez nas domu. W tejże Rewizyi opisano i sam dom, jako posiadający „izb 5, sklepów 4, piwnic 3, kuchni 2." Stawał w nim gospodą Biskup Warmiński.

Ksiądz sekretarz posiada grunta libertowane w Brudnie pod Warszawą.

Na początku wieku XVIII-go, dom Gizów przeszedł na własność Franciszka Witthoffa, burmistrza Staréj Warszawy. Witthoffowie to również patrycyusze staromiejscy.

Franciszek nosił przezwisko: „Bogacz", liczył się bowiem do najzamożniejszych obywateli miasta. Miał on szczególne upodobanie w nabywaniu domów, których posiadał kilkanaście Może czynił to w nadziei, że tym sposobem utrwali się w mieście na długo, jeśli nie na zawsze, potęga jego rodziny.

Stało się jednak inaczéj.

„Bogacz" miał jedynego syna Stanisława, któremu, umierając (w r. 1719) pozostawił olbrzymi majątek. Nie spodziewał się, niestety, że ten syn będzie — ostatnim z rodu. Stanisława wzięli w opiekę Jezuici i tak długo mówili mu o marności dóbr doczesnych, że przywdział ich sukienkę i bogactwa swe zapisał zakonowi.

Wówczas téż przeszedł do rąk Jezuitów i dom, który opisujemy.

Dom ten wcielony do gmachów klasztornych, uległ zupełnej przeróbce i byt samoistny utracił. Od r. 1729, pozbawiony frontu i oddzielnéj pozycyi hipotecznéj, nie liczy się już do posesyi staromiejskich.

O przeszłości domu jedno jeszcze zapisać trzeba. Zanim został własnością Gizów, nazywano go „Zygmuntowskim." Skądby ta nazwa powstała, dojść nie mogłem.

№ 1 (35).

Na domu tym znajdowała się dawniéj tablica marmurowa z takim napisem:

D. O. M.

Nie dziw, że tak ta struktura wspaniała,
Gdyż dwakroć Polskich tronów respekt miała.
W ręku W a l b a c h ó w wprzód libertowana,
Z tym przywilejem w moc G i z o m podana,
A n d r y c h i e w i c z ó w z Gizowskiéj została,
Których się kosztem tak reformowała.
Roku Pańskiego 1707, dnia 18 Października.

Jest to w streszczeniu kronika téj posesyi.

Pierwszy jéj właściciel Melchior Walbach, żyjący w wieku XVI był bogatym kupcem, a zarazem podwojewodzim warszawskim. Musiał on położyć ważne zasługi dla miasta, skoro obdarzono jego dom libertacyą oraz innemi przywilejami. Jedno i drugie zostało aprobowane w r. 1677, gdy już dom był własnością Gizów.

Jak przeszłość całéj Warszawy, tak i przeszłość tego domu, trudno odbudować z tego, co się widzi obecnie. Kilka zaledwie pozostałości stanowi ślad niewyraźny i zatarty, po którym postępując ostrożnie, z dowodami archiwalnymi w ręce, dochodzi się do ułamkowego obrazu doby wczorajszéj.

Samo rozejrzenie się w planie sytuacyjnym domu poucza, że był on siedzibą rodziny możnéj, prawie magnackiéj. Jest to jakby trójca budynków, w jedną całość złączonych. Każdy budynek posiada trzy lub cztery piętra oraz obszerne, oszklone poddasze. Komunikacyę po-

między budynkami stanowiły niegdyś korytarzyki wązkie, półciemne i tak zręcznie w ścianie sieni ukryte, że nieświadomy nawet się istnienia ich nie domyślał.

Dom frontowy o czterech piętrach służył za mieszkanie gospodarzowi i jego rodzinie. Komnaty są tu po pańsku obszerne i widne. Ale napróżno szukalibyśmy ich najpiękniejszéj z późniejszych czasów ozdoby: malowanych przez Bacciarellego plafonów. Zachowały się tylko piękne poręcze schodów, z kutego, misternie wyginanego żelaza.

W sieni stoi jeszcze ława kamienna dla służby, a nad drzwiami zamurowanemi widać tablicę z zatartym do szczętu napisem.

Część druga, znacznie skromniejsza, stanowiła pomieszczenie służby. Od budynku frontowego oddziela ją maleńkie, typowo staromiejskie, podwórko, do studni podobne.

Część ostatnia obrócona była na składy. Okna są tu po większéj części kratami żelaznemi opatrzone.

„Rewizya gospód" utwierdza nas w przekonaniu, że posesya ta miała ongi charakter dworu w pełném znaczeniu tego słowa. Nie brakło w niéj nawet tego, co w domach staromiejskich stanowi największą osobliwość, mianowicie: stajen. Rewizya wymienia „stajenkę na tyle" oraz „stajnię wielką."

Po Gizach, właścicielami domu stali się Andrychiewiczowie.

Rodzina ta dopiéro w drugiéj połowie XVIII-go w. na widownię występuje. W roku 1781 Ignacy Andrychiewicz *v.* Andrychowicz jest ławnikiem Staréj Warszawy i asesorem urzędu ekonomicznego; w trzy lata później spotykamy go wymienionego pomiędzy rajcami.

Andrychiewiczowie kamienicę, nadrujnowaną już nieco, odnowili i upiększyli, pozostawiając pamięć tego w tablicy, o któréj wspomniałem na wstępie.

Taryfa z r. 1784 wymienia jako właścicielkę domu „urodzoną" Antoszewską. Potém przechodzi on kolejno do Majewskich, Voglów i Gołembiewskich. W ręku ostatniéj rodziny dotąd (od lat stu) pozostaje.

Znajdujący się na czole tego domu wizerunek Matki Boskiéj Częstochowskiéj za szkłem nie jest zabytkiem dawnym. Umieszczono go dopiéro w r. 1853.

Obecny właściciel domu objaśnił mię, że ze starych pamiątek nieruchomość jego posiada jeszcze: drzwi dębowe rzeźbione w stylu „kościelnym" (gotyckim, ostrołukowym), takież okiennice i boazerye oraz belki modrzewiowe snycerskiéj roboty, napuszczane farbami. Te ostatnie są w części zabielone wapnem, w części deskami oszalowane. Należy je koniecznie odsłonić i oczyścić.

Jeden z mieszkańców domu niegdyś „Gizowskiego“ uczynił się sławnym, a przynajmniéj popularnym. Był nim Patz, dyrektor policyi za rządów pruskich.

Musiał to być człek energiczny i zwolennik doraźnego wymierzania sprawiedliwości. Dowcip uliczny zamknął charakterystykę jego w dwuwierszu, który się dotąd w pamięci ludu warszawskiego przechował:

Chodźmy do pana Paca,
Co bije kijem i obraca.

Skończywszy z faktami, wspomniéć musimy o—bajkach.

Podanie ustne, dowodami nie poparte, czyni dom opisywany miejscem zamieszkania Urszuli Meierin, głośnéj ochmistrzyni synów Zygmunta III-go. „Panna Urszula“ miała tu mieszkać zaraz po przybyciu do Polski, przyczém skryte, podziemne, przejście łączyło jéj dom z Zamkiem królewskim...

Twórcy téj romantycznéj fantazyi nie biorą pod uwagę faktu, że towarzyszka królowéj, a następnie dozorczyni jéj dzieci, nie mogła przemieszkiwać gdzieindziéj, jak tylko—przy królowéj i przy jéj dzieciach. Nie zastanawiają się téż nad tém, że nikt nie potrzebuje dostawać się drogą skrytą tam, gdzie ma każdéj chwili, jak mówią Francuzi, *ses grandes et petites entrées.*

Postanowiłem wykryć źródło, z którego bajka powstała, i zdaje mi się, żem dopiął celu.

Przedewszystkiém, istnieją wskazówki (jeśli się nie mylę w Pamiętnikach ks. Albrychta Radziwiłła), że panna Urszula pokumała się z mieszczaństwem warszawskiém, i w Rynku czy téż w któréjś z przyległych ulic nabyła na własność kamieniczkę. Rozumié się, że tą kamieniczką nie była i być nie mogła wielka posesya Walbachowska, zajmująca miejsce tak wydatne w kronice Staréj Warszawy.

Następnie jeden z domów na téj właśnie, południowéj stronie Rynku, zwał się „Majeranowski“ (od Majerana, burmistrza St. Warszawy)—co brzmiało tak samo prawie, jak „Majerinowski“.

Wreszcie w kamienicy Walbachowskiéj istniały rzeczywiście przejścia, któremi można się było dostać — nie skrycie jednak i nie pod ziemią — najpierw do kościołów: Jezuickiego i Ś. Jana, a następnie do Zamku.

Wiadomo, jaka tajemniczość okrywała (i dotąd okrywa) osobę wpływowéj Niemki, przyjaciółki i opiekunki Jezuitów. Nawet na-

zwisko jéj podawane jest w wątpliwość [1]). Ruchliwa fantazya ludu warszawskiego, tajemniczością tą podniecona, wysilała się, aby „pannę Urszulę" uczynić bohaterką jakiéjś, w stylu staromiejskim, legendy. W tym celu, trzy odosobnione fakta, które przytoczyłem, złączone zostały w jedno, i po odpowiedniém przekształceniu zmieniły się w efektowną — bajkę.

№№ 3 i 5 (36 i 37).

Dwa te numery łączę w jeden, posiadają bowiem bardzo mało treści historycznéj i pamiętnikowéj.

Jako właściciel domu № 3, wymieniony jest w lustracyi 1655 r. Jerzy Jucht v. Juch, „cyrulik J. K. Mości". Dom ten był libertowany, co zapisano znów w lustracyi z r. 1660.

Zdaje się, że tylko przez czas krótki znajdowała się ta kamienica w posiadaniu Juchta, bo już w roku 1669 właścicielem jéj jest Marcin Ginter, akta zaś owoczesne piszą o niéj: *ante* Kosińskiego.

W dziejach Staréj Warszawy nazwisko Ginterów często się spotyka. Była to rodzina kupiecka, można i zasłużona. Napiszę o niéj obszerniéj w kronice domu zwanego „pod Murzynkiem", który przez długie lata był własnością Ginterów, a prawdopodobnie przez nich téż został wybudowany.

W końcu zeszłego i na początku bieżącego stulecia kamienica № 3 należała kolejno do Flaczkiewiczów i Izdebskich.

O domu № 5 mniéj jeszcze jest do powiedzenia.

W wieku XVII dom ten był własnością najpierw Jeleniów, następnie Kotyńskich. Ani pierwsi, ani drudzy nie zajęli w dziejach miasta miejsca wydatnego. Pomiędzy członkami magistratury nazwisk tych napróżno szukałem.

Breza, Kwiatkowski, Choromański, Sarnowicz — oto nazwiska późniejszych właścicieli tego domu.

Na jego czole, ponad środkowém oknem pierwszego piętra znajduje się w płaskorzeźbie medalionowéj portret mężczyzny.

№ 7 (38).

Ta kamienica nazywała się niegdyś „złocistą". Dlaczego? Bo czoło jéj było wyzłacane. W bardzo dawnych opisach Warszawy,

---

[1]) Sobieszczański twierdzi, że Meierinn albo Majerinn nie jest nazwisko, lecz znaczy poprostu: ochmistrzyni. W staréj niemczyźnie wyraz ten jednoznaczny był z Meisterinn (Hofmeisterinn).

zwłaszcza w relacyach cudzoziemców, znajdują się wzmianki o polichromicznêm przyozdabianiu domów staromiejskich. A w polichromii i dla złota jest miejsce.

Stwierdza to zresztą i późniejszy Jarzembski:

Bardzo kamienice śliczne
W Rynku; także i uliczne.
Błyszczą się od złota prawie;
Niemasz takich w Czersku, w Rawie.
Na nich dziwne rysowanie,
Farbami ukształtowanie.

Wogóle, z dzisiejszéj powierzchowności domów staromiejskich nie można powziąć pojęcia o têm, jak wyglądały przed dwoma, trzema wiekami. Dziś to tylko zeschłe, poczerniałe łupiny, otłuczone i wypłowiałe konchy, — w których nie ma ani owocu, ani zwierzęcia. Niegdyś miały własne, osobiste życie, miały duszę, która im pewien wyraz indywidualny nadawała; dziś, jak owe konchy i łupiny, poniewierają się wśród wielkomiejskich odpadków, służąc to tym, to owym, za przygodne schronisko...

O pierwszych właścicielach kamienicy mówią wyraźnie: herb i cyfra, wykowane misternie z żelaza i nad wejściem umieszczone. Herb, wyobrażający krzyż podwójny z dwiema podpórkami, jest herbem „Baryczka"; cyfra *S. B.* oznacza Stanisława Baryczkę.

Nazwa kamienicy musiała pozostawać w związku i z herbem, ten ostatni bowiem, w opisaniu heraldycznêm, ma barwę złotą „Widzieć takich herbów siła w Warszawie, w kościele Ś. Jana" — mówi Niesiecki. Odnosi się to do czasów, poprzedzających ostatnią przeróbkę kościoła.

Baryczkowie, także i ci
W konsyliach znamienici —

rymuje wspomniany przed chwilą wierszopis. Pochwała to zbyt skromna. Najpierw, nie można Baryczków kłaść na drugiém miejscu, skoro zawsze zajmowali pierwsze; następnie „konsylia" nie były nigdy wyłącznêm polem popisu dla tych, co różnorodnemi, a prawie bez wyjątku samodzielnemi, odznaczyli się zasługami.

Ród Baryczków wywodzi się z Węgier.

Wojciech Tymowski, uczony jezuita żyjący w w. XVII, pisze, że pierwszym z Baryczków, co kraj rodzinny opuścił i przybył najpierw na Ruś, a potém do Polski, był Iwo, czyli Jan. Stało się to jeszcze na początku wieku XIII-go, mianowicie w r. 1207.

Powód, dla którego Iwo Baryczka został wychodźcą, był ten, że

„urodzonym na wolności, nie chciało się jęczéć pod jarzmem bisurmańskiém”.

Dziedzic głośnego i poważanego imienia, dziesiąty z rodu, pozostawił w ręku pogan rozległe majątki i przeniósł się na Ruś, przekładając wolność nad bogactwa. Na Rusi poślubił równą sobie urodzeniem Jadwigę Różycównę, ale mimo to na stałe w kraju tym nie osiadł.

Gdy Ruś zawrzała wojną domową, Iwo z młodą małżonką zapragnęli zaciszniejszego dla siebie gniazda i udali się na Mazowsze. Panował w niém wówczas książę Konrad, któremu Baryczka dziwnie przypadł do serca. Młody wychodźca węgierski, przypuszczony do przyjaźni panującego, zajął na dworze miejsce wydatne i osypany został zaszczytami. Gdy nadto otrzymał w darze od księcia dwie wioski, związało go to ostatecznie z ziemią, któréj już ani on, ani najdalsi jego potomkowie, nigdy opuszczać nie mieli.

Opowieść księdza Tymowskiego opatruje Niesiecki uwagą krytyczną. Twierdzi on, że Iwo Baryczka nie mógł uchodzić z ojczyzny przed Turkami, gdyż ci dopiéro w całe stulecie późniéj do Węgier zawitali. „Raczéjby tedy (słowa Niesieckiego) miał mówić, że z Kolomanem, królem Halickim na Ruś Iwo przyszedł.“

Cokolwiekbądź, protoplastą polskiego, a ściśléj mówiąc: mazowieckiego domu Baryczków, był ów Iwo czyli Jan.

Przypatrzmy się teraz dalszym dziejom tego rodu, ściśle związanym z dziejami Mazowsza i jego stolicy.

Iwo miał trzech synów: Bartłomieja, Henryka i Jana. Ci antenaci późniejszych mieszczan odznaczali się duchem rycerskim, mieszczańskiemu krańcowo przeciwnym. Bartłomiéj bronił Mazowsza od Litwinów i w jednéj utarczce z nimi poległ. Henryk walczył szczęśliwie z Henrykiem Brodatym i jak się zdaje w stanie bezżennym życia dokonał. Jan spłacił również dług obowiązkom publicznym, pomyślał jednak następnie o obowiązkach rodu i pojął żonę z rodu Grzymałów.

Po Janie Baryczce pozostało trzech synów: Marcin, Jerzy i Henryk.

Z téj trójcy najgłośniejszym stał się Marcin, doktór Ś. Teologii, wikaryusz i kaznodzieja katedry krakowskiéj. Osobistość to historyczna—w któréj rodowodzie Tymowski widocznie błąd popełnił. Marcin Baryczka nie mógł być wnukiem Iwona, gdyż dzielił go odeń półtorawieczny okres czasu. Z ledwością uważać-by go można za jego prawnuka...

Ten Marcin Baryczka padł ofiarą starcia się władzy świeckiéj z duchowną za Kazimierza Wielkiego.

Ksiądz Tymowski widzi w królu tylko rozpustnika, oraz wyłamującego się z pod władzy Kościoła odstępcę, a w Baryczce — tylko pokornego sługę kościelnego. Historya nieco inaczéj obu ich charakteryzuje.

Król Kazimierz nazwany został Wielkim głównie dla wielkich zasług na polu wewnętrznego urządzenia kraju położonych. Dążył on do zaprowadzenia równowagi pomiędzy klasami społecznemi, do równomiernego rozłożenia przywilejów i ciężarów. Duchowieństwo ówczesne, które zapewniwszy sobie przywileje największe, dążyło jeszcze do wyłamania się od wszelkich zgoła ciężarów, tym zamiarom monarszym w poprzek stawało.

Stąd gniewy obustronne i stąd gwałtowne starcie, które doprowadziło aż do zbrodni. Ofiarą padł ksiądz Baryczka, którego utopiono w przeręblu. Stało się to 8 stycznia 1349 roku.

Bezpośrednią przyczyną katastrofy była klątwa, rzucona na króla przez biskupa krakowskiego, Bodzantę; bezpośrednim powodem klątwy —upominanie się u tegoż Bodzanty o należne skarbowi koronnemu podatki. Powód jednak właściwy zamaskowano czém inném, mianowicie: niemoralném życiem Kazimierza. Z klątwą poszedł na zamek Marcin Baryczka i śmiałość swą życiem przypłacił.

Okrutna śmierć młodego księdza, który, mimo zaciekłości stronniczéj, był człowiekiem czystym i w dobréj wierze działającym, rzuciłaby plamę na charakter króla, — gdyby go historya w obronę nie brała. Okazano, że utopienie Baryczki nie od Kazimierza wyszło, lecz od gwałtowników świeckich, z duchowieństwem wojujących.

Kraszewski, który w każdym sądzie swym o ludziach i faktach, starał się być beznamiętnym i sprawiedliwym, tak w krótkich słowach rzecz tę przedstawia:

„Zajście z Bodzantą, biskupem krakowskim, o dziesięciny doprowadziło aż do tego, że na króla klątwę rzucono. Słudzy i dworactwo Kazimierza najczynniejszego w téj sprawie ks. Marcina Baryczkę, mszcząc się za pana, utopili. Zrzucono winę morderstwa na króla, aby go zohydzić, bo dowiedzioną mu być nie mogła.”

Cokolwiekbądź, dom Baryczków w rzędzie innych luminarzów pozyskał męczennika. Starano się nawet tego, zbyt żarliwego, sługę Kościoła otoczyć urokiem cudów i świętości. Stworzona została legenda o „głosach anielskich”, odzywających się w miejscu jego męczeństwa, o „światłości niezwyczajnéj”, która płonęła tam dopóty, aż lód roztopniał. Ciało kaznodziei miało w górę Wisły, przeciw wo-

dzie, płynąć „bez najmniejszego uszkodzenia, jakby świéżo do wody wrzucone", przyczém „wonność jakąś wdzięczną z siebie wydawało."

Ks. Marcin Baryczka pochowany został w Krakowie, w kościele Ś. Katarzyny u OO. Augustyanów, w kaplicy brackiéj Ś. Mikołaja z Tolentynu.

W warszawskim kościele Panny Maryi na Nowém Mieście, znajduje się nad stallami w prezbiteryum jego portret, zapewne staraniem rodziny umieszczony. Portret przedstawia księdza Baryczkę stojącego przed Kazimierzem Wielkim. Poniżéj następujący napis:

Martinus Bariczka Varsaviensis Doctor Vicarius Concionator Cathedralis Cracoviensis vitae integritate mundi contemptu, DEO ZELO celebris quod in Casimiro II Rege Poloniae audacter vitia palam argueret eundemque jussu S. Sedis excommunicaret in Vistula sub glacie A. 1349. 8. Januarii submersus obiit, vitam ejus et mortem sanctam Angelicus diu usuque ad obitam glaciem audius prodidit conceptus.

Drugi z synów Jana Baryczki, Jerzy, nie odznaczył się niczém takiém, coby aż do naszéj pamięci doszło. Żonaty był z Barbarą z Wyszkowic i umarł w Czersku, gdzie mu żona nagrobek wystawiła.

Jerzy Baryczka zeszedł ze świata bezpotomnie, a dziedziców imienia i zasług pozostawił najmłodszy z braci, Henryk. Ten ostatni, poślubiwszy Barbarę z Domniewa, herbu Dołęga, miał z nią dwóch synów: Wacława i Wojciecha.

Każde prawie pokolenie Baryczków dostarczało sługę Kościołowi, i z tych zatém dwóch braci jeden poświęcił się służbie Bożéj. Był nim Wacław, późniejszy kanonik wrocławski.

Wojciech Baryczka wiódł żywot świecki i rycerski. Już jako człowiek żonaty i ojciec kilkorga dzieci, udał się z królem Władysławem na nieszczęśliwą wyprawę pod Warnę, gdzie „życie na placu położył".

I po Wojciechu dwóch pozostało synów: Szymon i Piotr.

Wierni tradycyi, poszli oni w życiu odmiennemi drogami, aby — jak to zwykle u Baryczków bywało — spłacić w równéj mierze dług ojczyźnie i rodowi.

Śmierć ojca nie zniechęciła starszego z synów do wojennego rzemiosła. Szymon Baryczka mężnie wojował i w Polsce i w Czechach, mówi też o nim Niesiecki, że „zdał się być do wojny urodzonym."

Młodszy z braci, Piotr, poświęcił się życiu dworskiemu i mieszczańskiemu. Przebywając przez czas długi na dworze Konrada III (Niesiecki błędnie pisze w t ó r e g o, dzielą bowiem tych książąt dwa

całe stulecia), księcia Mazowieckiego, osiadł następnie w Warszawie, któréj już potomkowie jego nie opuszczali.

Piotra uważać można za właściwego protoplastę i głowę rodu Baryczków-mieszczan, którzy przez kilka wieków stanowili *lumen* Staréj Warszawy.

Synów tego Piotra było trzech: Piotr *junior*, Jerzy i Jan.

Piotr, posłuszny tradycyi, poszedł w służbę Kościoła i został kanonikiem warszawskim.

Jan bawił przez czas niejaki na dworze Ludwika, króla węgierskiego, poczém wrócił do ojczyzny i w Warszawie zamieszkał.

Jerzy uprawiał w równéj mierze naukę i pobożność, starając się na wszelki sposób być użytecznym miastu rodzinnemu. „W różnych cudzoziemskich językach przećwiczony", odbywał częste podróże, nigdy w nich jednak Warszawy z serca i pamięci nie wypuszczając. Jemu to zawdzięcza katedra warszawska „cudownego" Pana Jezusa, rzezanego z drzewa i umieszczonego w oddzielnéj kaplicy, na lewo od wielkiego ołtarza. Rzeźbę tę przywiózł Jerzy Baryczka z Norymbergi, gdzie przez heretyków, wraz z innemi świętościami była na stos rzucona do spalenia.

Ksiądz Tymowski, zaraz po tych trzech braciach, umieszcza Stanisława, „syna Bartłomieja", co do genealogii Baryczków wprowadza pewne zamieszanie.—Któryż to Bartłomiéj? — pyta czytelnik — i skąd się wziął w tém miejscu?...

Niesiecki, przypuszczając, że tu mowa o Bartłomieju, synu Iwona, zauważa ironicznie, że autor „od roku 1280 prędko poskoczył do roku 1500!"

Wątpliwość tę wyjaśnia najzupełniéj—tablica marmurowa, na innym, niegdyś Baryczkowskim domu, umieszczona. O tym domu i o téj tablicy będzie mowa późniéj, przy opisie południowego boku Rynku. Tymczasem wyjmujemy z tablicy owéj wiadomość, że Bartłomiéj Baryczka, o którego tu idzie, był synem Jerzego, burmistrza Staréj Warszawy i Jadwigi Baltolorówny, a wnukiem Piotra i Anny. Nie przerywa się przeto w tém miejscu bynajmniéj łańcuch genealogiczny.

Otóż ten Bartłomiéj, ożeniony z Krystyną Fukierówną, miał syna Stanisława, w którym odżył rycerski duch przodków. Walczył on i w kraju i na obczyźnie, a wszędzie—jak mówi jego biograf—„odważnego serca dawał dowody".

Ten to Stanisław Baryczka wzniósł dom, który opisujemy i na którym cyfra jego widnieje. Był on nie lada potentatem, choć, jak się zdaje, skończywszy rycerski okres swego życia i osiadłszy w Warszawie, zajmował się głównie, jeśli nie jedynie, robieniem fortuny.

Dzierżawił wieś Kamień pod Warszawą, był administratorem Żup solnych w Mazowszu, skupował place, domy — ba, jurydyki całe. Od niego jedna z ulic Staréj Warszawy otrzymała nazwę „Baryczkowskiéj" (poprzednio, t. j. do roku 1619, zwała się „Żydowską" albo „Abrahamowską").

Kilkakrotnie obierany był przez wspólmieszczan starszym ławnikiem, Weinert zaś twierdzi, że „prawością swą dla dobra miasta jako jeden z najgorliwszych urzędników słynął i w całém Mazowszu odznaczał się powagą". Jednak i własnego dobra z oka nie spuszczał, umiejąc w potrzebie energicznie się o nie upominać. Około r. 1600 miał jakiś zatarg z magistratem Staréj Warszawy o bezprawne wycinanie drzew na Kawczéj (dziś Saskiéj) Kępie. Z tą pewnością, jaką dają w równym stopniu: czyste sumienie i bogactwo, wystąpił wówczas z obroną, w któréj nazywa siebie „człowiekiem da Pan Bóg nietylko z wieku swego, ale i z przodków swych spokojnym i w niczém nienagannym." Nawiasem dodaję, że w téj obronie godne jest uwagi jedno wyrażenie znamienne; brzmi ono: „Rzeczpospolita Warszawska".

Stanisław, poślubiwszy Jadwigę Kulską (ksiądz Tymowski nazywa ją Kulińską, herbu Odrowąż), miał z nią trzech synów: Wojciecha v. Alberta, Stanisława i Jacka. Wszyscy trzéj trwałą pamięć po sobie zostawili.

Jacek Baryczka, doktór Ś. Teologii, mąż pobożny i światły, był jednym z założycieli i głównych dobrodziejów klasztoru Domininikanów przy ulicy Freta. W uznaniu zasług, obierano go czterokrotnie przeorem tego zakonu.

Ksiądz Tymowski pisze o nim: „Theologia i Philozophia dla swoich w Warszawie fundował." Znaczy to, że staraniem i kosztem uczciwego przeora powstał przy klasztorze Dominikanów rodzaj Akademii duchownéj, czyli tak zwane *Studium formale*, któremu na cześć fundatora dano przydomek *Baricianum*. Trzy katedry profesorskie opłacane w niém były ze szkatuły Baryczki.

Prócz tego, ojciec Jacek energicznie zajmował się budową kościoła i klasztoru, na co szło niemało pieniędzy jego i całéj rodziny Baryczków. Jedną obszerną izbę w klasztorze przeznaczył na bibliotekę, obdarzywszy ją na początek własnym bogatym zbiorem ksiąg i rękopisów. Doprowadziwszy do końca ukochane swe dzieło, to jest ukończywszy budowę kościoła (1638 r.) i klasztoru (1649 r.), umarł spokojnie w r. 1650, podniesiony do godności „wikarego jeneralnego" wszystkich klasztorów Dominikańskich w Koronie.

Brat Jacka, Stanisław, słynął z nauki, a zwłaszcza z biegłości w językach i talentu krasomówczego. Był to człowiek do tańca i do różańca — co zresztą w rodzie Baryczków nie należało do rzadkości. Na dworze papieskim błyszczał zaletami duchowemi, pod buławą Żółkiewskiego zdumiewał żołnierską bitnością. Wiele dobrodziejstw świadczył kościołom i klasztorom. W Warszawie, kościoły: Ś. Jana, Ś. Krzyża i Ś. Józefa, oraz klasztory OO. Dominikanów i PP. Karmelitanek wiele mu zawdzięczały.

Ma on w katedrze kamień nagrobny z portretem, przez bratanka fundowany, na którym cnoty jego i zasługi szeroko są opisywane. Dowiadujemy się z tego źródła (co w części przytacza i Niesiecki), że był sekretarzem królewskim Zygmunta III i Władysława IV-go, a doradcą zaufanym cesarza Ferdynanda II-go, że cieszył się uznaniem i życzliwością papieża Klemensa VIII-go, że podróżował wiele po Niemczech, Włoszech i Hiszpanii, że pod Żółkiewskim Marsowi dzielnie służył, że więcéj niż 30,000 florenów na wsparcia i zapisy pobożne wydał i t. d.

Umarł w r. 1651.

Ostatni z braci Wojciech, starosta ujazdowski, w kronikach rycerskich imię swe zapisał. Pod Strygoniem walczył z Turkami i tam téż, jak mówi Niesiecki, „na harcu, tureckiego olbrzyma i wzrostem i siłą strasznego zabił.” W nagrodę męstwa, cesarz Rudolf II nobilitował go na szlachcica niemieckiego (w r. 1590). Powróciwszy do ojczyzny, był pod Smoleńskiem i pod Kircholmem. Za wyświadczone krajowi zasługi, został sekretarzem królewskim i koniuszym nadwornym.

O tym Baryczce piszą biografowie, że nosił niezagojoną do śmierci ranę, którą był w jednéj z wypraw wojennych otrzymał.

Zmarł w roku 1649-ym, licząc lat 66. U Ś-go Jana, w kaplicy Pana Jezusa, na prawo od wejścia, ma pomnik przez synów wystawiony.

Rzecz dziwna, że mimo tylu czynów znamienitych, dopiéro w roku 1658 przyznano indygenat rodzinie Baryczków, w osobach: Stanisława (bratanka Stanisława, wyżéj wymienionego), oraz jego braci: Wojciecha i Jana. Ten Stanisław był znamienitym strategikiem, budowcą machin wojennych, zakładaczem min i t. p. Popisywał się z umiejętnością swą pod Beresteczkiem i Żwańcem, przyczynił się téż w znacznym stopniu do odebrania Szwedom Torunia, Krakowa i Warszawy. Był sekretarzem Jana Kazimierza i zajmował urząd „owiesnego”, to jest urzędnika do wydawania obroków na dworze królewskim. Na tablicy marmurowéj, którą pamięć stryja uczcił, nazwany jest: *generosus*

Stanislaus in Molocice Baryczka." Jak wszyscy niemal Baryczkowie, i on hojnie wspomagał klasztory. Między innymi, Dominikanie warszawscy otrzymali od niego w darze zasobną bibliotekę. U Dominikanów téż ma kamień nagrobny.

Bracia tego Stanisława wczesną śmiercią pomarli. Jan, jako kanonik płocki i pułtuski oraz probosz koleński, Wojciech jako młodzieniec niedojrzały jeszcze, a rokujący piękną przyszłość w naukach.

Stanisław Baryczka, który zmarł bezpotomnie (w r. 1682), a podobno wcale w związki małżeńskie nie wstępował, był właściwie o s t a t n i m z r o d u.

Tylkowski wymienia dwóch jeszcze Baryczków: Michała i Jędrzeja. Michał był kapitanem; on też wydał w r. 1658 książkę p. t.: „*Quantum Poeticum accurata, authoritate Poetarum recognitum.*" Jędrzéj był Łowczym Sochaczewskim i podpisał elekcyę Augusta II.

Na schyłku XVII-go w. Baryczkowie znikają z powierzchni naszéj ziemi bez śladu. Liczne ich domy i grunta przechodzą w cudze ręce, kolegium ich oraz ulica, jako rzecz i jako nazwa, istnieć przestają; nawet pamięć nazwiska, które niedawno jeszcze na każdéj karcie kroniki warszawskiéj występowało, zaciéra się.

Rodzina, przez pięć wieków blisko świecąca blaskiem nieprzyćmionym, gaśnie w jednéj chwili, jak lampa zdmuchnięta.

I tylko, jako pamiątka po Baryczkach, na czołach starych kamienic i na ścianach starych świątyń błyszczy „siła ich herbów" — mimo których warszawianin dzisiejszy obojętnie przechodzi, nie rozumiejąc znaczenia tych krzyżujących się linii, ani się téż na zrozumienie ich nie siląc...

Dalsze dzieje kamienicy, niegdyś „złocistéj" a dziś spłowiałéj i szaréj, nie przedstawiają nic ciekawego. Jakiś „sławetny" Ekendorf posiada ją około r. 1780-go i póżniéj; następnie przez czas długi, prawie aż do dni naszych pozostaje ona w ręku rodziny Kuśmierskich.

№ 9 (39).

Jest to jeden z tych kilku starych domów, w których dochowały się jeszcze dawne „sklepy", to jest piwnice, o kilka łokci niżéj poziomu ulicy położone, z wejściami od czoła. „Sklep" znajdujący się w tym domu zajmuje obecnie przekupień pieczywa. Niezwykłość tego sklepu stanowi to, że właściwie sprzedaż chleba i bułek odbywa się na straganie ustawionym na ulicy, tuż przy domu; skład zaś pieczywa mieści się w piwnicy. Sprzedaż, dokonywana w budce płóciennéj, wieczorami w oświetleniu kolorowéj latarki, tworzy bardzo wdzięczny obrazek ro-

dzajowy. Dziwię się, że uszedł on dotąd uwagi artystów ze szkoły Piwarskiego i Kostrzewskiego.

Sama kamienica mało ma wspomnień ciekawszych. Nazywano ją niegdyś od imienia właścicieli „Długoszową.” Odkąd i dokąd przysługiwała jéj ta nazwa, określić trudno. Wszakże już w r. 1669 piszą o niéj: „*ad praesens* Gizego.”

Czy warszawscy Długosze pokrewni byli owym, herbu Wieniawa, z których wyszedł Jan, historyk,—nie mogłem wyśledzić. W r. 1580 Stanisław, a w trzydzieści lat późniéj Paweł (zapewne syn tamtego) są starszymi ławnikami (*archiscabini*) M. S. Warszawy.

Przy końcu zeszłego wieku kamienica przechodzi na własność sławetnych Kostki i Flaczkiewicza. Późniéj jest własnością sukcesorów tego ostatniego. Około r. 1850 posiada ją Dąbkowski.

№ 11 (40).

Czoło téj kamienicy, mimo wielu późniejszych przeróbek, piękne jest i ciekawe. Zwracają zwłaszcza uwagę znamienne głowy (gigantów?) nad oknem drugiego piętra.

Ładna ślusarszczyzna zdobi otwór nad głównem wejściem. W samym środku ornamentów widzi się misternie związane litery *J. R.*

Jadalnia, która zajęła dół kamienicy, jest zupełnie nowoczesna. Za to ocalał w dawnym kształcie sklep czyli loszek niewielki, w którym mieści się kram spożywczy. Wejście do loszka osłania piękny, stary daszek. Dla tych, co w dół schodzić nie chcą lub nie mogą, ustawiono stragan.

I ta kamienica miała w dawnych wiekach swe miano odrębne. Zwała się „Majeranowska.” Wystawił ją przy końcu XVI-go w. Mikołaj Majeran *vel* Marian, aptekarz królewski (*pharmacopola*), który musiał dla miasta zasługi jakieś położyć, gdyż obrano go burmistrzem Staréj Warszawy. Na stanowisku tém widzimy go jeszcze w r. 1607.

W drugiéj połowie XVII-go w. dom ten należał w równych częściach do Gizów i do Gutakowskiego. Podług „Regestru Gospód” z r. 1669, posiadał on: izb 7, *kownatę* (tak) z sionką i kuchenką, sklepów 2, piwnic 2, kuchni 4. W czasie sejmu, stawał w nim gospodą biskup Chełmiński.

W liczbie późniejszych właścicieli domu spotykamy Ekersdorfa i Kopkego.

№ 13 (8).

Téj kamienicy, któréj ściany narożne zdobi podwójne wyobrażenie lwa z tarczą, półtrzecia wieku temu zdarzył się brzydki *casus*. Oba-

liła się. Ani właściwego powodu, ani dokładnéj daty tego osobliwego zdarzenia nie znamy; katastrofa wszakże musiała nastąpić w samym środku XVII-go wieku.

Odbyta w r. 1636 rewizya domów staromiejskich znalazła w kamienicy téj kilka izb „grożących zawaleniem;” w rewizyi zaś z roku 1669 zapisano o niéj: „teraz restaurować zaczęto.”

Miała niegdyś dwie nazwy: „Budzyńska” i „Plerowa.” W połowie XVII-go w. była własnością „Claudego” czyli Klaudiusza Henrieta, rajcy warszawskiego. Znajdowało się w niéj wówczas: izb 4, „kownat” 3, sklepów 2, piwnic 2, na tyle izdebek 2. Stawał tu kasztelan krakowski.

W ostatnich latach zeszłego stulecia właścicielem téj kamienicy był doktór Czempiński, dziadek Klementyny Hoffmanowéj. O doktorze tym, zajmującym miejsce wydatne wśród mieszczaństwa warszawskiego przedostatniéj doby, powiemy obszerniéj przy opisie kamienicy „pod Fortuną”, która również do niego należała.

Zmieniając często właścicieli, dom, o którym mówimy, znajdował się kolejno w ręku Karasiów, Piaskowskich, Ilnickich i t. d.

Wracając do katastrofy, na wstępie wymienionéj, zapisać musimy, że dziwnym trafem, w połowie bieżącego wieku, takiemuż samemu wypadkowi uległa kamienica, w bliskiem sąsiedztwie, bo po przeciwnéj stronie ulicy położona. Czy nie możnaby dopatrywać się w tém jakichś szczególnych właściwości gruntu? Tą drugą kamienicą (dziś już nieistniejącą) była posesya niegdyś Lelewelów, następnie Wagnerowéj, na rogu Świętojańskiéj i Zapiecka. Posesya ta, oznaczona numerem hipotecznym 9, runęła w r. 1831. Plac pozostały po niéj a sprzedany miastu posłużył do rozszerzenia Zapiecka.

Wiktor Gomulicki.



STANOWISKO KRÓLESTWA POLSKIEGO

w PAŃSTWIE ROSYJSKIÉM

co do produkcyi ziarna i transportów zbożowych.

Z powodu ostatniego zjazdu przedstawicieli rolnictwa i dróg żelaznych, dla narad w sprawie reformy taryf zbożowych, ministeryum finansów i ministeryum komunikacyi wydały kilka dzieł statystycznych, dotyczących uprawy i zbiorów zboża w całém państwie, a także ruchu zboża na kolejach żelaznych. Dane w nich zawarte pozwalają ocenić stanowisko naszego kraju w produkcyi, spożyciu i ruchu handlowym produktów zbożowych całego państwa i dlatego zamierzamy podać czytelnikom naszym ostateczne wnioski, do których te dane prowadzą.

Wprawdzie, w zeszycie lipcowym r. b., podaliśmy szereg cyfr statystycznych, dotyczących rolnictwa kraju naszego; obecnie jednak podajemy niektóre z nich wedle świeższych źródeł i w zestawieniu z takiemiż danemi, odnoszącemi się do całego państwa; chodzi nam bowiem przedewszystkiém o stosunek, jaki między temi danemi zachodzi.

I.

Pierwszém z dzieł, które mamy przed sobą, jest wydana przez departament dróg żelaznych ministeryum komunikacyi, a ułożona przez

inżyniera A. Radcyga „Statystyka rolnictwa gubernialna” (Sielskochozjajstwiennaja Statistika po guberniam) za r. 1893, 1894 i 1895. Obejmuje ona dane, dotyczące uprawy, zbiorów i spożycia ziarna, ułożone guberniami, ugrupowanemi w okręgi i podzielonemi na dwa wielkie działy (strefy) gubernii czarnoziemnych i nieczarnoziemnych. Zawiéra téż ona dane dotyczące uprawy zboża w 3-ch okręgach północnego Kaukazu (Terskim, Kubańskim i w gub. Stawropolskiéj) nie obejmuje jednak gub. Archangielskiéj, Ołonieckiéj, Wiatskiéj i Permskiéj.

Jak wiadomo, państwo Rosyjskie w Europie zajmuje przestrzeń do 4,408,000 wiorst kw., t. j. 458 do 459 milionów dziesięcin. Po odtrąceniu przestrzeni pod wodami, drogami, miastami etc., pozostaje jeszcze prawie 407 milionów dziesięcin ziemi w obrębie wsi, z których:

106,666	tys.	dzies.	czyli	26.2%	zajmują	pola orne
64,806	„	„	„	15.9%	„	łąki i pastwiska
157,617	„	„	„	38.8%	„	lasy
77,808	„	„	„	19.1%	„	nieużytki.

W ogólnéj téj przestrzeni Królestwo Polskie stanowi 111,875.4 wiorst kw., t. j. 11,620,157 dziesięcin, z których: pól ornych 53.2%, łąk i pastwisk 15.4%, lasów 22.6%, nieużytków 5.4% [1]). Dla porównania przytaczamy tu jeszcze, że w państwie Niemieckiém z ogólnéj przestrzeni 54 milionów hektarów 27.3 mil. h., t. j. 50.5%, zajmują pola orne i łąki, a prawie 14 mil. h., t. j. 25%, lasy. Królestwo Polskie na przestrzeń stanowi zatém 2.5% całéj przestrzeni Rosyi europejskiéj;—co do ludności stosunek jest inny, wynosi 8.5%.

Z punktu widzenia rolnictwa, najważniejszym jest podział państwa na strefę czarnoziemną i nieczarnoziemną;—w téj ostatniéj jednak należy jeszcze odróżnić gubernie północne od środkowych: różnią się one bowiem znacznie tak co do stosunku ludności do przestrzeni, jak i co do stosunku przestrzeni ogólnéj do przestrzeni pod uprawę zbóż zajętéj — zarówno od gubernii czarnoziemnych, jak i nieczarnoziemnych. Są to gubernie (Petersburska, Pskowska, Nowogrodzka, Ołonecka, Wołogodzka i Archangielska) nie produkujęce nigdy dostatecznéj ilości ziarna na wyżywienie ludności, — gubernie sprowadzające ziarno z południa stale, od czasów niepamiętnych. Z gubernii zaś południowych, czarnoziemnych wyłączyć należy gub. Astrachańską, mającą w większéj swéj części charakter nieurodzajnego stepu.

---

[1]) Dane te bierzemy z artykułu p. Fortunatowa „Statystyka 10 gubernii Królestwa Polskiego“ w miesięczniku „Ruski przegląd ekonomiczny“, wrzesień, 1897 roku.

Ogólne stosunki ludności, przestrzeni ogólnéj i przestrzeni pod uprawę zbóż zajętéj, w latach 1893 i 1895 wyrażają się w następujących cyfrach:

I. Gubernie czarnoziemne — południowe:

Gubernia:	Ludność	Przestrzeń Ogólna wiorst kw.	Przestrzeń Ogólna dziesięcin	Pod uprawą zbóż dziesięcin 1893	Pod uprawą zbóż dziesięcin 1895	Ilość dziesięcin uprawnych na 1 głowę ludności	Stosunek przestrzeni uprawnéj do przest. wogóle
	w tysiącach głów, wiorst i dziesięcin						
Centralne rolnicze	13,622	262	27,248	9,225	9,190	0.67	34%
Nadwołżańskie środkowe	9,472	253	26,314	6,794	6,922	0.71	26%
„ południowe (bez Astrachańskiéj)	4,038	300	31,408	4,005	3,730	0.91	12%
Noworosyjskie	9,130	359	37,336	11,969	11,920	1.30	32%
Południowo-zachodnie	8,151	149	15,080	4,503	4,533	0.55	30%
Małoruskie	7,592	137	14,352	4,911	4,391	0.58	30%
Gubernia Ufimska	2,039	107	11,128	1,709	1,334	0.65	12%
Razem	54,044	1,567	162,866	43,116	42,020	0.77	26%

II. Gubernie nieczarnoziemne — środkowe:

Centralne przemysłowe	9,197	262	27,248	3,706	3,615	0.40	14%
Przyuralskie (bez Ufimskiéj)	6,230	426	44,397	5,505	5,505	0,88	12%
Nadbaltyckie	2,350	83	8,655	898	1,175	0.50	14%
Białoruskie	5,921	211	21,944	3,186	3,215	0.54	15%
Litewskie	4,369	107	11,152	2,449	2,303	0.53	21%
Królestwo Polskie	8,256	112	11,648	3,827	3,563	0.43	30%
Razem	36,323	1,201	125.044	19,569	19,376	0,53	15%

III. Gubernie północne:

Nadjeziorne (Peters., Nowogr., Ołonec., Pskowska)	4,342	324	33,728	1,492		0.34	4%
Północne (Archangielska, i Wołogodzka	1,642	1,108	115,297	610		0.37	0.5%
Razem	5,984	1,432	149,025	2,102		0.35	1%

IV. Gubernia stepowa:

Astrachańska	515	208	21,528	267	326	0.70	1%
Razem w całém państwie	96,866	4,408	458,463	65,149	63,825	0.66	14%

Powyższe cyfry dowodzą: że przestrzeń zajęta pod uprawę zbóż w całém państwie wynosi 14% ogólnéj przestrzeni i około $^{2}/_{3}$ dziesięciny na głowę ludności. W guberniach czarnoziemnych pod uprawę zbóż zajęto średno 26% ogólnéj przestrzeni, — jeśli zaś pominiemy świéżo zaludnione gubernie: Ufimską, Saratowską i Orenburską, to procent ziemi zajętéj pod uprawę zbóż wyniesie 30%, a w okręgu czarnoziemnym centralnym procent ten wynosi do 34%.

W guberniach strefy nieczarnoziemnéj procent przestrzeni zajętéj pod uprawę zbóż wynosi średnio 15%. Królestwo Polskie w tym względzie stoi na granicy strefy czarnoziemnéj i nieczarnoziemnéj, co tém jest ważniejszém, że w przestrzeni swéj posiada 22.6% lasów, których w okręgach czarnoziemnych nie ma prawie zupełnie. Po Królestwie Polskiém idą gubernie litewskie z 21% zajętemi pod uprawę zbóż; dla pozostałych okręgów nieczarnoziemnych procent przestrzeni zajętéj pod uprawę zbóż waha się od 12 do 15.

Ilość dziesięcin, zajętych pod uprawę zbóż, na głowę ludności ulega mniéj silnym wahaniom między strefami, a silniejszym między pojedyńczemi okręgami: przy średniéj dla całego państwa 0.66 dziesięciny na głowę, wynosi ona w strefie czarnoziemnéj 0.77, w nieczarnoziemnéj 0.53; w północnym okręgu 0.35, w stepowéj gubernii Astrachańskiéj 0.70. Nie natura gruntu, ale dawność zaludnienia gra tu przeważną rolę. W strefie czarnoziemu najwyższą ilość dziesięcin na głowę mają gubernie noworosyjskie, bo 1.30 dziesięciny, najniższą gubernie południowo-zachodnie 0.55, gdzie uprawa buraków wpływa silnie na zmniejszenie przestrzeni zbóż.

W strefie nieczarnoziemnéj najniższą ilość wykazują gubernie centralne przemysłowe, — wskutek objęcia w cyfrze ludności miasta Moskwy i fabryk tego okręgu, a zaraz przy nich Królestwo Polskie, obejmujące okręgi fabryczne warszawski i łódzki. Najwyższą mają z natury rzeczy gubernie najbardziéj ku wschodowi posunięte, przyuralskie (Permska i Wiacka), 0.88 dzies. na głowę.

W gub. północnych ilość dziesięcin, zajętych pod uprawę zbóż, spada poniżéj 0.40 na głowę—wynosi 0.34, 0.37, średnio 0.35.

Cyfry te wykazują dokładnie stanowisko Królestwa Polskiego w produkcyi zboża państwa. Mimo gruntów nieczarnoziemnych, uprawia ona zboże na przestrzeniach tak wielkich, jak gubernie czarnoziemne, — a co do stosunku na głowę ludności uprawia ziemi więcéj, niż gubernie przemysłowe centralne, a nieco mniéj niż gubernie południowo-zachodnie.

Drugi jeszcze ważny wniosek możemy wyprowadzić z tych cyfr. Przestrzeń zajęta pod uprawę zbóż w całém państwie wynosiła:

w roku 1893	dziesięcin	65,149	tysięcy
„ 1895	„	63,825	„
zmniejszyła się zatém o dziesięcin		1,324	tysięcy

Cyfra ta jednak wymaga poprawki.

W ilościach przestrzeni zajętéj pod uprawę zbóż, w r. 1895-ym wprowadzono po raz pierwszy nieobjęte poprzedniemi wykazami przestrzenie pod uprawą zbóż na t. zw. ziemiach Baszkirów:

w gub. Orenburskiéj, t. j. dziesięcin	560	tysięcy
i przestrzenie dotąd nieobjęte statystyką urzędową w guberniach Liflandzkiéj i Estlandzkiéj	337	„

Wskutek tego właściwe zmniejszenie przestrzeni pod uprawą zbóż wynosi:

w Rosyi Europejskiéj dziesięcin	2,221	tysięcy
ponieważ zaś w trzech guberniach kaukazkich północnych przestrzeń tę powiększono w ciągu lat 1893 — 1895 o dziesięcin	300	„
Dlatego właściwe zmniejszenie przestrzeni oblicza się na dziesięcin	1,921	tysięcy

czyli na 3%.

Na uwagę zasługuje to, że prócz północnego Kaukazu, na którym uprawa zbóż zajęła w ciągu 3-ch lat ostatnich nowe 300,000 dziesięcin, — znaczniejsze rozszerzenie uprawy wykazuje tylko okrąg: średniéj Wołgi (122,000 dzies.); w pozostałych okręgach wszędzie prawie przestrzeń pod uprawę zbóż zajęta uległa zmniejszeniu. Największe zmniejszenia wykazują okręgi: nadwołżański południowy (265,000 dzies.), małoruski (510,000), gub. Ufimska (365,000), a z nieczarnoziemnych: Królestwo Polskie (264,000), gubernie litewskie (146,000) i centralne przemysłowe (91,000 dzies.).

II.

Średni zbiór zbóż za ostatnie 13 lat oblicza nasze źródło w całém państwie na 288 milionów czetwierti przeszło, z których 69.7 mil czet. zużywa się na siewy, 179.4 mil. czet. spożywa się w państwie, a 39 mil. wywozi zagranicę. Siew stanowi więc 24%, spożycie 63.5%,

a wywóz 13.5% ogólnéj ilości. W pojedyńczych gatunkach ziarna stosunek spożycia i wywozu, ulega silnym zmianom. Zbiory, spożycie i wywóz średnie co do 4-ch najgłówniejszych gatunków ziarna w cyfrach absolutnych stanowiły (w tysiącach czetwerti):

	Żyto	Pszenica	Jęczmień	Owies
Zbiór	112,349	37,423	22,547	89,014
Siew	24,168	8,376	5,044	26,627
Spożycie	80,707	15,100	12,629	53,096
Wywóz	7,474	13,947	4,874	9,291

w procentach zaś stanowią:

zbiór	100	100	100	100
siew	22	72	22	30
spożycie	72	41	56	60
wywóz	6	37	22	10

Z porównania ogólnéj sumy zbiorów ze spożyciem wewnętrznéin pojedyńczych gatunków zboża i ogólnéj sumy wywozu ziarna z pojedyńczemi gatunkami ziarna wywiezionego wypada, że w ogólnych sumach spożycia i wywozu stanowią %:

	Żyto	Pszenica	Jęczmień	Owies	Inne gatunki ziarna
spożycie	39	13	8	31	9
wywóz	19	36	12	24	9

Nie możemy jednak w tém miejscu pominąć milczeniem, że tak zwane cyfry spożycia są czysto teoretyczne. Obliczone są na podstawie średniego spożycia na głowę ludności 17.19 pudów rocznie, w których przyjęto 8.88 pudów żyta, 1.19 pud. pszenicy, 3.89 pud. owsa i t. d. Czy są one prawdopodobnemi—orzec trudno; w każdym razie, w pojedyńczych okręgach wahają się one silnie, jeśli nie w ogólnéj sumie, to w sumach szczegółowych gatunków ziarna, tém więcéj, że spożycie kartofli w różnych okręgach rolnych bardzo różne ma zastosowanie, a ze średniém spożyciem ziarna w bardzo ścisłym stoi związku. Dodać tu musimy, że podane przez nas cyfry ludności są — jak to ostatni spis ludności wykazał — znacznie niższe od rzeczywistych, przez co całe obliczenie p. Radcyga ma charakter hypotetyczny, mogący służyć tylko za podstawę do określenia stosunku różnych okręgów państwa do całości. Poniżéj podajemy dane o cyfrze zbiorów w pojedyńczych okręgach za r. 1893 i 1895 — w sumach ogólnych, po potrąceniu ilości na siew potrzebnych — ilość zboża spotrzebowanego na miejscu w każdym okręgu—ilość zatém teoretyczną — i sumy wynikłe z porównania tych ilości, t. j. nadmiary ziarna (+), w okręgach produkujących wię

céj ziarna, niż go spożywają — i niedobory ziarna (—) w okręgach, które ziarna produkują, mniéj, niż go potrzeba na wyżywienie ludności okręgu. — Przytoczone cyfry wyrażają tysiące pudów. Odnośnie opuszczonych w wydawnictwie naszém gubernii, wzięliśmy cyfry średnie z innych źródeł:

I. Strefa czarnoziemna — południowa:

Okręgi	Zbiór 1893	Zbiór 1895	Spożycie 1893/5	Nadmiar i brak 1893	Nadmiar i brak 1895
Centralny rolny	383,436	420,872	238,385	+145,051	+182,487
Nadwołżański średni	231,593	242,302	165,757	+ 65,836	+ 76,546
„ dolny	98,219	114,417	79,683	+ 18,536	+ 34,734
Noworosyjski	676,563	399,754	159,775	+516,788	+239,979
Południowo-zachodni	218,201	207,234	142,651	+ 75,550	+ 64,583
Małoruski	208,398	173,583	132,863	+ 75,534	+ 40,719
Gubernia Ufimska	63,786	53,439	35,687	+ 28,099	+ 17,752
Razem	1,880,196	1,631,601	954,801	+925,394	+656,800

II. Strefa nieczarnoziemna — środkowa:

Centralny przemysłowy	115,429	98,876	160,952	—45,523	—62,076
Przyuralski (bez gub. Ufimskiéj)	108,846	108,846	75,815	+33,031	+33,031
Nadbaltycki	42,259	62,976	41,134	+ 1,125	+21,842
Białoruski	96,885	78,699	103,615	— 6,730	—24,916
Litewski	78,697	65,787	76,454	+ 2,243	—10,667
Królestwo Polskie	162,487	147,019	144,489	+17,998	+ 2,530
Razem	604,603	562,203	602,459	+54,397 —52,253	+57,403 —97,659

III. Strefa północna:

Przyjeziorny	47,346	39,536	73,920	—26,574	—34,384
Północny	22,350	21,351	26,648	— 4,298	— 5,297
Razem	69,696	60,887	100,568	—30,872	—39,681

IV. Strefa stepowa:

Gub. Astrachańska	2,200	4,785	9,016	— 6,816	— 4,231

Zestawienie tych sum daje następujące rezultaty:

Ogólny zbiór wynosił w 1893 roku	2,556,695	tysięcy	pudów
„ „ „ w 1895 „	2,239,476	„	„
Spożycie obliczono w 1893 i 5 r. na	1,666,844	„	„
Nadmiar w całém państwie w 1893 r.	889,850	„	„
„ „ „ w 1895 r.	572,632	„	„

Oddzielając zaś okręgi, mające nadmiar i brak ziarna, otrzymujemy następujące ogólne sumy:

	1893	1895
nadmiar w tysiącach pudów	979,791	714,203
brak „ „	89,941	141,571

Dodać przytém musimy, że w trzech północnych okręgach Kaukazu obliczano:

	1893	1895
ogólny zbiór	163,563	170,476
spożycie	53,931	
nadmiar	109,631	116.544

przez co nadmiar—*netto*—ziarna za te dwa lata należałoby obliczać:

za 1893 rok na 999,481 tysięcy pudów
„ 1895 „ „ 689,176 „ „

Podając te cyfry, uważamy za konieczne raz jeszcze powtórzyć, że oparte są one na cyfrze teoretycznego spożycia i niedokładném obliczeniu ludności, przez co mają one charakter wielce hypotetyczny i mogą wykazać tylko stosunek okręgów między sobą i do całości państwa.

Praca p. Radcyga, oprócz cyfr dotyczących ogólnéj przestrzeni pod uprawę zbóż zajętéj i ogólnéj sumy zbiorów ziarna za lata 1893, 1894 i 1895, obejmuje jeszcze przestrzenie i zbiory kartofli i przestrzeń i zbiory poszczególnych gatunków ziarna: żyta, pszenicy, jęczmienia, owsa i pozostałych innych gatunków ziarna. Tutaj zrobimy użytek tylko z cyfr, dotyczących ilości plonów żyta i pszenicy, i zastanowimy się nad stosunkiem, w którym oba te najważniejsze gatunki ziarna są uprawiane w różnych okręgach państwa. Przecięciowo od r. 1881 do 1890-go zbiérano:

Żyta 112,350 tysięcy pudów } a po potrąceniu ilości potrzebnych
Pszenicy 37,423 „ „ } do siewu
{ żyta 88,181 tysięcy pudów
{ pszenicy 29,047 „ „

zbiór więc pszenicy stanowi w całém państwie średnio 33% zbiorów żyta.

W pojedyńczych okręgach jednak procent ten ulega silnym wahaniom, jak to pokazuje niżéj podane zestawienie zbiorów żyta i pszenicy w pojedyńczych okręgach i niektórych guberniach, ułożone w porządku, w jakim procent ten, poczynając od najwyższych ilości pszenicy, maleje prawie do zera.

Okrąg	Zbiór średni za 1893/5 w tysiącach pudów żyta	pszenicy	Stosunek procentowy, biorąc żyto za 100
Noworosyjski	81,386	282,563	350%
Nadwołżański południowy	44,584	70,894	160%
Południowo-zachodni	69,169	64,710	93%
Małoruski	89,952	58,561	65%
Królestwo Polskie	84,642	31,413	37%
Nadwołżański średni	188,512	26,609	14%
Nadbaltycki	22,907	2,875	12.5%
Centralny rolniczy	268,572	26,912	10%
Litewski	51,474	5,005	10%
Białoruski	63,995	2,860	4.5%
Przemysłowy Moskiewski	87,162	2,205	2.5%

Powyższe zestawienie wykazuje, że pod względem ilości produkowanéj pszenicy Królestwo stoi w szeregu gubernii czarnoziemnych i w szeregu tym zajmuje miejsce przed okręgiem średniéj Wołgi. Fakt ten w zestawieniu z wykazaném wyżéj (str. 485) stosunkiem przestrzeni, zajętéj pod uprawę zbóż do ogólnéj przestrzeni dowodzi: że Królestwo Polskie, nie będąc z natury okręgiem czarnoziemnym długoletnią kulturą podniosło przyrodzone własności gruntu o tyle, że dziś tak ze względu na ilość, jak i na jakość produkcyi rolnéj w stosunku do reszty państwa, gra rolę okręgu czarnoziemnego. Stanowiska tego dowodzi także uprawa buraków cukrowych w Królestwie, — i dlatego, w kwestyach polityki taryfowéj, nie powinno być ono uważane za okrąg nieczarnoziemny, potrzebujący przedewszystkiém taniego dowozu produktów zbożowych.

Korzystamy jeszcze z naszego wydawnictwa, ażeby wyjaśnić kwestyę dotąd mało wyjaśnioną: w jakim stosunku znajdują się do siebie przestrzenie pod uprawą i plony żyta i pszenicy na gruntach włościańskich i folwarcznych w Królestwie.

Podług danych, które mamy przed sobą, przestrzenie zajęte pod uprawę żyta i pszenicy wynosiły średnio w ciągu lat 1893 — 1895 dziesięcin:

na gruntach	żyto	pszenica
włościańskich	946,702	141,427
folwarcznych	653.797	292,013
razem	1,600,499	433,440

W ogólnéj zatém sumie przestrzeń, zajęta pod pszenicę, stanowi 27% przestrzeni zajętéj pod uprawę żyta; na gruntach jednak włościańskich stosunek ten wynosi 15%, na folwarcznych 45%. Różnica tych stosunków zwiększa się jeszcze bardziéj w plonach, wskutek większéj wy-

dajności z morgi, na gruntach folwarcznych niż na gruntach włościańskich.

Średnie plony za 3 lata żyta i pszenicy stanowiły:

na gruntach	żyto	pszenica
	w tysiącach pudów	
włościańskich	47,103	9,407
folwarcznych	37,539	22,006
razem	84,642	31,413

W ogólnéj zatém ilości zbiorów pszenica stanowi 37% żyta; na gruntach włościańskich 20%, na folwarcznych 60% zbioru żyta.

III.

W kwestyi danych, dotyczących przewozu ziarna i produktów zbożowych kolejami żelaznemi za 1895 r., posiadamy dwa cenne wydawnictwa statystyczne. Departament dróg żelaznych przy ministeryum finansów wydał „Materyały do rewizyi taryf zbożowych na drogach żelaznych rosyjskich w r. 1895; zaś ogólny taryfowy zjazd przedstawicieli dróg żelaznych rosyjskich wydał „Dane statystyczne o ruchu transportów zbożowych na drogach żelaznych rosyjskich", ułożone guberniami. Oba te wydawnictwa w wielu kwestyach podają dane, dotyczące tych samych faktów, dopełniają się jednak wzajemnie w tém mianowicie, że gdy ministeryum finansów zwróciło główną uwagę na kierunek, w którym transporta dążyły, na stacye otrzymujące, Zjazd dr. żel. układał swe dane z uwzględnieniem przedewszystkiém stacyi i okręgów wysyłających. Matematycznéj zgodności między temi wydawnictwami szukać nie można, różnice jednak są nieznaczne: ogólna suma pudów zboża i produktów zbożowych, przewiezionych na drogach żelaznych w r. 1895, podaną została przez ministeryum finansów na 710,314,000, przez zjazd na 702,032,000 pudów. Różnica więc wynosi 8,282,000 pudów, t. j. około 1.2% całéj ilości. W dalszym ciągu opiérać się będziemy na cyfrach obu wydawnictw, oznaczając cyframi M. F. dane ze zbioru ministeryum finansów, a cyframi Zj. — dane ze zbioru zjazdu. Ogólna ilość przewozów na drogach żelaznych w ciągu lat 3 ostatnich wynosiła (Zj.) w tysiącach pudów:

w roku 1893	556.640
„ 1894	722,198
„ 1895	702,032
a średnio	660,290 tysięcy pudów

w czém ziarno stanowiło 70%, t. j. 459,676. Z téj ostatniéj cyfry przypada na:

żyto	16%	t. j.	73,515	tysięcy	pudów
pszenicę	35%	„	162,836	„	„
owies	23%	„	105,713	„	„
jęczmień	14%	„	66,703	„	„

W pozostalych 12% stanowią: proso (1%), gryka (1%), kukurydza (7%), groch (3%).

Prócz ziarna przewieziono:

mąki i krup	134,890	tys.	pudów	t. j.	20%
otrąb, plew etc.	32,057	„	„	„	5%
nasion oleistych	33,658	„	„	„	5%

Ogół dochodu, jaki koleje żelazne osiągnęły za te transporty (bez nasion oleistych) wynosił 74,423,864 ruble (Zj.). Z sumy téj zboże wysłane przez gubernie czarnoziemne przyniosło drogom 63,227,230 rubli, a transporty wysłane ze wszystkich pozostałych gubernii 11,196,634 rs. Transporty zbożowe, wysłane przez Królestwo Polskie, stanowią w téj ostatniéj sumie cyfrę 704,531 rubli, t. j. mniéj niż 1% ogólnego dochodu (Zj.). Poniżéj podajemy zestawienie: ilości transportów zbożowych, wysłanych przez pojedyńcze okręgi, podzielone na strefy czarnoziemną i nieczarnoziemną i sumy dochodu otrzymanego za te transporty, uszykowane co do wielkości dochodu, jaki dają drogom żelaznym. Zestawienie to może służyć za wskazówkę co do stopnia ważności, jaką pojedyńcze okręgi mają dla władz taryfowych z punktu widzenia finansowego.

	Ilości przewiezione tys. pudów	Dochód w tys. rubli
I. Gub. czarnoziemne:		
Okrąg Centralny rolny	153,854	21,840
„ Noworosyjski	183,222	12,268
„ Nadwołżański średni	61,913	9,433
„ Południowo-zachodni	60,845	6,917
„ Małoruski	53,292	6,887
„ Nadwołżański dolny	36,774	5,882
Razem	549,900	63,227
II. Gub. nieczarnoziemne.		
Okrąg Centralny przemysłowy	40,424	3,226
Królestwo Polskie	13,681	705
„ Białoruski	8,573	688
„ Przyuralski	6,830	442
„ Litewski	6,979	324
„ Nadbaltycki	7,757	217
„ Przyjeziorny	3,746	95
„ Północny	44	1
Razem	88,034	5,698

Zebranie		
Strefa czarnoziemna	549,900	63,227
„ nieczarnoziemna	88,034	5,698
Kaukaz (3 gub. północne)	57,873	4,759
Gub. Azyatyckie	6,225	739
Razem (Zj.)	702,032	74,423

Interesującem jest jeszcze obliczenie dochodu kategoryami na odległości, jaką przebiegają transporty zbożowe wogóle, a ziarno, mąka i otręby w szczególe; obliczenie to daje następujące rezultaty:

Dochód w tysiącach rubli z przewozu

z transportów	Ogółu transportów	Ziarna w ruchu wewnętrz.	Ziarna w ruchu wywozowym	Mąki	Otrąb
od 0—500 wiorst	24,415	5,965	13,195	4,631	624
500—1,000 „	14,795	3,386	4.886	5,619	904
1,000—1,500 „	24,305	3,690	12,597	5,678	2,340
1,500—2,000 „	8,572	1,039	4,068	1,938	1,527
2,000—2,500 „	2,138	372	980	433	353
2,500 i wyżéj	198	29	65	45	59
	74,423	14,481	35,791	18,344	5,807

Gdyby w tym wykazie transporty mąki i otrąb podzielone zostały tak jak przewozy ziarna na kierunki wywozowy i wewnętrzny, widzielibyśmy wyraźnie, że dochód z transportów wywozowych stanowi o wiele więcéj niż połowę ogólnego dochodu; sam wywóz ziarna stanowi prawie połowę ogólnéj sumy, a ogólna suma dochodu z kierunku wywozowego stanowi jak to zobaczymy niżéj przeszło 49 milionów rubli. Zauważymy tu jeszcze, że w transportach ziarna największy dochód dają zarówno w komunikacyi wewnętrznéj jak i wywozowéj odległości 0—500 i 1,000—1,500 wiorst, w transportach mąki i krup przewozy na odległość 500—1,000 i 1,000—1,500, a w przewozach otrąb przewozy na odległości 1,000—1,500 i 1,500 do 2,000 wiorst. Ta wielka wytrzymałość transportowa odpadków młynarstwa jest wymownym dowodem niesłychanego spadku ich ceny w guberniach południowo-wschodnich i anormalnych stosunków młynarskich w całém państwie.

Pozostaje nam tu jeszcze dotknąć danych, dotyczących pojedynczych gatunków ziarna i wogóle produktów zbożowych wysyłanych przez rozmaite okręgi rolne. W załączonym wykazie podajemy te dane w cyfrach procentowych do ogólnych ilości wysłanych, w których najprzód oddzielono od ogólnéj sumy wysłanych ilości ziarno od mąki i odpadków młynarskich, a następnie ilości ziarna podzielono na jego gatunki.

	Ziarno Razem	Żyto	Pszenica	Owies	Mąka	Otręby
		w procentach do ogolnéj ilości ziarna.				
I. Strefa czarnoziemna						
Okręg centralny rolny	65%	27%	8%	61%	27%	4%
„ Nadwołżański średni	51	42	23	24	38	8
„ „ dolny	57	28	56	9	37	3
„ Noworosyjski	84	17	51	3	9	2
„ Połud. Zachodni	70	15	53	4	16	6
„ Małoruski	70	23	39	22	21	5
Średnio strefa czarnoziem.	70	23	39	22	21	5
II. Strefa nieczarnoziemna						
Okr. Centralny przemysł.	33	16	9	68	53	9
Białoruski	31	3	9	85	58	9
Północne gubernie	48	5	—	38	16	—
Przyjeziorne „	42	19	5	68	42	8
Litewskie „	54	20	2	43	19	7
Nadbaltyckie „	68	11	5	33	11	3
Królestwo Polskie	50	26	20	13	27	19
Kaukaz	74	4	75	14	6	1
Średnio strefa nieczarnoz. i Kaukaz	54	10	45	24	26	7
Azya	67	20	39	22	22	5
Średnia dla całego państwa	67	20	39	22	22	5

Cechą stale różniącą transporty strefy czarnoziemnéj od transportów strefy nieczarnoziemnéj—(do téj ostatniéj nie właściwie zaliczono Kaukaz) jest stosunkowa wielkość transportów owsa. W strefie nieczarnoziemnéj owies stanowi 33 do 85% przewozów ziarna; w strefie czarnoziemnej 3—24 i tylko w jednym okręgu centralnym rolnym stanowi 61%. Królestwo Polskie śród całéj strefy nieczarnoziemnéj wyróżnia się procentowym stosunkiem przewozów pszenicy (20) którym zbliża się do gubernii czarnoziemnych i zajmuje w nich drugie micjsce między gub. Centralnemi rolnemi i Nadwołżańskiemi średniemi.

Na zakończenie charakterystyki ruchu ogólnego towarów zbożowych w całém państwie podajemy poniżéj podział tych transportów na strefy 500 wiorstowe, obliczone według danych zjazdu—oddzielnie dla ziarna, mąki, krup i otrąb wysłanych z ważniejszych miejscowości.

	Ziarno		Mąka		Otręby		Razem	
0— 500	308,614.5	66%	77,238.6	51%	9,869.5	29%	395,722.6	61%
500—1,000	54,555.9	12%	37,338.7	25	5,688.8	17	97,583.4	15
1,000—1,500	77,967.6	17%	26,632.6	18	10,933.8	32	115,534.0	18
1,500—2,000	20,605.9	4%	7,730.9	5	6,183,3	18	34,520.1	5

2,000—2,500	4,646.9	1%	1,516.6	1%	1,232.4	4%	7,395.9	1%
2,500—3,000 i wyżéj	1,160.4	—	139.4	—	178.8	—	608.6	—
	467,551 2		150,596.8		34,086.6		651,364.6	

Dodać tu musimy, że na odległościach 0—200 wiorst wysłano w tysiącach pudów:

	ziarna	mąki	otrąb	razem
	167,375.4	42,004.7	5,518.2	214,898.3
t. j.	36%	27%	17%	33%

Przewozy na odległości 1,000 — 1,500 wiorst i tu mają przewagę nad przewozami od 500 do 1,000 — w żadnym jednak gatunku transportów przewaga ta nie występuje tak wyraźnie, jak w transporcie otrąb i objaw ten jest tém dziwniejszy że w transporcie mąki przewozy na odległości 1,000 do 1,500 wiorst są mniejsze od transportów na odległości 500—1,000. Mąka idzie w jedną stronę, otręby w drugą i jak to zobaczymy poniżéj w bardzo znacznéj części za granicę. Jest to okoliczność dla ekonomii rolniczéj państwa bardzo niekorzystna.

IV.

Stosunek przewozów zbożowych wewnętrznych do wywozu w ciągu ostatnich lat 8-iu niewielkiéj uległ zmianie. Z ogólnéj ilości przewozów—w milionach pudów (M. F.).

	Ilość ogólna	wywieziono		przewieziono w granicach państwa	
w 1889	498	300	t. j. 60.3%	198	t. j. 39.7%
1890	485	298	61.5	187	38.5
1891	517	277	53.6	240	46.4
1892	449	176	39.2	273	60.8
1893	567	308	45.6	259	54.4
1894	732	445	60.8	287	39.2
1895	710	404	57	305	43

Wyłączywszy trzy lata 1891—3, okazujące wyjątkowe zmniejszenie wywozu pod wpływem nieurodzajów 189$^{1}/_{2}$, zwiększenie się stosunkowe przewozów wewnętrznych stanowi około 4% za całe lat 8.

Jakkolwiek dla nas kwestya przewozów wewnętrznych stanowi główny interes, nim jednak przejdziemy do nich, chcemy poświęcić słów parę zagranicznemu wywozowi ziarna i produktów mącznych mającemu dla nas poważne znaczenie.

Porty morza Czarnego są głównemi punktami wywozu, w ostat-

nich latach 8-iu wywóz odbywał się głównie w następujących kierunkach (M. F.) (w tysiącach pudów).

	Granica lądowa	Morze Baltyckie	Morze Czarne
1889	52,192	105,588	142,166
1890	40,883	109.089	149,453
1891	47,003	98,459	191,323
1892	20,895	63.371	91,871
1893	35,285	95,107	178,210
1894	59,521	123,787	262,086
1895	51,790	122,909	230,025

Wywóz drogą lądową w ciągu lat 8, prawie że zmianie nie uległ; wywóz z portów morza Bałtyckiego powiększył się o 15%; wywóz z portów m. Czarnego powiększył się przeszło o 40%.

W wydawnictwie Min. Finansów znajdujemy bardzo szczegółowe dane, dotyczące wywozu przez najgłówniejsze porty i komory graniczne (26 punktów), przez które wywieziono w 1895 roku 374,704 tys. pudów t. j. przeszło 92% ogólnego wywozu. W ogólnéj téj ilości zawiera się:

Pszenicy	109,229
Żyta	47,468
Owsa	64,222
Jęczmienia	41,051
Mąki i krup . . .	24,559
Otrąb, plew etc. . .	27,280

Ogólny dochód dróg żelaznych za wywóz transportów zbożowych wynosił 49,240,401 rubli, średnia odległość przewozu 670 wiorst, średni dochód z przewozu jednego puda 13.14 kop. średnia stawka $^1/_{51}$; dla pojedyńczych portów i punktów granicznych średnie odległości dostawy, średnie opłaty i średnie stawki wahają się od 250—1,400 wiorst od 8 kop. do 24 kop. i od $^1/_{30}$ do $^1/_{65}$ kop. od puda i wiorsty. Poniżéj podajemy kilka danych najbliżej nas obchodzących.

	Średnia odległość przewozu wiorst	Średnia opłata od 1 puda kopiejek	Średnia stawka od puda i wiorsty kopiejek
Petersburg	1053	17.71	$^1/_{59}$
Rewel	1394	21.95	$^1/_{64}$
Libawa	1231	20.56	$^1/_{60}$
Królewiec	1153	19.41	$^1/_{59}$
Gdańsk	1250	20	$^1/_{63}$
Granica	1532	23.52	$^1/_{65}$
Mława	653	12.91	$^1/_{51}$
Aleksandrów	1263	20.83	$^1/_{61}$

Sosnowice	1263	20.83	1/61
Odessa	279	8.15	1/34
Nikołajew	257	7.65	1/34
Rostów n. D.	246	8.16	1/30

Średni przebieg dla pojedyńczych gatunków przewozów jest różny: dla pszenicy stanowi on 355 wiorst, dla żyta 803, dla owsa 1,005, dla mąki i krup 1,025, dla otrąb, makuch etc. 1,168. Ten maksymalny przebieg dla najmniéj cennego produktu stwierdza tylko naszą poprzednią uwagę o anormalnéj obniżce jego ceny na miejscach przemiału mąki.

Głównémi punktami wywozu odpadków mącznych są: Petersburg (3,859 tys. p.), Ryga (1,965), Libawa (3,955), Królewiec (3,490), Gdańsk (2,296), Aleksandrów (5,886), Sosnowice (3,059) t. j. porty baltyckie i komory lądowe przez które przechodzi 26,650 tys. pudów z ogólnéj sumy 27,280 tysięcy pudów. Pszenica wywozi się głównie przez porty morza Czarnego, owies podąża do portów morza Baltyckiego. Żyto rozkłada się dość równomiernie między portami baltyckiemi (42%) morza Czarnego (42%); przez granicę lądową idzie 16%.

Poniżéj podajemy obliczenie podziału transportów wywozowych i dochodu dróg żelaznych na 500 wiorstowe strefy przewozu.

z przewozów	przewieziono pudów w tysiącach pudów		otrzymano dochodu w tysiącach rubli	
od 0— 500 wiorst	203,160	54 %	15,109	30.7
500—1,000	51,793	13 %	7,617	15.5
1,000—1,500	85,956	22,9%	17,903	36.3
1,500—2,000	27,392	7.3%	6,723	13.7
2,000—2,500	5,700	1.7%	1,656	3.3
2,500 i wyżéj	703	0.3%	232	0.5
	374,704	100%	49,240	100%

Cyfry te dowodzą jak ważnemi dla finansów dróg żelaznych są transporty z odległości 1,000—1,500 wiorst: stanowią one prawie 40% ogólnego dochodu z transportów zbożowych wywozowych.

V.

Przystępując do charakterystyki ruchu zbożowego w Królestwie Polskiém musimy przedewszystkiém przypomnić, że gub. Kaliska dotąd nie posiada ani wiorsty dróg żelaznych, że zatém w wykazach tego ruchu guberniami Królestwo Polskie posiada tylko 9 gubernii.

W ciągu ostatnich trzech lat stacye kolejowe w granicach Królestwa położone wysłały: (Zj.)

	1893	1894	1895
	w tysiącach pudów:		
Ziarna różnego gatunku	11,184	8,159	6,819
Mąki, kaszy, słodu etc.	3,906	3,918	3,739
Otrąb, plew, makuch etc.	3,244	3,534	2,582
Nasion oleistych	712	668	541
Razem	19,046	16,279	13.681

Stanowi to 3.4—2.2 i 2% ogólnego ruchu transportów zbożowych na drogach państwa. Średnio w ciągu tych trzech lat wysyłano 16,335 tys. p., w których ziarno stanowiło 53%, mąka i krupy 24%. Otręby, plewy, makuchy 19%, nasiona oleiste 4%.

Co do gatunków wysyłanego ziarna dane za ostatnie 3 lata wyrażają się w następujących cyfrach:

	1893	1894	1895	Średnio	
Żyto	3,808	2,312	1,777	2,633	30%
Pszenica	2,217	1,611	1,378	1,735	20%
Owies	2,092	891	898	1,294	15%
Proso	91	1	6	33	—
Tatarka	128	114	113	118	1%
Jęczmień	2,041	2,642	2,050	2,244	26%
Kukurydza	54	31	27	37	—
Groch	753	557	570	627	7%

Co do przetworów młynarstwa, to zauważymy tylko, że w ogólnych ilościach tych transportów wysłanych ze stacyi Królestwa:

	w r. 1893	1894	1895
w sumach	3,906	3,918	3,739
było: mąki pszennéj	2,269	1,974	1,951
„ żytniéj	963	1,090	1,031

Przeto procent mąki żytniéj stosunkowo zwiększył się, zapewne wskutek większego dowozu mąki pszennéj z odległych gubernii. Ta sama przyczyna wpłynęła prawdopodobnie i na obniżenie się transportów owsa.

Dzieląc ilości ogólne na pojedyncze gubernie przekonywamy się, że w 1895 r. wysłały

Gubernie:	Żyta	Pszenicy	Owsa	Jęczmienia	Razem ziarna	Mąki, krup etc.	Otrąb, plew, makuch	Nasion oleistych	Razem
	w tysiącach pudów:								
Kielecka	7	67	19	182	296	223	157	126	802
Radomska	275	222	100	223	915	192	279	75	1,461
Lubelska	165	334	18	146	706	1,439	750	103	2,998
Siedlecka	523	94	92	35	841	265	129	14	1,249
Piotrkowska	131	51	41	317	560	489	247	40	1,336

Warszawska	354	232	484	593	1866	988	790	37	3,681
Płocka	374	233	41	90	819	109	165	18	1,111
Łomżyńska	42	28	95	15	226	28	53	35	342
Suwalska	6	117	8	449	590	6	12	93	701
Razem	1,777	1,378	898	2,050	6,819	3,739	2,582	541	13,681

W liczbach procentowych pojedyńcze gatunki ziarna stanowią w stosnnku do ogólnéj ilości transportów zbożowych:

	Żyto	Pszenica	Owies	Jęczmień
Kielecka	5%	27%	16%	49%
Radomska	36	23	14	19
Lubelska	18	38	10	16
Siedlecka	69	9	10	3
Piotrkowska	21	5	30	35
Warszawska	27	20	15	30
Płocka	49	31	4	4
Łomżyńska	30	21	23	3
Suwalska	1	15	2	79

Co do odległości na jakie wszystkie te transporty były wysłane, podajemy tablicę ułożoną strefami 500 wiorstowemi.

	Ziarno		Mąka		Otręby		Razem	
0— 500	5,580.5	87%	3,417.6	97%	2,375.9	98%	11,374	91%
500—1,000	134.4	2%	2.5	—	45.3	2%	182.2	2
1,000—1,500	650.8	10%	130.2	3%	1.9	—	790.7	6
1.500—2,000	8.1	—	0.1	—	—		8:2	—
2,000—2,500	50.8	1%	4.8	—	—		55.6	1
2,500—3,000	26.4	—	6.7	—	—		33.1	—
	6,458.8	—	3,561.9		2,423.1		12,443.8	

Transporty na odległość 0—200 wiorst stanowią:

	Ziarno	Mąka	Otręby	Razem
tys. pudów	4,809.2	2,694.8	1,266.2	8,770.2
t. j. w %	75	77	53	70

Jeśli te dane zestawimy z takiemiż danemi dla całego państwa, któreśmy poprzednio podali, przekonamy się dopiéro, jak różnym jest ruch zbożowy w Królestwie od ruchu zbożowego w całém państwie z punktu widzenia wysyłającego.

Na odległości od 0—200 wiorst przypada procentów:

	Ziarno	Mąka	Otręby	Razem
w całém Państwie	36	27	17	33
w Królestwie	75	77	53	70

Na odległości 0—500:

w całém Państwie	66	51	29	61
w Królestwie	87	97	98	91

na odległości 500—1,000

w całém Państwie	12	25	17	15
w Królestwie	2	2.5	2	2

na odległości 1,000—1,500 wiorst

w całém Państwie	17	18	32	18
w Królestwie	10	3	1.9	6

na wszystkie odległości powyżéj 1,500 wiorst w całem

Państwie przypada	5	6	22	6
dla Królestwa			0 — 1	

Królestwo, jako wysyłający, jako producent ziarna zainteresowane jest tylko w stosunkach kolejowych do 500 wiorst odległości i w interesie jego leży możliwe ich obniżenie. W stawkach na odległości powyżéj 500 wiorst zainteresowane ono jest już tylko jako konsument ziarna.

Byłoby bardzo pożądanem obliczyć jeszcze jaka ilość transportów zbożowych wysyłanych przez Królestwo Polskie wychodzi za granicę i wykaz ten rozdzielić na pojedyńcze gatunki ziarna. W obu jednak wydawnictwach, które mamy pod ręką brak do tego odpowiednich danych. Tablice Ministeryum Finansów podają tylko podział transportów zbożowych z gubernii czarnoziemnych na wewnętrzne i wywozowe i to tylko za rok 1894. Dane Zjazdu w obliczeniu transportów wysłanych do różnych portów i komór lądowych podają następujące cyfry ogólne:

Wysłano z gubernii	do portów morza Baltyckiego	Komory lądowe	Razem
Warszawskiéj	230	62	292
Kieleckiéj	—	118	118
Łomżyńskiéj	75	14	89
Lubelskiéj	278	598	876
Piotrkowskiéj	228	179	407
Płockiéj	261	221	482
Radomsiéj	—	107	107
Suwalskiéj	188	186	374
Siedleckiéj	—	99	99
Razem	1,260	1,584	2,844

Dane szczegółowe guberniami nie zgadzają się z témi ogólnemi cyframi. W wykazie zaś ogólnym transportów zbożowych wysłanych z Królestwa znajdujemy, że z ogólnéj ilości wysłanego ziarna wysłano:

w komunikacyi wewnętrznéj	4,823	tys. pudów
w komunikacyi zagranicznéj	1,635	„ „

Wnioskować zatém wolno, że w ogóle z Królestwa wysłano za granicę drogami żelaznemi 2,844 tys. pudów, z czego 1,635 tys. p.

ziarna a 1,209 tys. p. przetworów młynarstwa i nasion oleistych, przyczém zastrzédz musimy że w ilościach tych niema wywozu zboża za granicę wodą i przez komory lądowe nie leżące na stacyach dróg żelaznych, nie ma zatém ani jednego puda ziarna, wywiezionego do Prus z gub. Kaliskiéj, która jednak jak wiadomo zboże do Prus wywozi.

VII.

Z zestawienia danych o ilościach przewozów zbożowych, które każda z gubernii Królestwa Polskiego wysłała w obrębie własnym, tych które wysłała po za granice swoje i tych które z po za granic swoich otrzymała, otrzymujemy następującą tablicę, która obok znaczenia Królestwa, jako producenta zboża, objaśnia nam jeszcze jego znaczenie jako spożywcy zboża.

Gubernie:	Wysłano w granicach gubernii	Wysłano po-za granice gubernii	Otrzymano z innych gubernii	Suma ilości wysłanych 1 + 2	Suma ilości otrzym. 1 + 3
	w	t y s i ą	c a c h	p u d ó	w:
Warszawska	1,761	1,586	15,209	3,347	16,970
Kielecka	105	475	712	580	817
Łomżyńska	11	241	1,134	252	1,145
Lubelska	330	2,370	1,097	2,700	1,427
Piotrkowska	776	346	11,758	1,122	12,534
Płocka	29	984	243	1,013	272
Radomska	212	990	688	1,202	900
Suwalska	57	613	127	670	184
Siedlecka	32	1,031	601	1,063	633
Razem	3,313	7,636	31,569	10,949	34,882

Cyfra ilości wysłanych przez gubernie Królestwa Polskiego nie zgadza się tu z cyfrą wykazów ogólnych Zjazdu, w których przewozy wysłane z Królestwa obliczono na 13,681 tys. p.

Wydawnictwo Ministeryum Finansów obejmuje dane o ilościach transportów zbożowych tylko dla 7 gubernii (bez Kaliskiéj, Kieleckiéj i Siedleckiéj). Według tych danych gubernie Królestwa Polskiego otrzymały transportów zbożowych w 1895 r.:

Warszawska	(Zjazd 16,970)	(M. F.) 16,716
Łomżyńska	1,145	1,064
Lubelska	1,427	1,054
Piotrkowska	12,534	13,280
Płocka	272	922

Radomska	900	884
Suwalska	184	729
Razem	33,432	34,649
dodając do tego przewozy otrzymane przez gubernie Kielecką i Siedlecką według danych Zjazdu	1,450	1,450
otrzymamy sumę przewozów otrzymanych przez gubernie Królestwa Polskiego w przybliżeniu	(34,882)	36,099

35 do 36 milionów pudów, która stanowi 5 do 5,15 % ogólnych przewozów zbożowych w całém Państwie za rok 1895 (702,032,000).

Według danych Min. Finansów średnie odległości, średnie opłaty za transport 1 puda i średnie stawki transportowe dla tych przewozów, otrzymanych przez gubernie Królestwa Polskiego były następujące:

	Średnia odległość wiorst	Średnia opłata za 1 pud kopiejek	Średnia stawka taryfowa kopiejek
dla transportów przybyłych			
do gub. Piotrkowskiéj	1,079	18.35	$^1/_{59}$
Warszawskiéj	1,056	17.94	$^1/_{59}$
Łomżyńskiéj	775	15.40	$^1/_{50}$
Suwalskiéj	729	13.66	$^1/_{53}$
Płockiéj	653	12.91	$^1/_{51}$
Lubelskiéj	523	11.24	$^1/_{51}$
Radomskiéj	428	9.21	$^1/_{46}$

Z ogólnéj ilości produktów zbożowych otrzymanych przez Królestwo—35,000,044 pudów 86%, t. j. 30,000,000 p. przypada na dwie tylko gubernie przemysłowe: Warszawską i Piotrkowską, w dalszym téż rozbiorze naszych danych ograniczymy się już tylko do tych dwóch, jako miarodajnych, gubernii. Gubernie te otrzymały z odległości:

	Warszawska Ilości w tys. p.	%	Piotrkowska Ilości w tys. p.	%	% średni w całém państwie dla ruchu wewnętrz.
0 – 500	3,747	23	2,824	21	30.7
500—1,000	2,520	15	1,834	14	15.5
1,000—1,500	7,024	42	5,933	45	36.3
1,500—2,000	2,521	15	2,531	19	13.7
2,000—2,500	687	4	125	1	3.3
2,500—i wyżéj	217	1	33	—	0.5
	16,716		13,280		

Dane te przekonywują, że w zaopatrzeniu rynków warszawskiego i piotrkowskiego, okolice najbliższe tych rynków przyjmują udział mniejszy niż np. gub. centralne w zaopatrzeniu rynku zbożowego mo-

skiewskiego; że gubernie oddalone o 1,000 do 2,000 wiorst dostarczają na te 2 rynki 57 do 64 % ogólnéj ilości spożywanego zboża, kiedy na inne rynki państwa okręgi oddalone o 1,000 — 2,000 wiorst dostarczają tylko 50 % ogólnego spożycia. Fakt ten potwierdzają dane odnoszące się do pojedyńczych ważniejszych miast zawarte w wykazach Ministeryum Finansów. Tutaj, dla porównania zaznaczymy tylko, że średnie odległości przewozu, średnie opłaty i średnie stawki taryfowe wynoszą dla transportów otrzymanych przez gubernie przemysłowe centralne:

Moskiewską	471	wiorst	10.03	kop.	za pud	1/49	z puda	i	wiorsty
Władimirską	432	„	9.24	„	„	1/47	„		„
Kałuską	462	„	10.96	„	„	1/42	„		„
Kostromską	534	„	90.3	„	„	1/59	„		„
Warszawska	1,056	„	17.94	„	„	1/59	„		„
Piotrkowska	1,079	„	18.35	„	„	1/59	„		„

Porównanie to témbardziéj zwraca uwagę, że, jak to podaliśmy poprzednio, gubernie przemysłowe środkowe uprawiają tylko 14% swéj przestrzeni i 0.40 dziesiatiny na głowę ludności, zaś Królestwo Polskie uprawia 30% przestrzeni ogólnéj i 0.43 dzies. na głowę ludności, że okręg przemysłowy ma stały niedobór ziarna, wynoszący 45 — 62 milionów pudów ziarna, a Królestwo Polskie ma nadmiar ziarna, który wynosił w 1895 roku 2.5 milionów, a w r. 1893 prawie 18 milionów pudów.

Według wykazów ministeryum finansów, obejmujących 131 najważniejszych rynków wewnętrznych, na które w r. 1895 drogi żelazne dowiozły 219.5 mil. pudów dostarczono:

	na wszystkie 131 punktów		do Moskwy	
z odległości	ilości absolutne w tys. pudów	%	ilości absolutne w tys. pudów	%
0 — 500	141,963	65	24,119	68
500 — 1,000	40,887	19	9,110	26
1,000 — 1,500	27,827	13	2,077	6
1,500 — 2,000	7,053	3	191	—
2,000 — 2,500	1,653	—	—	—
2,500 i wyżéj	104	—	—	--
	219,487		35,497	

Do Warszawy zaś i do Łodzi przybyło w roku 1895-ym z odległości:

	Warszawa		Łódź		Procent	
	ilości	%	ilości	%	Ogólny	Moskwy
0 — 500	2,594	25	1,354	34	65	68
500 — 1,000	1,889	18	631	15	19	26
1,000 — 1,500	4,808	48	1,720	44	13	6
1,500 — 2,000	823	8	192	4	3	—
2,000 — 2,500	183	1	3	1	—	—
2,500 i wyżéj	64	—	5	2	—	—
	10,361		3,905			

Z odległości zatém od 1,000 — 2,000 wiorst przybywa na ogół rynków zbożowych 16%, do Moskwy 6%, do Warszawy 56%, a do Łodzi 48% ogółu dostaw. Różnice są zbyt wyraźne, abyśmy do nich dodawali komentarze.

Średnie odległości przewozu, średnie opłaty i średnie stawki taryfowe zestawiamy poniżéj:

	wiorst	kop. za pud	z puda i wiorsty
wszystkie 131 rynków	492	10.33	$^1/_{48}$
Moskwa	460	10.91	$^1/_{42}$
Warszawa	930	16.53	$^1/_{56}$
Łódź	846	15.29	$^1/_{55}$

z pozostałych rynków Królestwa przytoczymy jeszcze:

Dąbrowa	884	15.68	$^1/_{56}$
Częstochowa	913	16.40	$^1/_{55}$

Dąbrowa otrzymała z odległości 1,000 — 2,000 wiorst 55%, Częstochowa 57% swoich dostaw zbożowych.

Na zakończenie podajemy szczegółowy wykaz transportów zbożowych, otrzymanych przez gubernię Warszawską i Piotrkowską z różnych okręgów państwa i z podziałem ogółu przewozów na różne ich gatunki.

Gubernia Piotrkowska otrzymała:

Z okręgu	W ziarnie: Żyta	Pszenicy	Owsa	Jęczmienia	W ogóle ziarna	Mąki	Odpadków	Nasion oleistych	Razem
Centralnego	520	7	1,569	—	2,133	114	763	19	3,029
Połud.-zachodn.	649	463	85	60	1,411	842	312	80	2,645
Małoruskiego	378	57	129	1	739	357	543	48	1,687
Połud.-stepowego	138	15	4	31	236	333	531	6	1,106
z g. Saratowskiéj	482	—	7	—	493	2	117	1	613
Central.-przemysł.	—	--	—	—	—	—	208	—	208

Białoruskiego	—	—	—	—	—	—	164	1	165
Kaukazu	—	—	—	—	—	—	16	—	16
z gub. Samarskiéj	2	—	2	—	5	—	—	—	5
Litwy	2	—	—	—	23	—	15	—	43
	2,171	542	1,796	92	5,040	1,653	2,669	155	9,517
przewozy wewnątrz gubernii	86	38	17	71	217	377	168	14	776
z innych gubernii Królestwa Polsk.	219	219	290	129	939	1,069	162	71	2,241
Razem	2,476	799	2,103	292	6,196	3,099	2,999	240	12,534

Gubernia Warszawska otrzymała:

Z okręgu	Zboża w ziarnie: Żyta	Pszenicy	Owsa	Jęczmienia	W ogóle ziarna	Mąki	Otrąb, makuch, plew, etc.	Nasion oleistych	Razem
Centralnego	490	5	2,609	—	3,132	155	1,265	7	4,579
Połud.-zachodn.	90	108	74	50	386	893	815	54	2,148
Noworosyjskiego	22	8	1	17	57	1,377	677	5	2,116
Małoruskiego	47	34	420	7	559	313	732	21	1,625
Nadwołż. średn.	479	—	45	1	527	17	723	4	1,271
„ dolnego	73	—	6	—	80	101	177	—	358
Przemysłowego	3	—	—	—	3	112	175	—	290
Białoruskiego	—	—	52	—	58	11	135	—	204
Kaukaz	—	—	—	—	—	—	87	—	87
Litwa	—	—	—	—	13	—	70	3	86
Przyuralski	—	—	—	—	—	70	—	—	70
Razem	1,204	155	3,209	75	4,815	3,048	4,856	94	12,833
z gubernii warszawskiéj	167	117	182	148	731	302	699	29	1,761
z innych gubernii Królestwa Polsk.	602	266	162	225	1,329	678	323	46	2,376
Razem	1,973	538	3,553	448	6,875	4,028	5,878	169	16,970

Cyfry te dowodzą: że z dostawionych na te rynki drogami żelaznemi ziarna, mąki i otrąb przypada w procentach:

z dostawionych do gub. Piotrkowskiéj:

	ziarna	mąki	otrąb	razem
na Królestwo Polskie	19	47	11	24
na inne okręgi państwa	81	53	89	76

z dostawionych do gub. Warszawskiéj:

	ziarna	mąki	otrąb	ogółem
z Królestwa Polskiego	30	24	17	24
z innych okręgów państwa	70	76	83	76

Prócz niezwykle małego procentu, jaki wyraża udział Królestwa w zaopatrywaniu drogami żelaznemi obu tych gubernii w ogólnéj sumie dostaw kolejowych, zadziwiającym jest stosunek otrąb, których 8.5 miliona pudów dostarczono z Cesarstwa do Królestwa ze wszystkich prawie okręgów. Odpadki te wytrzymały koszt przewozu równie wysoki, jak mąka i pszenica, dzięki tylko niesłychanemu obniżeniu ich ceny na miejscach przemiału, wywołanemu nienaturalnym stosunkiem taryf zbożowych do taryf mącznych, zrównaniu stawek przewozowych na materyał surowy i pół-produkt, jakim jest mąka.

VIII.

Reforma taryf zbożowych w r. 1893 miała na celu zabezpieczenie interesów rolnictwa środkowego czarnoziemnego okręgu przez zapewnienie mu zbytu ziarna na rynkach środkowych, przemysłowych gubernii; jako środek do tego celu posłużyć miały: rozdzielenie na krótkich (do 320 wiorst) odległościach taryf wywozowych od taryf wewnętrznych i obniżenie tych ostatnich. Po trzech latach możemy już dziś ocenić skutki téj reformy, zestawiając dane dotyczące przewozów wewnętrznych na różne odległości do ważniejszych miast w państwie w ciągu lat ostatnich. Było tych przewozów z odległości:

	w r. 1890		w r. 1893		w r. 1895	
	wagonów	%	tys. pudów	%	tys. pudów	%
0 — 400	168.434	68	113,420	62.5	127,396	58
400 — 1,000	60,056	24.2	47,370	26.1	55,454	26
1,000 — 1,500	17,453	7	17,029	9.3	27,827	13
1,500 — 2,000	1,309	0.6	2,992	1.7	7,053	3
2,000 i wyżéj	449	0.2	626	0.4	1,757	—
	247,701		181,437		219,487	

Jak widzimy z tych cyfr, udział okręgów najbliższych w dostawach kolejami na rynki wewnętrzne coraz się zmniejsza; z 68% w roku 1890 spada on w r. 1893 do 62.5, a po reformie r. 1893, w r. 1895 obniża się jeszcze do 58%.

Jeśli zestawimy cyfry, dotyczące rynku moskiewskiego, za te same lata, to wyrażą się one w następującéj tablicy:

dostawiono do Moskwy (w tysiącach pudów):

	w r. 1890		w r. 1893		w r. 1895	
z odległości	ilości	%	ilości	%	ilości	%
0 — 400	36,401	68.1	14,309	46.4	18,675	52.7
400 — 1,000	16,335	30.5	15.328	49.4	14,554	41.

1,000 — 1,500	719	1.3	1,170	3.8	2,077	5.8
1,500 — 2,000	37	0.1	217	0.7	191	0.5
2,000 i wyżéj	—	—	6	—	—	—
	53,572		31,030		35,497	

Jak widzimy, reforma odniosła pewien skutek: dostawy z odległości do 400 wiorst, zwiększały się o 6.3% kosztem dostaw od 400—1,)00 wiorst, które zmniejszyły się o 8.4%, z czego pewna jeszcze część poszła na korzyść dostaw z odległości 1,000 do 1,500 wiorst (2%). Mimo to jednak, okrąg centralny w porównaniu z rokiem 1890-ym stracił 16% dostaw kolejowych zboża do rynku moskiewskiego, tak, że w porównaniu z r. 1890 sytuacya rolników okręgu centralnego na rynku moskiewskim uległa silnemu pogorszeniu.

Poniżéj podajemy tablice takich samych zestawień dla Warszawy i Łodzi:

do Warszawy dostawiono (w tysiącach pudów):

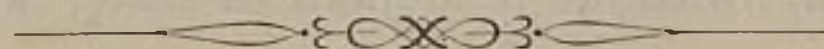
	w r. 1890		w r. 1893		w r. 1895	
z odległości wiorst	ilości	%	ilości	%	ilości	%
0 — 400	4,043	31.5	4,331	50.9	2,553	24
400 — 1,000	3,443	26.8	1,778	20.9	1,930	19
1,000 — 1,500	5,031	39.1	2,332	27.4	4,808	48
1,500 — 2,000	139	1.1	57	0.7	823	8
2,000 i wyżéj	193	1.5	7	0.1	247	1
	12,849		8,505		10,361	

do Łodzi dostawiono (w tysiącach pudów):

	w r. 1890		w r. 1893		w r. 1895	
z odległości	ilości	%	ilości	%	ilości	%
0 — 400	1,188	36.3	1,067	60.5	1,344	34
400 — 1,000	690	21.1	221	12.5	641	15
1,000 — 1,500	1,310	40	470	26.6	1,720	44
1,500 — 2,000	80	2.5	6	0.4	192	4
2,000 i wyżéj	3	0.1	1	—	8	3
	3,271		1,765		3,905	

Na rynkach zatém naszych, reforma miała wpływ stanowczo niekorzystny dla miejscowego producenta: zmniejszyła ona ilości dostawiane z odległości 0—400 wiorst do Warszawy z 50.9% na 24; do Łodzi z 60.5% do 34; powiększyła zaś ilości z odległości 1,000 — 1,500 wiorst dostawiane kolejami do Warszawy z 27 na 48%, do Łodzi z 26.6 na 44%.

St. Piotrowski.



IRONIE ŻYCIA.

Nowele z Albionu.

I. Czterolistna koniczyna.

I.

Ubiegał trzeci miesiąc od czasu, gdy Miss Kate Frampton przybyła do Londynu w celu wystarania się o posadę nauczycielki, a mimo skromne wymagania i pochlebne świadectwo wyniesione z domu pastora, którego dwie córeczki przysposobiła na pensyą, ubiegał na bezowocnych zabiegach i płonnych oczekiwaniach. Nie sprzyjało jéj szczęście i zewsząd piętrzyły się zapory. Coraz więcéj napływało wychowawczyń z kraju i zagranicy, coraz więcéj życiowych rozbitków stukało do wrót stanu nauczycielskiego, często osób niepowołanych, odpowiednio nieuzdolnionych, a żądania chlebodawców wzrastały niezmiernie. Zwłaszcza ludzie z przeciętném wykształceniem, stojący zdala od ruchu umysłowego, w których płytkiém pojęciu wiedzę znajduje się mimochodem na miejskim bruku i da się przeszczepić równie łatwo jak latorośl, wymagali od nauczycielki posiadania wszelkiéj możliwéj i niemożliwéj do zdobycia wiedzy, poczytując samych siebie za wszechwiedzących i nieomylnych, aczkolwiek w gruncie rzeczy nie cenili wykształcenia, uważając je niejako za szatę, którą obyczaj każe

przywdziewać niekiedy od święta, spoglądając na ludzi, życie nauce poświęcających, z odcieniem współlitościwéj pobłażliwości czy pogardliwéj obojętności, jakby na nieszkodliwych szaleńców. Bo ogół nie zdawał sobie sprawy z doniosłości wiedzy, widział w niéj jedynie środek do zarobkowania, a postawa, pełna szacunku, jaką zdał się wobec niéj przybierać, po ściślejszém zbadaniu okazywała się afektacyą, pozorem, konwencyonalném kłamstwem.

Nadzieje młodéj guwernantki nie przekraczały granic prawdopodobieństwa; wejść w grono światłych osób, gdzie nie traktowano-by jéj na równi ze służbą i nie wynagradzano znacznie gorzéj od stangreta lub lokaja, było jedyném jéj marzeniem. Ale i te pragnienia wydały jéj się teraz wygórowane; zastanawiała się przeto, czy nie było-by korzystniéj przy nastręczającéj się sposobności odpłynąć na południe Afryki, téj młodéj kwitnącéj ziemi, mlekiem i miodem płynącéj, gdzie praca obfite przynosiła plony i gdzie nie trudno było o męża.

W czasie swego pobytu w mieście, mieszkając pod dachem *home*'u dla guwernantek, Kate nasłuchała się wykładów o wyższych celach i zadaniu kobiéty w społeczeństwie. Swada rej wodzącéj nauczycielki wzbudzała jéj podziw, erudycya zaś nakazywała uchylić czoła i Kate wywodom „nowéj kobiéty" przyznawala słuszność; w cichości serca jednak nasuwały się jéj poważne wątpliwości: czy natura przeznaczyła ją na kobietę wyższą. Teorye bowiem nie zabarwiały jéj myśli, poglądów na ludzi nie normowała według właściwości przypisywanych z góry ich płci, wojownicze zakusy i zaborcze hasła nie odpowiadały jéj pokojowemu usposobieniu; wierzyła, iż ewolucya społeczna naturalnym biegiem rzeczy stworzy korzystniejsze warunki bytu dla kobiet. Przedewszystkiém zaś nie umiała wcale wznieść się do wyżyn lekceważenia i pogardy rodzaju męskiego. Towarzystwo mężczyzn przenosiła nad ożywione zebrania niewiast, nad najweselsze *tea-fights* [1]), a na widok kobiét otoczonych dziatwą zakradała się do jéj serca niepohamowana zazdrość. Utożsamiając się z szczęśliwą matką, nadawała swym dzieciom ładnie brzmiące imiona, przyodziewała je w piękne ubiorki, a teorye i hasła pierzchały w oka mgnieniu, jak senne mary w blaskach jasnego słońca. Stanowczo właściwém jéj powołaniem było poprostu wyjść za mąż i wychowywać własne dzieci.

Dlaczegóż wszakże nie miałby los zawieść jéj do ołtarza? Posag nie odgrywał prawie żadnéj roli, w razie potrzeby była zdolną praco-

---

[1]) „Potyczkami herbacianemi" nazywają się zebrania mieszczanek w popołudniowych godzinach, które mają tę samą reputacyę, co *Kaffeeklatsch* w Niemczech.

wać, powtóre liczyła dopiéro dwadzieścia pięć wiosen, posiadała dobry układ, zgrabną postawę, doskonałą figurę, płeć świéżą bez skazy, ładne ciemno-blond włosy i niezamąconą pogodę umysłu, która przychylnie uprzedza i ujmuje ludzi, jakby rozsiewając wokoło balsamiczną woń zdrowych ziół.

Niestety, rzadko widywała młodych mężczyzn. W domu pastora widywała wprawdzie dwóch wikarych, ale jeden z nich był zaręczony, drugi *curate* zaś wcale nieponętny i tak nieśmiały, że w obecności pani pastorowéj nie ośmielał się podnosić oczu na Kate. Jednakże nie zbywało jéj na wymownym dowodzie, że może się podobać, dowodzie, który pozbawił ją korzystnego stanowiska w początkach zawodu nauczycielskiego. Gdy objęła obowiązki w zamożnéj familii na wsi, pan domu, przystojny *squire*, począł spotykać ją sam na sam w ogrodzie daleko częściéj, aniżeli podobało się to jego żonie i guwernatce saméj.

Na wspomnienie to, zadowolenie opromieniało Kate, cicha nadzieja budziła się w sercu i w ślad za nią wynurzał się zamiar wyjazdu do obiecanéj ziemi afrykańskiéj, która nabierała tém większego uroku przez to, że brat jéj przebywał tamże od lat kilku. Łączył ją bowiem z bratem serdeczny węzeł. Phil nie zapominał o niéj, przesłał jéj nawet na urodziny datek pieniężny, ale w tym roku upłynęły dwa tygodnie od dnia jéj urodzin bez wieści od niego. Kate niepokoiła się o brata, na domiar liczyła właśnie na pomoc z jego strony, gdyż wspaniałe magazyny londyńskie, wystawiając ją nieustannie na pokuszenie, uszczupliły znacznie jéj oszczędności.

Wszystkie nadzieje ją zawodziły...

Z cieniem zamyślenia w oczach i poczuciem osamotnienia w piersi, siedząc na ławce w „ogrodach kensyngtońskich”, kreśliła machinalnie końcem parasolki zygzaki i arabeski na żółtym żwirze.

Wyniosłe kasztany szumiały na jesienną nutę i pusto było wokoło, bo ołowiane niebo i niezwykle chłodny dzień kwietniowy odstraszały od parku.

Naraz pojawił się przed nią duży, czarny pies z żółtémi kończynami i przybliżył się, patrząc w jéj oczy poczciwie. Położyła rękę na miękkim, jedwabistym jego łbie, pies zaś, przyjmując kares łaskawie, wsparł łapy na jéj kolanach, wyciągając pysk ku różowym jéj licom i wachlując puszystym ogonem na znak radości. Zajęta przygodnym przyjacielem, nie spostrzegła mężczyzny stojącego opodal, za krzewami bzów, nad sadzawką przecinającą podłużną błękitną plamą zielone kobierce trawników i z rzadka rozsypane po nich drzew szlaki.

I dżentelman bodaj nie zauważył młodéj kobiéty, bo wodził okiem po „Serpentynie”, po pływających z powagą łabędziach, które przywo-

dziły mu na pamięć szeregi mieszczanek, prezentujących swe odświętne stroje po niedzielném nabożeństwie w alei parkowéj. Niebawem wszakże—zoczywszy może ukradkiem, iż pies pochłaniał uwagę młodéj kobiéty — odwrócił się i objął jéj postać ciekawém spojrzeniem. Wreszcie podszedł ku ławce.

Gdy żwir zaskrzypiał i wysoka sylwetka ukazała się na chodniku, ręce nauczycielki zsunęły się z grzbietu psa, a gdy dżentelman zajął miejsce na drugim końcu ławki, stanęła w ogniu.

Tymczasem rozochocony pies począł biegać szalonym pędem wokoło ławki, warcząc radośnie i zawadzając raz po raz o jéj nogi, jakby wzywając w ten sposób do gonitwy.

— Niech pani wybaczy poufałość... ze strony mego psa, który nie krępuje się konwenansami, idąc ślepo za głosem instynktu, zdradzającego mu w pani przyjaciółkę—ozwał się dżentelman zwolna, niby od niechcenia...

Zapłoniona Kate chciała coś odrzec, ale zapomniała zażenowana, co miała na ustach, i pochyliła głowę.

— Niezwykle zimny kwiecień — zauważył po długiéj pauzie nieznajomy, jakby powierzając tajemnicę.

Pomimo chłodnego powietrza rozpiął palto i ważąc w myśli słowa, szarpał złoty łańcuszek od zegarka i wiszące przy nim breloki.

Wiedziona ciekawością a onieśmielona Kate zerknęła nań z boku; czując na sobie jego wejrzenie, miała ochotę oddalić się, jednakże nogi odmówiły jéj posłuszeństwa. Dżentelman, niezrażony milczeniem rzekł:

— Uprzejmość, jaką pani okazuje memu psu, wzbudza we mnie nadzieję, że nie weźmie pani mi za złe, jeśli się przedstawię. Jestem ..

Nareszcie Kate śmiało uniosła głowę, zmierzyła go okiem i przerwała głosem, w którym przebijało oburzenie:

— Myli się pan; nie zwykłam zawierać znajomości na spacerze...

Zanim powstała, nieznajomy uprzedził ją.

— Przepraszam stokrotnie, nie chciałem pani uchybić. Niechaj pani nie odchodzi i wybaczy mą śmiałość. Bardzo żałuję...

To rzekłszy, uchylił kapelusz i odszedł.

Wzburzona Kate padła na siedzenie, oddychając w przyspieszoném tętnie. Na jéj twarzy malował się gniéw, który wszakże, w miarę jak nieznajomy oddalał się, topniał, ustępując miejsca zdziwieniu i ciekawości. Nie mogła się powstrzymać od przesłania długiego spojrzenia „bezczelnemu natrętowi.”

Impertynent z wytartém czołem,—myślała—lubo nie pozbawiony poloru towarzyskiego. Jak on śmiał ją zagadnąć!.. Było trochę winy

po jéj stronie, bo czemu bawiła się z jego psem? Chciał się przedstawić, przepraszał, widocznie wpadła mu w oko, ale... nie wypadało w publicznym ogrodzie. Nie zupełnie młody, z pewnością wdowiec, lecz rzeczywiście przystojny, wysoki, z miłym wyrazem twarzy, być może wojskowy... Niezawodnie czuł się teraz zawstydzony niestosownéni, gminném zachowaniem. Musiała mu się bardzo spodobać, jeżeli się zapomniał... tak dobrze wychowany człowiek... No, dała mu przecież nauczkę...

Gdy dżentelman znikł na skręcie, ochłonęła z gniewu, będąc z natury popędliwą trochę, ale skłonną uniewinniać i przebaczać. Oblicze jéj rozchmurzyło się, uśmiéch zaigrał wokoło mięsistych warg, bo trzymała się zwykle jasnéj strony życia, potém jednak zakradł się do jéj serca cień nieokreślonego żalu, chociaż gdyby drugi raz przytrafił jéj się podobny wypadek, nie postąpiłaby sobie inaczéj.

Szkoda, że nie nastręczyła się sposobność w towarzystwie do zawarcia z nim znajomości! Nie miała szczęścia...

W téj chwili łysnęło przed jéj oczyma świecidełko i tuż przed ławką, gdzie zajmował miejsce nieznajomy, ujrzała pomiędzy kamyczkami okrągłe szkiełko, objętości szylinga, ujęte w złotą obrączkę, na którém igrał i palił się promień słoneczny.

Między dwoma szklanemi krążkami mieścił się maleńki, zielony listek koniczyny, *a lucky shamrock* [1]).

Naturalnie „on" był właścicielem czterolistnéj koniczyny; targając łańcuszek od zégarka, niepostrzeżenie zerwał brelok i zgubił... szczęście. Gdyby zamiast tego zgubił serce?!...

Westchnęła i schowała do kieszeni amulet, mając niewytłómaczone, ale nieprzeparte przeczucie, iż przyniesie jéj szczęście.

I w rzeczy saméj, zastała w domu dobre wieści i upominek od brata, oraz list z ajencyi stręczeń, a w tydzień późniéj wyjechała o kilkanaście mil od Londynu na miejsce swego przeznaczenia, do domu wzbogaconego ogrodnika.

Ot, wszystko to sprawiła ta czterolistna koniczyna!

II.

Nad zapomnianą dróżyną, która wije się wśród ogródkowych pól, obramowanych żywopłotami, osiadły na wzgórzu dwa nizkie domostwa.

---

[1]) *Shamrock*, gatunek koniczyny, rosnącéj dziko w Irlandyi, jest małych rozmiarów i nie rozkwita. Służy za godło narodowe na cześć patrona Zielonéj wyspy, św. Patrycyusza, i stał się dość popularnym amuletem, nawet po za granicami Irlandyi.

Potężne klony i potulne bzy chroniły przed wiatrami boki milczącéj karczmy, która ponure oblicze zwracała ku wiejskiéj przestrzeni, gdzie się rozsiadły fermy, zaznaczone na zielonéj płaszczyznie ciemnemi grupami drzew. Raz na dzień tylko domostwo budziło się ze snu, gdy z targu wracające wozy ogrodników zapełniły niewielki dziedziniec. Zresztą wstępował tu czasem robotnik z pola lub przystawał woźnica, by napoić konie i wypalić fajkę przy kieliszku. Zwykle oberża spoczywała pogrążona w posępném zamyśleniu.

Natomiast opodal stojący domek, schludny i świąteczny, wesoło spozierał przed siebie, mimo, że bluszczowe węże, czołgające się w górę, przysłaniały część śnieżnych ścian. Uwagę rzadkich przechodniów musiały zwrócić również klomby jaskrawych tulipanów na frontowym trawniku. A ponieważ z po za domku ukazywały się rzędy szklanych cieplarni, zbytecznie było odczytywać złocisty napis, który zakréślał półkole ponad wejściem do wązkiego przedsionka i oznajmiał, że mieszka tu ogrodnik, Mr. Adams.

W to wiejskie zacisze los zawiódł młodą nauczycielkę, a nie miała ona powodu skarżyć się na *shamrock*, znalazłszy wbrew oczekiwaniu względnych i dobrych chlebodawców, prostoduszne istoty i niemal rodzicielskie serca. Państwo Adams, nie powołani do kierowania naukami córek, nie narzucali jéj wskazówek i pokładali w niéj nieograniczoną ufność, że obowiązki swe spełni według możności jaknajlepiéj, tak jak oni pełnili je w zakresie swéj działalności. Ogrodnik, który przebywał w bawialnym pokoju jedynie w święta i, wierny przyzwyczajeniu, jadał w kuchni, okazywał jéj głęboki szacunek, objawiający się mianowicie w tém, że w obecności miss Frampton nie zdejmował surduta i nie zapominał myć rąk przed wspólną wieczerzą. A gdy Kate zagrała popularne piosenki na odstrojonym fortepianie, poczciwi państwo Adams nie mogli dość nacieszyć się muzyką i wyjść z podziwu nad jéj talentem, poczytując sobie za zaszczyt, że tak wysoce edukowana osoba zagościła pod ich strzechą. Gdy ich córki, w których oczach Kate wyrosła odrazu na wyrocznię, wzór mód i naczynie wszechdoskonałości, poczęły robić postępy w grze na fortepianie i wygrywać dżiga, Mr. Adams nie posiadał się z radości i nie przestawał rozpowiadać o tém w sąsiedniéj gospodzie. A zatém dobrze było guwernantce w tym *home*'ie.

Lecz czasami niesforne myśli wykradały się z ciasnego obrębu zajęć, porzucały senne ustronie i biegły w wir miejskiego życia. W braku stosownego towarzystwa, chętnie dawała się im porwać i unosić; pusta droga i ciche pokoje zaludniały się wonczas znanemi osobami, a pomiędzy niemi pojawiał się ów nieznajomy właściciel amuletu.

Przydybała się kilkakrotnie na rozpamiętywaniu sceny w parku i wpatrywała się w amulet z zapytaniem, czy nie przyniesie jéj on nic więcéj.

Spływały na nią ożywcze promienie nadziei, a ona poddawała się im z lubością, nie rozpraszając zrazu ciepła podmuchem chłodnego rozsądku, gdy o zachodzie słońca spoczywała w biegunowém krześle przed domem, z gazetą, która zsunęła się na trawę. Drzewa i zieleń przypominały jéj żywo ogrody kensyngtońskie, widok nabrał nowego uroku i przymknęła oczy, zanurzając się w tym obłoku nadziei, niejasnéj, nieskrystalizowanéj w myśl, ale dlatego może tém milszéj. W tym nastroju umysłowym, czując się w zupełnéj harmonii z otoczeniem, nie pojmowała, jak zamiar wyjazdu mógł znaléść do niéj przystęp. Porzucić kraj—znaczyłoby pożegnać się z nadzieją, przykuwającą ją do miejsca, a najrozrzutniejsi nawet i lekkomyślni ludzie z przykrością biorą rozbrat z nadziejami.

Lecz czyliż trywialne zdarzenie w parku mogło wpłynąć na koleje jéj życia? Czyż ów amulet mógł zbliżyć dwoje nieznajomych sobie osób, rozdzielonych przez nieodgadnione przestrzenie, rzuconych w odmęt nieprzeliczonych istot, w inne światy?... Co za szaleństwo oddawać się tak bezpodstawnym nadziejom, wysnutym z życzeń!

Atoli pasmo życia ludzkiego jest utkane z błahych, trywialnych czynności i wydarzeń; nie ma takiéj drobnostki, która nie mogłaby zaważyć na szali losu. I gdyby wyśledzić zarodek faktów, które stają przed nami w formie dokonanéj, rozwikłać nić aż do kłębka, okazałoby się, że panna X. wyszła dobrze za mąż dzięki temu, iż pewnego dnia włożyła zgrabne buciki, arcybiskup Y. dlatego został mianowany arcybiskupem, iż z powodu niestrawności nie stawił się pewnego razu na *meeting* konsystorza, a skrzypek Z. zdobył europejską sławę wskutek tego, iż jego długie włosy zrobiły głębokie wrażenie na pewnéj hrabinie. Wszystko na świecie posiada wartość, jeśli jéj się dopatrzéć zdołamy, nawet taki mały listek koniczyny. A czy dla czarodziejskiego amuletu istniała trudność lub zapora?

Dlaczegoż jednak odepchnęła „go" szorstko od siebie? Przemawiał do niéj uprzejmie. Wskutek wygórowanego przestrzegania form towarzyskich ominęła sposobność, która może nie nastręczy się więcéj. Oby tylko życie jéj nie złożyło się na mozajkę z niepochwyconych sposobności. Dzisiejsi ludzie nie krępują się tak dalece konwenansami. Zresztą, jako dojrzała, pełna samowiedzy kobiéta, była przecież zdolna zaopiekować się sobą w każdym wypadku...

Nie, bądź co bądź, postąpiła sobie właściwie, bo jakie wyniósłby „on" mniemanie o niéj, gdyby, wiedząc co za nizkie zakusy kryją się

pod maską kurtuazyi, była wdała się z nim w rozmowę. Mężczyźni o wiele od kobiét konserwatywniejsi, ściśle przestrzegają form i pozorów, chociaż czasami wygodnie im zapiérać się tego. Jeżeli „on" teraz wspominał ją sobie, to tylko dlatego, że dała mu ostrą odprawę, postawiła się w korzystném świetle. Ale najpewniéj zapomniał o niéj...

Wieczorny wiatr powiał, konary klonów zaszemrały żałośnie, przynosząc od strony oberży podźwięki głosów. Po chwili koń zarżał i pasmo dumań samotnéj kobiéty przerwał jeździec, który, przesuwając się zwolna przed domkiem ogrodnika, przesłał jéj długie spojrzenie i widocznie się zawahał, czy nie ukłonić się.

Poprzednio już spotkała go Kate raz czy dwa razy, a uczenice jéj mówiły, że był dzierżawcą w sąsiednich dobrach bogatego lorda. Przez chwilę piękny, skarogniady wierzchowiec zwrócił jéj uwagę, poczém szybko podjęła gazetę, by zasłonić twarz przed pociskami inkwizytorskich oczu jeźdźca. Przeglądając kolumny ogłoszeń, któremi była wypełniona pierwsza stronica „Standardu", zatrzymała się przy ciekawym dziale inseratów „osobistych". Za pośrednictwem dziennika przesyłano sobie lakonicznie i tajemniczo zredagowane odezwy, ktoś inny wyznaczał nagrodę za odnalezienie bransoletki.

Kto wié, czy „on" nie poszukiwał tą drogą swego breloku! Wprawdzie przedmiot nie przedstawiał żadnéj wartości realnéj, ale może uważał go „on" za jedyny most wiodący do niéj... O, gdyby tak było w istocie, toż ten kochany *shamrock* byłby nieoszacowanym skarbem!

Uderzona tém przypuszczeniem, napisała natychmiast z prośbą o nadesłanie kilkunastu numerów dziennika, datowanych od dnia pamiętnego ich spotkania nad sadzawką.

I przeczucie nie omyliło. Zaledwie wierząc własnym oczom, odczytywała z wzrastającą uciechą ogłoszenie, w którém pan E. R. upraszał o zwrot breloku z *shamrock*'iem, zgubionego w połowie kwietnia w parku kensyngtońskim. Podawał adres jednego z pierwszorzędnych klubów londyńskich, nie ulegało przeto wątpliwości, że należał do najlepszego towarzystwa. I ten świetny dżentelman pragnął zawrzéć z nią znajomość, może nawet... O! czarodziejski, najdroższy listek koniczyny!

III.

Z zapachem siana i kwiatów wtargnęła nadzieja, żywych i żyjących dobra towarzyszka, do wnętrza domu, do serca młodéj kobiéty.

Dotąd przekradała się szparami nieśmiała, instynktowna, teraz wkroczyła jasna i dumna, bo otwarto jéj na rozcież podwoje.

Kilka dni, które dzieliły Katę od zapowiedzianych odwiedzin pana Edwina Rogers, minęły jéj w zaklętém kole z zielonych uwitém wieńców, w którego obrębie panowała słoneczna atmosfera. Owiana wonią nawpół ziszczonych marzeń, nie odważała się sięgać myślą daleko w przyszłość, uprzedzać wypadków ni radować się, lubo prąd radosny przenikał ją i upiększał.

Jeśli potém, co między nimi zaszło, życzył sobie poznać ją, a więc myślał o niéj na seryo.

Wydało jéj się czémś niepojętém, że pewnego dnia prócz korpulentnéj pani Adams, jéj córek w krótkich sukienkach i szarego kota, zasiadł do popołudniowéj herbaty wysoki, jasnowłosy dżentelman, zabłąkany w te skromne progi.

Każdy ruch, każde słowo zdradzało w nim pana z panów, o sportsmeńskich zamiłowaniach, z wrodzoném i wyhodowaném poczuciem swéj wartości i wyższości rasowéj, z jakiém Anglik spogląda z wysokości banku angielskiego na pięć części świata. Lubo nie pierwszéj młodości, pan Rogers, dobrze zbudowany, z twarzą czerstwą, o rysach śmiałych, wywierał bardzo korzystne wrażenie, które potęgowały miły wyraz twarzy, sympatyczne spojrzenie i wielkomiejska ogłada. Uśmiéch błądził po zarumienionych licach miss Frampton, gdy zniżywszy się do poziomu żony ogrodnika, przybysz wysypał na obrus cały, szczupły zasób swéj wiedzy botanicznéj, by podtrzymać rozmowę.

Jakoż przezacna pani Adams czuła się podbitą i zaraz po herbacie uznała za stosowne pozostawić nauczycielkę sam na sam z „jéj młodym człowiekiem", albo raczéj z „prawdziwym i skończonym dżentelmanem", który zamierzał się zaręczyć z guwernantką jéj córek. Nie mógł sobie postąpić rozsądniéj, sądziła, bo natura przeznaczyła miss Frampton na książęce salony. Niezaprzeczenie była to dzielna i smaczna dziewczyna, *a bonny girl.*

— Nie przypuszczałem, że uda mi się odnaléść... *shamrock.* List pani ucieszył mnie serdecznie—rzekł pan Rogers po wyjściu gospodyni, nie spuszczając oka z postaci dziewczyny, która w białym stroju zdała się świéżo rozkwitłą różową różą.

— Czy pan przywiązuje do niego wagę.

— Do amuletu? Poniekąd — odparł z nieznacznym uśmiechem i po namyśle dorzucił:

— Może wróci mi on spokój, który mnie opuścił odkąd straciłem go z oczu... Jak mam się pani odwdzięczyć za zwrot breloka? Proszę, niechaj pani rozkazuje.

Wzbraniała się, on nalegał.

— A więc proszę wzamian o inną czterolistną koniczynę—rzekła wreszcie.

— Czy pani istotnie sądzi, że to cacko przynosi szczęście?

Zawahał się, czy nie pozostawić w jéj rękach amuletu, z którym bodaj niechętnie się rozstawała, ale wreszcie włożył go do kieszeni, bo może on rzeczywiście zaskarbiał łaski swawolnéj Fortuny.

— Przyślę pani wszystką irlandzką koniczynę, chociaż pani posiada tyle innych cenniejszych talizmanów szczęścia... I cóż życzy sobie pani prócz tego?

Odparła wymijająco, onieśmielona jego pewnością siebie. Podobał jéj się, nie odstręczał jéj odcień szorstkości, czy brutalności, który zdał się wyzierać teraz z pod wielkopańskiéj powłoki, zwłaszcza że łagodziła go szczera męzka nuta, ale było coś w jego spojrzeniu, co ją raziło. Trzymała się przeto na wodzy jakby wobec niebezpieczeństwa, stąpała ostrożnie jakby wpośród zdradliwych zarośli. Gdy w toku rozmowy pan Rogers powstał, zrobiło jéj się ciemno przed oczyma i cofnęła się, bo wydało jéj się, że chce pochwycić ją w ramiona.

— Na tém pustkowiu czas upływać musi ślimaczym krokiem. Czy nie nuży panią codzienne udzielanie lekcyi?—mówił z pewną niecierpliwością.—Zapewne bywa pani często w Londynie?

— Nie byłam w mieście od czasu zajęcia méj posady.

— I nie wybiéra się pani za sprawunkami?

Miała poczucie, iż nie przystało wybiérać się do miasta.

— Szkoda — rzekł pan Rogers zwolna. — Pragnąłbym zobaczyć panią, uprzyjemnić jéj pobyt. Niechaj mi pani przyśle wieść do klubu o swym przyjeździe, uważając mnie za swego wuja, ale nie za starego.

Kate nie obiecywała.

— Niepodobna, abyśmy odepchnęli rękę przeznaczenia, które zbliżyło nas wyraźnie...

— Mam nadzieję, że wkrótce nas pan odwiedzi znowu.

— Z przyjemnością.

Zamyślił się i patrząc w spoważniałą twarz młodéj kobiéty, począł zniżonym głosem:

— Myślałem o pani bardzo często... Niedawno spędzałem dwa dni na rzece, bo sezon wioślarski rozpoczął się i Tamiza roi się od łodzi. Zatrzymaliśmy nasz *house-boat* niedaleko od Richmond'u, uderzeni widokiem prześlicznéj willi, będącéj do wynajęcia, skąd rozciąga się szeroka, wspaniała panorama na Tamizę i przyległe osady. Dom niewielki, ale wygodnie rozłożony, ogród tarasami zniża się ku brzegowi

rzeki, a po murach, okalających go, pną się dzikie róże i powoje. Cudowne to gniazdko, przytulne, usłane na łożysku kwiatów... Przyszło mi na myśl, coby pani o téj willi sądziła.

Kate rzuciła mu szybkie spojrzenie i łzy zakręciły się jéj w oczach.

— Dlaczego mi pan to mówi?... Jak pan śmié! Uważałam pana za dżentelmana...

Zapanowało przykre milczenie.

Pan Rogers przygryzł wargę i gładził dłonią włosy. Ugodzony w czułą strunę, uznał się pokonanym, rozbrojonym. Wprawdzie wyrażenie: „uważałam pana za dżentelmana" słyszał kiedyś poprzednio, lecz odczuwał, że w tym wypadku nie było frazesem.

— Wybacz mi pani — ozwał się łagodnym tonem. Zachowałem się niewłaściwie, wyznaję. Cóż mogę powiedziéć na me usprawiedliwienie więcéj nad to, że serdecznie żałuję?.. Posłuchaj pani słów kilku, prosto z mostu, bez osłony: oczarowała mnie pani. Dość spojrzéć na nią, by mnie zrozumiéć i poniekąd może uniewinnić. Straciłem głowę tak, iż zamiast cofnąć się w czas, jak młokos szalony spiąłem konia ostrogą, rzuciłem się naprzód i ot, wyniosłem drugiego zasłużonego guza. Lecz jak głupim musi być mężczyzna, niezdolny zrobić głupstwa dla pięknéj kobiety! Nie chcę przedstawiać się mniéj złym aniżeli jestem, chociaż może jestem mniéj złym aniżeli się pani przedstawiam. Nie będę taił przed panią, że jestem żonaty, lecz gdybym nie był... Bądź co bądź, ożywiały mnie szczere zamiary, nie chciałem wyrządzić jéj krzywdy, chciałem kochać... Na honor mam tę pewność, że pokochałbym panią bardzo...

Nie odwracając ku niemu twarzy, szarpała chusteczkę w bezsilnym gniewie.

— Czy zechce mi pani przebaczyć wszystko i uważać mnie za oddanego sobie, pełnego szacunku przyjaciela, który będzie się czuł szczęśliwym, jeśli okoliczności pozwolą złożyć tego dowody, i zadowolonym, uchodząc w jéj oczach za... wuja, starego wuja, chociaż z tém nie do twarzy?...

Milczała. Gniéw i zawód pochłaniały ją do tego stopnia, że słowa jego przebrzmiewały niemal bez wrażenia; zamiast ból koić drażniły ją raczéj, bo pomimo skruchy ton żartobliwy wplatał się w jego wyznanie. Pojmował, że ją ciężko obraził, lecz zepsuty światowiec nie odczuwał, jak brutalnie rozproszył błogie marzenie, które żyło w niéj, jak prąd elektryczny przyspieszało tętno jéj życia, nastrajało ducha na podnioślejszą i tkliwszą nutę a zniszczone, wyrwane zaznaczało swój koniec ostrym bólem.

Był żonatym! Fakt ten zdał się jéj urągać. Kusiła się odgadnąć jego stosunki, a nie przewidziała właśnie téj jednéj, tak prostéj, najbliżéj leżącéj okoliczności. Uniesiona bowiem na skrzydłach życzeń myśl przesunęła się ponad tém naturalném przypuszczeniem. Będąc do niego korzystnie uprzedzoną, gotową przelać nań zasób swych uczuć, nie sądziła ani na chwilę, aby pan Rogers, mając żonę, mógł sobie tak postępować. Gdy umysł pocznie odgadywać zagadki, zwykle popełnia omyłkę, która później zdaje się niepojętą, ile razy bodźcem do rozmyślania są osobiste życzenia, nie wywierające wpływu na bieg wypadków. Nic się tak nie zdarza, jak nam się wydaje, że zdarzyć się było powinno. Życie własnym kroczy szlakiem i inscenizuje wszystko samodzielnie, a myśl usiłuje się zaczepić i obwinąć w koło niego i, zespoliwszy z niém, poszybować w przyszłość — napróżno. I tak życie płata nam figle.

Chwila ciszy i spokoju uśmierzyła nieco jéj ból; przyszła do siebie i na pożegnanie wyciągnęła do niego rękę.

Nazajutrz otrzymała prócz drogocennych podarków, inny brelok z czterolistną koniczyną oraz list, z którego wiało szczere uwielbienie i trochę tęsknoty.

Prześwietna, z konwennusów ulepiona przyzwoitość, owa do dogmatu wyniesiona *respectability*, czczona w teoryi, w praktyce tylko dopóty bywa znośną i tolerowaną, dopóki nie napotka oporu ze strony skłonności. Uznając jéj potęgę, pan Rogers nie śmiał uderzyć na tę fortecę, lecz chciał ją obejść, oszukać. Ale zginając kolano przed nauczycielką, nie oddawał hołdu téj bezdusznéj świata mistrzyni, która nie święci takich tryumfów, nie szanował Kate dlatego, że ściśle przestrzegała konwenansów, lecz, że odepchnęła od siebie wielką pokusę i nie chciała innéj kobiecie odbierać męża. Pisał: „muszę w tém znaléść pociechę, że ujrzałem w całym blasku bardzo dobrą kobietę."

. . . .

Czterolistna koniczyna zawiodła nadzieje młodéj kobiety, zadrwiła z niéj bezlitośnie, przywiódłszy ją do bramy szczęścia, by odtrącić od niéj brutalnie. Straciła wiarę w nadesłany amulet, zdał się on innym, pozbawionym magicznéj władzy, bo nadzieja zgasła. A ironia losu tém boleśniéj dała się odczuć, że gdy bez urazy do niego przywodziła sobie na pamięć jego postać, zdał się odpowiadać zarysowi mężczyzny, jaki natura złożyła na dnie jéj duszy, że czuła się zdolną pokochać takiego mężczyznę gorąco. Bo pan Rogers, przystępny dla szacunku i miłości, o wiele mniéj był złym niż się przedstawiał, a kochany i kochający, uzbrojony przeciwko światowym wpływom, mógł stać się bardzo dobrym. Lecz niestety należał do innéj kobiety...

Przejście to pozostawiło na licach i usposobieniu nauczycielki pewien ślad, który wszakże zatarł się wkrótce, zatonął przykryty falą młodości i codziennych zajęć nawałem. Zaglądała teraz często do ogrodu, który począł ją żywo zajmować i stał się źródłem nieoczekiwanych przyjemności. Atoli narzucił się jéj znowu projekt wyjazdu do Afryki, bo przecież niepodobna, aby uwiędła na tém pustkowiu!

Ale gdy pewnego dnia siadła przy biurku, aby rozpisać listy, doszło jéj uszu parsknięcie konia i po za płotem ujrzała skarogniadego wierzchowca i młodego dzierżawcę, który zerkając w okno, przywiązywał, uzdę do furtki. Widocznie zamierzał wstąpić do nich... po kwiaty.

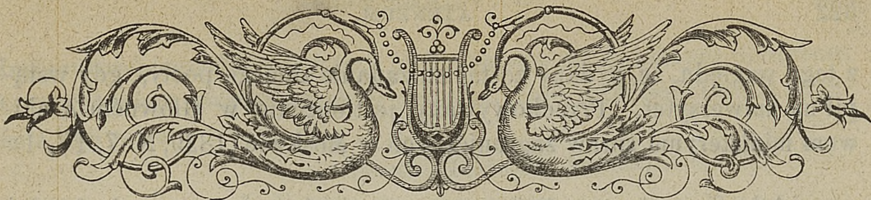
Czy miała szukać chleba w nieznanéj, dalekiéj stronie, rzucić to miłe zacisze, gdzie ludzie otaczali ją przywiązaniem, gdy lato było w całéj pełni, ogród w rozkwicie, słońce świeciło tak jasno i bukiety tulipanów śmiały się do niéj radośnie?.. Zresztą posiadała talizman szczęścia. A uderzyło ją teraz, że *shamkock* nic nie zawinił, bo szczęście opuściło ją dopiéro z chwilą, gdy wyszła z jego posiadania. Dlaczegóż zaś ten listek koniczyny nie miał być wyposażony równie czarodziejską mocą?...

Odłożyła na stronę papiér listowy i wsunęła amulet do kieszeni.

Po chwili poszła otworzyć drzwi, do których właśnie zastukano.

Maciéj Wierzbiński.

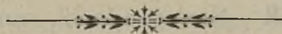




LUŹNE DOKUMENTY

DO ŻYCIORYSU

ADAMA MICKIEWICZA.



W osnowie kilku artykułów, poświęconych Mickiewiczowi, podałem w dosłownem brzmieniu kilkanaście nowych dokumentów. Oprócz nich pozostało mi jeszcze kilkanaście innych, pochodzących z różnych czasów i z rozmaitych zbiorów. Nie wiążą się one w jednę całość, ale pomimo tego dla przyszłych biografów poety nie będą pozbawione wartości, więc je oddaję do publicznego użytku, poprzestając na dołączeniu niezbędnych objaśnień co do pochodzenia ich i co do saméj treści lub wypadku, dzięki któremu powstały.

1.

Metryka chrztu Adama Mickiewicza znaną nam jest z tekstu, wydrukowanego w zbiorze Korespondencyi jego (IV, 40), ze wzmianką, że tekst pochodzi z ksiąg kościoła rzymsko-katolickiego w Nowogródku. Kto jednak zna sposób albo raczéj szemat, według którego piszą się metryki, i umié rozwiązywać łacińskie skrócenia, przekonać się łatwo może, że ów tekst podany został nieudolnie i nieumiejętnie. Poniższy tekst jest w każdym razie dokładniejszy i następnie ciekawy

z tego względu, że wydany został na żądanie samego poety, gdy wstąpił na uniwersytet. Przechowywany jest obecnie w Główném Archiwum ministeryum spraw zagranicznych w Moskwie (1829, N. 7, IV, 1):

Ad affectationem licitamque requisitionem generosi domini Adami Mickiewicz, postulantis sibi metricam ortus sui ex libro baptizatorum extradere, ego infrascriptus, uti in iisdem libris reperi, extradidi de tenore sequenti:

NOVOGRODEK.

Anno Domini millesimo septingentesimo nonagesimo nono, die decima secunda mensis Februarii, ego Antonius Postlett, canonicus Livoniensis, baptizavi infantem nomine Adamum Bernardum, filium generosorum dominorum Nicolai Mickiewicz, camerarii Minscensis, causidici Novogrodensis, et Barbarae de domo Maiewska, coniugum legitimorum ac nobilium. Patrinus fuit perillustris magnificus dominus Bernardus Obuchowicz, iudex terrestris Mozyroviensis, cum generosa domina Aniela Uzłowska, iudicis terrestris Novogrodensis coniuge. In quorum fidem cum appositione Suae Imperatoriae Maiestatis sigillo manu mea subscribo. Datum in residentia mea plebanali Novogrodensi, anno Domini millesimo octingentesimo decimo quinto, die 30 Septembris. Antonius Olszewski, canonicus Livoniensis, decanus et praepositus Novogrodensis.

L. S.

2.

Postanowieniem komitetu szkolnego przy uniwersytecie Wileńskim (Korespondencya, IV, 45) Mickiewicz jeszcze 23 lipca (starego stylu) roku 1819 przeznaczony został na nauczyciela szkoły Kowieńskiéj. Na miejsce przeznaczenia wyjechał dopiéro w pierwszych dniach września, gdyż poniższe świadectwo dla dostania koni pocztowych otrzymał od rektora uniwersytetu 3 lub 4-go września. Oryginał jego znajduje się w archiwum ministeryum oświaty w Petersburgu (fascykuł akt N. 127,219, fol. 11) i brzmi, jak następuje:

ŚWIADECTWO.

JP. Adam Mickiewicz, magister filozofii, przeznaczony na nauczyciela do szkoły powiatowéj Kowieńskiéj, któremu na uzyskanie podorożnéj na parę koni pocztowych z Wilna do Kowna, jako w interesie skarbowym jadącemu, wydano niniejsze świadectwo z rządu

Imperatorskiego Uniwersytetu Wileńskiego za należnym podpisem i przyłożeniem uniwersyteckiéj pieczęci. Dan w Wilnie dnia 3 września 1819 roku.

Symon Malewski Rektor.

L. S.

Sekretarz Feliks Mierzeiewski.

Na pieczęci elipsowatéj herb państwowy i w otoku napis: „*Sigillum Imperatoriae Universitatis Vilnensis*"

3 — 4.

W korespondencyi Mickiewicza (IV, 46) wspomniany jest raport dyrektora szkół w gubernii Wileńskiéj, Jana Budziłowicza, w którym zawiadamia uniwersytet, że Mickiewicz do dnia 14 września nie stawił się w Kownie dla pełnienia nauczycielskich obowiązków. Dosłowne brzmienie jego jest następujące:

Ministeryum Spraw Duchownych i Narodowego Oświecenia. Departament Narodowego Oświecenia. Dyrekcya szkół gubernii Wileńskiéj. Nr. 369. Dnia 14 miesiąca Września 1820-go roku. Z Wilna.

Do Rządu Imperatorskiego Uniwersytetu.

Mam honor Rządowi Imperatorskiego Uniwersytetu donosić, że dozorca szkoły powiatowéj Kowieńskiéj z datą 13 września uwiadomił, iż nauczyciel wymowy prawa i historyi P. Mickiewicz do téj daty nie przybył jeszcze do Kowna i że JP. Nieławicki dnia 7-go września z Wilna przybywszy do Kowna doniósł, jakoby przy wyjeździe swoim miał zostawić w Wilnie chorego P. Mickiewicza i że powrót jego do Kowna ma nastąpić za polepszeniem zdrowia.

Jan Budziłowicz Dyrektor.

Oryginał tego raportu znajduje się w archiwum Okręgu Naukowego w Wilnie (N. 72/525, fol. 102). Tamże (fol. 103) znajduje się następny raport tego samego Budziłowicza z 17 września, za Nr. 372, w którym o Mickiewiczu powiedziano tylko: „Nauczyciel szkoły Kowieńskiéj JP. Mickiewicz dnia 15 września udał się z Wilna do pełnienia swoich obowiązków."

Stosownie do decyzyi Zarządu uniwersyteckiego (Korespondencya, IV, 46 — 47), Mickiewicz musiał dać na piśmie wyjaśnienie przyczyn spóźnionego powrotu do Kowna po wakacyach roku 1820-go.

Powyższe wyjaśnienie z autografu, znajdującego się w archiwum wileńskiego Okręgu Naukowego, w tym samym fascykule na str. 112, wydrukowałem w „Bibliotece Warszawskiéj” (1888, II, 44). Mickiewicz przesłał je na ręce Budziłowicza, a ten zakomunikował je uniwersytetowi przy następującym raporcie:

(Nagłówek jak w poprzednim dokumencie). Nr. 382, dnia 21 miesiąca Września 1820 roku. Z Wilna.

Do Rządu Imperatorskiego Uniwersytetu.

Przysłany raport od doktora przy szpitalu Johaniszkielskim JP. Abichta o chorych leczonych w tercyale Majowym r. t. w szpitalu i włości Johaniszkielskiéj, jakotéż tłomaczenie się nauczyciela wymowy i prawa w szkołe Kowieńskiéj P. Mickiewicza względem spóźnionego przybycia jego do pełnienia obowiązków, mam honor przesyłać Rządowi Imperatorskiego Uniwersytetu.

Dyrektor Jan Budziłowicz.

5 — 9.

W dodatkach do rozprawy „Mickiewicz w Wilnie i Kownie” („Biblioteka Warszawska”, 1888, II, 46) wydałem prośbę Mickiewicza, wniesioną do Zarządu uniwersyteckiego o czasowe uwolnienie go od obowiązków nauczycielskich i przytoczyłem (str. 36) wyjątek z lekarskiego świadectwa, załączonego do prośby. Podaję obecnie to świadectwo w całéj osnowie, według autografu, znajdującego się w archiwum Okręgu Naukowego w Wilnie (N. 91/730, fol. 42):

ŚWIADECTWO.

Roku 1823 dnia 24 lutego ja niżéj na podpisie wyrażony czynię wiadomo niniejszém mojém urzędowém poświadczeniem, iż JPan Adam Mickiewicz, nauczyciel szkoły powiatowéj Kowieńskiéj, zostając w mojéj kuracyi i będąc ciągle cierpiącym na ból piersi i boku prawego, z częstém pluciem krwi (haemophtysis) połączonym, które się zwyczajnie po każdéj deklamacyi mocniejszéj ponawia, zwłaszcza gdy mało ruchu poprzednio używa, po ścisłém wybadaniu choroby nie inną znajduję przyczynę, jak przypływ krwi hemoroidalny do piersi i przeszkodzoną cyrkulacyę w wątrobie, przez co lekki stopień stwardzenia (induratio hepatis) coraz się staje widoczniejszym, do czego się ciągła sedenterya i dawanie lekcyi publicznych przykłada i do pogorszenia stanu zdrowia coraz bardziéj uspo-

sabia; gdy zaś przepisywane lekarstwa skutku nie biorą, nie inaczéj przeto takowa słabość poskromioną być może jak uwolnieniem się na czas niemały od obowiązków nauczyciela, udaniem się w kraje cieplejszego klimatu i użyciem wód Piremontskich. Dan jak wyżéj w Kownie przy wyciśnieniu pieczęci herbu mojego.

Józef Kowalski
M. P. medyk powiatu Kowieńskiego,
radzca dworu, doktór medycyny i chirurgii.

Świadectwo pisane jest na papierze stęplowym ceny jednego rubla i ma adnotacye: „do Nr. 765" i „r. 1823."

Wspomnianą prośbę wraz z tém świadectwem zastępca dyrektora szkół w guberni Wileńskiéj przesłał do Uniwersytetu przy raporcie na, stępującéj osnowy (archiwum Okręgu Naukowego w Wilnie, 91/730, fol. 39):

M. S. D. i N. O. Departament Narodowego Oświecenia. Dyrekcya szkół guberni Wileńskiéj. Nr. 138. Dnia 29 miesiąca Marca 1823 roku. Z Wilna.

Do Rządu Cesarskiego Uniwersytetu Wileńskiego.

Prośbę nauczyciela wymowy i historyi w szkole Kowieńskiéj JP. Adama Mickiewicza, mocno się żalącego na stan słabego swego zdrowia, przy któréj zyskuje opinię sobie przychylną dozorcy szkoły i nadto jeszcze dołącza świadectwo medyka powiatu Kowieńskiego P. Kowalskiego, wydane mu pod dniem 24 Lutego t. r. za Nr. 26, mam zaszczyt przedstawić Rządowi Cesarskiego Uniwersytetu Wileńskiego, w celu uwolnienia go na dwa lata od nauczycielskich obowiązków i razem wyjednania mu u Krajowéj Zwierzchności paszportu na wolny przez tenże czas dwuletni wyjazd za granicę do wód Pirmontskich, Włoch i Francyi dla poprawienia zdrowia.

Józef Skoczkowski, Zastępca Dyrektora

Raport odebrano w Wilnie 29 marca i położono na nim Nr. 765 rektor zaś Twardowski ołówkiem napisał na nim rezolucyę: „przedstawić księciu kuratorowi."

Książę Czartoryski na odwołanie się Uniwersytetu odpowiedział następującym reskryptem:

Ministeryum Spraw Duchownych i Narodowego Oświecenia. Departament Narodowego Oświecenia. Kurator Szkół Wileńskiego Wydziału. Nr. 236. Dnia 11/23 maja 1823. W Puławach.

Do Rządu Imperatorskiego Wileńskiego Uniwersytetu.

Zważywszy zły stan zdrowia JP. Mickiewicza, dla którego on nie może się ciągle zatrudniać dawaniem lekcyi, zważywszy także jego zdatności, obiecujące wiele pożytku, jeśliby mu zdrowie pozwoliło je rozwinąć, nie widzę nic takiego, coby mogło się sprzeciwiać uwolnieniu go od obowiązku dla polepszenia zdrowia. Że zaś JP. Mickiewicz edukował się kosztem funduszu w Seminaryum Nauczycielskiém i za koszta w Instytucie nań łożone nie odsłużył jeszcze naznaczonych lat sześciu, przeto przy uwolnieniu go tymczasowém od obowiązków Rząd Uniwersytetu weźmie od niego na piśmie zaręczenie, że powróciwszy z wód znowu wejdzie do służby dla przepisanéj liczby lat dopełnienia.

A. Czartoryski.

Oryginał tego polecenia (archiwum Okręgu Naukowego w Wilnie, 91/730, fol. 40) otrzymano w Wilnie 18/30 maja (Nr. dziennika 1241) i rektor Twardowski napisał na nim, „Uwiadomić zastępcę dyrektora i potém wziąć submisyę". Wykonano to, ale sprawa wyjazdu za granicę załatwioną przez to nie została. Niezbędnego paszportu udzielić mógł tylko Wielki Książę Konstanty, a ten przez wojennego gubernatora Wileńskiego ks. Rzymskiego Korsakowa zażądał informacyi o konduicie Mickiewicza i środkach na podróż zagraniczną. Rektor Twardowski, nie wiedząc, jaką dać odpowiédź, „po sekrecie" wystosował 2 września roku 1823 następujące polecenie (koncept w Bibliotece Publicznéj w Wilnie, rękopis Б. XIX, 7, fol. 22):

„Do Dozorcy Szkoły Powiatowéj Kowieńskiéj Kolegialnego Asesora JP. Dobrowolskiego.

Z powodu żądanego paszportu dla nauczyciela Mickiewicza na wyjazd za granicę P. Litewski Wojenny Gubernator uczynił zapytanie: 1), czyli w nim nie spostrzeżono co nagannego?, 2) z jakiego funduszu będzie się utrzymywał za granicą przez dwa lata? Poruczam przeto WWPanu, ażebyś po należytém wywiedzeniu się, tak co się tyczé jego sprawowania się w czasie pełnionych obowiązków nauczycielskich w Kownie, jakotéż o sposobach, jakiemi ma się utrzymywać za granicą przez dwa lata, pierwszą pocztą mnie o tém doniósł."

Prędko, gdyż 7 września, nadeszła z Kowna następująca odpowiédź (autograf, tamże, fol. 23):

M. S. D. i N. O. Departament Narodowego Oświecenia. Szkoła Powiatowa Kowieńska. W Kownie, września 6 dnia 1823 roku, Nr. 64. Względem nauczyciela Adama Mickiewicza.

Do Rektora Cesarskiego Wileńskiego Uniwersytetu Jaśnie Wielmożnego Twardowskiego, radcy dworu.

Na dwojakie zapytanie, uczynione mi od JWPana względem nauczyciela Mickiewicza: 1) czyliby ten przez ciąg służby swojéj w tutejszéj szkole nie okazał w sobie cokolwiek nagannego, 2) jakiby on miał fundusz do utrzymania się za granicą przez dwa lata: mam zaszczyt odpowiedziéć co do 1-go. iż pomieniony nauczyciel, ile mu słabe zdrowie dozwalać mogło, zawsze z usilném staraniem lekcye szkolne odbywał; pozostałe od obowiązku godziny własnym naukom w samotności oddawał; nic nagannego, a wszelkie godne przymioty powołania swojego w ciągu trzyletniéj tutaj bytności jednostajnie w sobie widziéć dawał. Co do 2-go, to tylko JWPanu mogę objaśnić z pewnością, iż tenże nauczyciel, mając naukowe talenta, od kilku lat pracował nad dziełkiem, które teraz wychodzi z druku, jedynie aby mógł złożyć sobie jakiś zbiorek pieniędzy z prenumeraty na sposób poratowania swojego zdrowia w ciepłych krajach za granicą. Zbiorku tego za prenumeratę spodziewał się miéć do kilkuset rubli srebrem, a nie mając innych potrzeb, jak tylko podróż i wyżywienie się, rokuje sobie, iż mu to na dwa lata wystarczy.

Stanisław Dobrowolski Dozorca.

10 — 12.

Po ukończeniu śledztwa nad filaretami, na wiosnę roku 1824, zaczęto ich wypuszczać z więzienia za poręczeniem profesorów lub osób ze stanowiskiem. Jak wiadomo za Mickiewicza Lelewel dał poręczenie. Podał on w tym celu następującą prośbę:

Do Jaśnie Wielmożnego Aktualnego Tajnego Radcy, Senatora Imperium, wielu Orderów Kawalera Mikołaja Mikołajewicza Nowosilcowa.

Od profesora historyi w Uniwersytecie

Najpokorniejsza prośba.

Gdy pomiędzy aresztowanymi znajduje się Pan Adam Mickiewicz, upraszam najpokorniéj Jaśnie Wielmożnego Pana o wydanie pomienionego Pana Adama Mickiewicza na moję porękę.

Joachim Lelewel.

Wilno, dnia 19 kwietnia 1824 roku.

Na skutek powyższéj prośby dano Lelewelowi do podpisania następujący rewers:

Niżéj podpisany tym moim rewersem, w komisyi śledztwiennéj składającym się, daję porękę pod odpowiedzialnością osobistą i z majątku mojego za JMci Panem Adamem Mickiewiczem, ręczając, iż on na każde Komisyi zapotrzebowanie stawić się będzie, a dopóki nie uzyszcze pozwolenia wyjazdu, w mieście tutejszém zostanie, oraz że unikając wszelkich zabronionych towarzystw, wszelkich wyjawień, o co był badany, a co na pytania odpowiadał, nigdy przed nikim wyjawiać nie będzie.

Dan w Wilnie, dnia 19 kwietnia 1824 roku.

Joachim Lelewel.

Formuła poręczenia była napisana przez kogo innego, historyk stosownie do wymagań, podpisał ją tylko. Oryginał prośby i poręczenia znajduje się w Bibliotece Publicznéj w Wilnie (rękopis B. XIX, 11). Tamże jest i oryginał zobowiązania, które Mickiewicz wzajemnie podpisać musiał według ułożonéj przez Komisyę Śledczą formuły:

Ja niżej podpisany, stosownie do rezolucyi JW. Rzeczywistego Tajnego Radcy, Senatora i Kawalera Nowosilcowa, na dokład Komisyi Śledztwiennéj, w dniu dzisiejszym nastały, daję ten rewers na to, iż jeżeliby wypadła potrzeba stanności mojéj w téjże Komisyi, wówczas na każde jéj zapotrzebowanie, mam się jawić bez najmniejszéj zwłoki, oraz że tego wszystkiego, o czém przez Komisyę badany byłem, i co na pytania odpowiedziałem, nigdy i przed nikim rozgłaszać i wyjawiać nie będę, pod obawą odpowiedzi wedle prawa za wydanie sekretu; nadto że nie tylko sam nie będę należéć do żadnego towarzystwa bez dozwolenia Rządu ustanowionego, lecz i donosić będę gdzie należy, podług przysięgi wiernopoddanego, gdy się dowiem, iż gdziekolwiek takowe zabronione towarzystwo otwarte zostało.

Dan w Wilnie roku 1824 kwietnia 20 dnia.

Adam Mickiewicz.

Ja niżéj wyrażony zaświadczam, iż mi papiery zabrane, do sprawy nie należące, zwrócono w całości.

Adam Mickiewicz.

Dan roku 1824 kwietnia 21.

13.

Kiedy wniosek specyalnéj Komisyi, złożonéj z admirała Szyszkowa, jenerała Arakczejewa i kuratora Nowosilcowa, co do ukarania filo-

matów i filaretów wysłaniem na służbę państwową do wewnętrznych gubernii Cesarstwa uzyskał Najwyższą sankcyę, wysłano ich wszystkich najprzód do Petersburga. Mickiewiczowi polecono odbyć tę podróż wraz z Janem Sobolewskim i obudwóm, oprócz dwóch koni pocztowych, wydano na koszty podróży 130 rs. 8 kop. W wigilię wyjazdu z Wilna obaj pokwitowali wileńskiego policmajstra Szłykowa z odbioru powyższéj sumy następującym skryptem, którego oryginał znajduje się w Bibliotece Publicznéj w Wilnie, rękopis B. XIX. 7, fol. 267:

Roku 1824 miesiąca Oktobra 24 dnia.

Kandydaci filozofii Adam Mickiewicz i Jan Sobolewski własnoręcznie podpisujemy ten rewers w tém, 1-o że do przeznaczonéj nam podróży do S. Petersburga przyjęliśmy od wileńskiego policmajstra radzcy stanu Szłykowa podorożne za Nr. 619 i prohonne pieniądze na dwa konie sto trzydzieście rubli kopiejek ośm Nr. 130 r. 8 k. 2-o że za odebraniem téj podorożnéj i prohonów, opuszczając natychmiast Wilno, będziemy jechać do przeznaczonego nam miejsca bez zamitrężenia siebie.

Adam Mickiewicz kandydat filozofii.
Jan Sobolewski kand. fil.

14.

W Marcu roku 1829 Mickiewicz starał się o posadę tłomacza przy ministeryum spraw zagranicznych w Petersburgu, albo o wysłanie go w charakterze urzędnika do któregokolwiek konsulatu rosyjskiego w południowéj Europie. Dokładniéj wyjaśnię tę kwestyę w osobnym artykule, tymczasem zaś drukuję poniżej krótkie *curriculum vitae*, napisane przez poetę w języku francuzkim i dołączone przezeń do prośby, podanéj na Najwyższe Imię, o jednę z powyższych posad. Autograf tego dokumentu znajduje się w Główném Archiwum Ministeryum Spraw Zagranicznych w Moskwie (1829, N. 7, IV, 1):

Adam Mickiewicz, en 1815 reçu bachelier à l'Université de Vilna, nommé en 1819 professeur de belles lettres au Gymnase de Kowno, demanda et obtint alors sa démission pour cause de mauvaise santé. Ayant été mandé et pleinement acquitté en 1824, par le Comité chargé d'examiner les sociétés secrètes des etudians de Vilna, il fut attaché, par ordre du Gouvernement, d'abord au lycée Richelieu, ensuite, sur sa propre requête, à la chancellerie de Son Excelilence Mr. le Gouverneur-Général de Moscou. Sa santé mineé depus-

longtems, s'est encore alterée pendant son séjour en Russie. Les médecins, dont il se fera un devoir de présenter les témoignages, s'accordent à lui prescrire le séjour dans un climat plus doux. Incapable de continuer son service actuel et étant à même de pouvoir se passer d'appointemens, il ne sollicite que la grâce d'étre attaché à une de nos missions ou consulats d'Italie, de France ou d'Espagne, et en cas ou cette faveur ne lui fût point accordée, il réclame celle de pouvoir être admis à l'examen, pour la place de translateur, vacante en ce moment au Collège des affaires étrangères.

15.

Berlińska biblioteka królewska posiada w swych zbiorach nieznany dotychczas następujący liścik Mickiewicza:

Szanowny Panie! Ziomek nasz pan Kurylski pragnie być członkiem instytutu historycznego, którego jesteś członkiem. Prosił mię o rekomendacyą do Ciebie. Potrafisz zapewne sam lepiéj go ocenić. Ja w naukach, któremi zajmował się pan Kurylski, nie jestem sędzią. Słyszałem tylko o nim, że jest uczciwym człowiekiem i ciągle zajmuje się naukami.

Szczerze życzliwy

Adam Mickiewicz.

List nie ma ani daty, ani adresu. Data na podstawie treści nie da się ściśle oznaczyć, gdyż nazwisko Kurylskiego nie jest znane w literaturze, a z innych źródeł nie posiadam o téj osobistości żadnych danych. List pochodzi ze zbiorów Varnhagena, który oznaczył datę na początek roku 1844. Ponieważ Varnhagen był w stosukach osobistéj znajomości z Augustem Cieszkowskim, przypuszczam więc, że powyższy list pisany był do Cieszkowskiego i że Cieszkowski podarował go Varnhagenowi. Ten ostatni dopisał do listu komentarz następującéj osnowy:

„Mickiewicz. Der polnische Dichter lebte schon unter strenger Aufsicht der Polizei, als nach der Juli-Revolution in Frankreich und der steigenden Gährung in Polen seine Lage mit jedem Tage gefährlicher wurde. Caroline von Jaenisch, seine Braut, fühlte die Notwendigkeit ihn um jeden Preis aus Russland fortzuschaffen, aber ein Reisepass für ihn war damals unmöglich zu fordern. Einige Zeit vorher hatte sie einer Dame einen Dienst geleistet, für den diese sich zu grösster Dankbarkeit verpflichtet erklärte; sie nahm diese jetzt beim Wort; die Dame hatte grosse Macht bei dem Beamten, der Benkendorff's rechte

Hand war; der Pass wurde gegeben, und Mickiewicz konnte ins Ausland reisen. Bald nachher brach der polnische Aufstand aus; Mickiewicz in der Gewalt der Russen würde sofort nach Sibirien gebracht worden sein und nie wieder die Rückkehr gesehen haben. Durch die Ereignisse mehr und mehr von ihm getrennt, ohne Hoffnung des Wiedersehens, liess die Braut sich später zur Heirath mit Pawloff bewegen; den Trauring des Dichters aber trug sie noch 1858 am Finger."

Są niedokładności w tém opowiadaniu, ale relacya o otrzymaniu przez Mickiewicza paszportu godną jest uwagi. Karol August von Ense Varnhagen (1785—1858), poeta, historyk, literat i zapalony zbieracz autografów, służył w dyplomacyi pruskiéj i ożeniony był także z literatką Rachelą Levin. Salon ich w Berlinie, gdzie najczęściéj przemieszkiwali między 1820 a 1858 rokiem, słynął z gościnności: spotkać w nim można było wszystkie współczesne znakomitości naukowe, literackie i artystyczne. Karolina Jaenisch opuściła Rosyę w roku 1855-ym („Żywot Adama Mickiewicza", I, 270), więc bardzo możebném jest, że Varnhagen mógł to opowiadanie słyszéć od niéj saméj, skoro powiada, że pierścionek Mickiewicza nosiła na palcu — fakt ten potwierdza téż i pani Pawłow w liście pisanym do Władysława Mickiewicza w roku 1890-ym (tamże, I, 269).

16.

Ciekawym bardzo jest i poniższy list Adama Mickiewicza, zupełnie dotychczas nieznany, pisany do hr. Oresta Pucicza, słoweńskiego patryoty. List znajduje się obecnie w zbiorach Akademii nauk w Belgradzie (Nr. 233, według katalogu z roku 1880); z autografu przepisał go i kopję łaskawie mi udzielił profesor P. A. Kułakowskij.

Orest Pucicz (1821—1882), nauczyciel króla Milana, nazywał się po włosku Orsatto Pozza i pod tém nazwiskiem wydał włoski przekład prelekcyi Mickiewicza o chorwackich pieśniach ludowych (*Dei canti popolari illirici*, Zara, 1860); tłomaczył także na język włoski ustęp z „Dziadów" (i ustęp z „Ducha od stepu" Zaleskiego), po słoweńsku zaś napisał na cześć Mickiewicza odę [1]), po poznaniu się z nim we Florencyi w roku 1848, gdy Mickiewicz tworzył legion polski i powoływał do niego innych także słowian. Rad więc był znajomości z Puciczem i, jak widać z listu, szukał pomocników takich, którzyby i wśród sło-

[1]) F. Marković, Knez Medo Pucić (Rad jugoslovenske akademije znanosti i umjetnosti, tom LXVII).

wian południowych prowadzić mogli agitacyę na korzyść tych celów, o jakich poeta w liście robi wzmiankę.

Monsieur!

Pendant mon séjour à Florence, il m'a été materiellement impossible de profiter de notre rencontre si heureuse pour moi. J'aurais à vous consulter sur des choses de la plus haute importance. Il s'agit, vous le sentez — de la cause de liberté slave et polonaise. Voyez, si vous ne pourriez pas venir à Milan pour quelques jours. Si c'est possible, ne tardez pas un moment.

En attendant dites, si vous ne connaissez pas à Milan un dalmate ou un illirien patriote et capable d'écrir en langue nationale. Repondez moi le plus tôt possible.

Croyez à mon sincère affection

Adam Mickiewicz.

1848, 4 Mai, Milan, Contrada de Bossi, casa Frotti.

List nie ma adresu.

Teodor Wierzbowski.

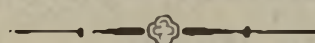


Działalność Sekcyi Rolnéj

WARSZAWSKIEGO ODDZIAŁU

Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu,

według „Prac sekcyi“ za rok 1895 i 1896-ty, wydanych przez redakcyę „Gazety Rolniczéj“ w Warszawie.



Od czasu zniesienia „Towarzystwa rolniczego”, które odegrało tak ważną rolę w życiu ekonomiczno-rolniczém Królestwa Polskiego, rolnicy nasi przez długie lata nie mieli możności publicznego wyrażania swych potrzeb, ani omawiania spraw dotyczących praktyki gospodarstwa wiejskiego: byli zatém pozbawieni jednéj z potężniejszych dźwigni rozwoju ekonomicznego.

Przez lat blisko trzydzieści dolegliwości rolnictwa, projekty co do działalności w kierunku jego podniesienia znajdywały ujście jedynie w dziennikach, lub też na zebraniach wyborczych i przedwyborczych do władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Tu, często w formie wniosków, słusznie łączących interesy instytucyi finansowéj — wierzyciela z interesami pojedyńczych rolników—dłużników, spotykamy się niejednokrotnie z pracami ekonomicznemi, na swojskim gruncie wyrosłémi. Korzyści, które przyniosły one, o ile wiemy, są małe, gdyż zazwyczaj rozbijały się o strasznie nie elastyczny w tym względzie pancerz przepisów Towarzystwa i zbyt formalistyczne usposobienie jego kierowników.

A dziennik?... Gdzie chodzi o akcyę szybszą, wyświetlenie sprawy spornéj i niejasnéj, tam dziennik, gazeta, najlepiéj prowadzona nie

zastąpi żywego słowa, nie przyniesie tego pożytku co publiczne zebranie, dyskusya ustna, spór, jaki za sobą różnica zdań prowadzi. A cóż dopiéro w sferach jak ziemiańskie, gdzie pióro do najpopularniejszych nie należy.

Wobec tego musimy uznać za fakt pierwszorzędnéj wagi dla rozwoju rolnictwa krajowego, założenie „Sekcyi rolnéj," która od lat pięciu rozwija swoją działalność jako wyosobniona część warszawskiego oddziału towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu.

Mamy przed sobą dwa roczniki „Prac sekcyi rolnéj", wydawanych przez „Gazetę rolniczą." Na téj podstawie możemy sobie wyrobić dokładny obraz jéj działalności, a zarazem mamy wskaźnik, o ile nasze społeczeństwo ziemiańskie, korzysta z jedynego swego stowarzyszenia zawodowego. Zanim to jednak uczynimy, musimy sobie przypomniéć zasadnicze punkta ustawy dla towarzystwa popierania przemysłu i handlu, Najwyżéj zatwierdzonéj w r. 1867-ym:

§ 1. Towarzystwo zakładane pod powyżéj podaną nazwą ma na celu dopomaganie rozwojowi wszystkich gałęzi krajowego przemysłu i rozszerzania wewnętrznego i zewnętrznego handlu Rosyi.

§ 2. Dla osiągnięcia tego celu Towarzystwo zajmuje się:

a) badaniem i roztrząsaniem wszystkich kwestyi odnoszących się wogóle do handlu i przemysłu Rosyi;

b) drukowaniem na koszt towarzystwa opracowanych materyałów i wniosków, tak w oddzielnych dziełach jako też i wydawnictwach peryodycznych, i

c) spółdziałaniem przy zawiązywaniu w naszym kraju przedsięwzięć powszechnéj użyteczności.

§ 3. Towarzystwu nadaném zostaje prawo odnoszenia się do rządu we wszystkich kwestyach tyczących się przemysłu i handlu Rosyi.

§ 7. Członkowie rzeczywiści opłacają rocznie po rs. 15. W Petersburgu zasiada komitet Towarzystwa, składający się z osób stale tam zamieszkałych. W miastach, gdzie się znajdzie nie mniéj jak 10 członków towarzystwa, mogą być zakładane oddziały za zezwoleniem p. ministra finansów.

Oddziały te mają na zasadzie ustawy z r. 1869 § 4, badanie kwestyi tyczących się potrzeb i interesów miejscowego przemysłu i handlu. Jak widzimy, ustawa ta daje możność rozwinięcia pożytecznéj działalności na bardzo szeroką skalę.

Warszawski oddział uzyskał odrazu gościnność w murach Muzeum przemysłowego, znalazł się więc w korzystnych warunkach, nie

tylko co do strony materyalnéj, ale i przez związek z organami tegoż Muzeum.

Po 13-letniéj egzystencyi warszawskiego oddziału nie moglibyśmy nabrać wysokiego wyobrażenia o zdolnościach zrzeszania się naszego społeczeństwa. Sekcye techniczne nie wytworzyły ogniska dla niezawodnie potężnego świata techników warszawskich, o sekcyi dla handlu i pokrewnych gałęzi tak mało słyszymy, że skłonni jesteśmy do mniemania, jakoby handel nasz opływał w same roskosze. A przecież, nawet gdyby rozprawy towarzystwa i jego sekcyi, dla przyczyn od niego niezależnych, nie były w stanie zmienić zapatrywań władz na wiele kwestyi ekonomicznych dotyczących Królestwa, to już samo zajęcie się sprawą, zwrócenie uwagi ogółu na rzeczy mogące mu przynieść pożytek przez grono ludzi poważnych i znanych, może krajowi oddać nieocenione usługi.

Bezwarunkowo najruchliwszą okazała się sekcya rolna, zarówno ilością zebrań, jak i poruszanemi kwestyami, a jako jeden z punktów, podnoszących jéj zasługi, przypomniéć sobie należy to, że większość jéj członków zamieszkuje Warszawę tylko czasowo.

W r. 1895-ym sekcya przemysłu rolnego liczyła 149 członków. Prezesem jéj był Feliks hr. Czacki, wiceprezesami pp. Józef Jeziorański i Władysław Habdank-Korzybski, sekretarzami pp. Stanisław Chaniewski i Stanisław Dzierzbicki.

W r. 1896-ym sekcya liczyła 270 członków. Prezesem był dr. Tadeusz Kowalski, wiceprezesami pp. Józef Jeziorański i Stanisław Dzierzbicki, sekretarzami pp. Stanisław Chaniewski i Ignacy Jórski.

Posiedzenia odbywają się w pierwszy poniedziałek każdego miesiąca. W obudwu latach, o których tutaj mówimy, sekcya odbyła po dziesięć posiedzeń. Podstawą zebrania jest zwykle referat odczytywany przez jednego z członków, nad którym następnie wywiązuje się dyskusya.

Prawie wszystkie prace przedstawiane na zebraniach w dwóch latach ostatnich ukazały się w druku w „Pracach sekcyi rolnéj." Ze względu na temata poruszane, rozpadają one na dwie kategorye: jedne ekonomiczno-rolnicze—agrarne, drugie techniczno-rolnicze — praktyczne. Z tém wszystkiém łączy się omawianie wspólnych przedsięwzięć członków sekcyi, więc doświadczeń nawozowych, prób z uprawą rozmaitych odmian zbóż, sprawy wystawy nasion, projekty założenia syndykatu rolnego, jedném słowem w „Pracach sekcyi" rolnéj koncentruje się cały ruch rolniczy, jaki się objawiał w Warszawie w ostatnich czasach.

Z dziedziny spraw agrarnych spotykamy najpierw obszerną pracę pp. D. Rozenbluma i L. Grendyszyńskiego nad t. zw. „dewastacyą” dóbr ziemskich. Autorowie w wyczerpujący sposób rozbierają istniejące przepisy Towarzystwa kredytowego ziemskiego, wydane w celu zabezpieczenia interesów wierzycieli, przez rozciągnięcie nadzoru nad majątkami wystawionemi na licytacyę, a które często bywają niszczone przez niesumiennych, a już tylko krótki przeciąg czasu władających niemi posiadaczy. Przepisy te, krępujące swobodę i najuczciwszych dłużników Towarzystwa, są z tego powodu niejednokrotnie silnie atakowane przez stowarzyszonych. Powstanie ich wywołały fakta dowodzące, że w naszém społeczeństwie ziemiańskiém są one tak samo potrzebne, jak i w innych krajach. Jest jeszcze jednak jeden punkt, na który autorowie omawianéj pracy nacisk kładą, jak o tém świadczy wniosek drugi, którym kończą swe wywody.

„Usiłowania wyciągnięcia z majątku ziemskiego korzyści doraźnych, rujnujących rozmyślnie warsztat rolny, jak również dopomaganie w czynnościach, na obejście prawa i szkodę wierzycieli obliczonych, jest rzeczą ze stanowiska moralnego godną bezwarunkowego potępienia i przez opinię publiczną tolerowane być nie powinno.”

Dla człowieka, nie znającego naszych stosunków i rzeczywistéj wartości moralnéj naszego społeczeństwa ziemiańskiego, wniosek ten, bez szerszych objaśnień, byłby świadectwem niezbyt pochlebném. Faktem jest jednak, że w opinii ziemian naszych, do niedawnego czasu, pewne pobłażanie w ocenie dewastatorów majątków, mających być wystawionémi na licytacyę, było rzeczą dość często spotykaną. Dewastacya nie była podciągana pod rubrykę przestępstw przeciwko cudzéj własności, wskutek złego pojmowania praw właściciela w stosunku do obdłużonego majątku.

Z tych powodów wyżéj przytoczony wniosek pp. Rosenbluma i Grendyszyńskiego jest zupełnie umotywowany.

W piękny i treściwy sposób przedstawił p. L. Krzywicki stosunek bimetalizmu do rolnictwa, a p. Suligowski sprawy taryfowe państwa rosyjskiego na podstawie całego szeregu danych, zebranych co do Rosyi i innych krajów eksportujących zboże. Kwestya taryfowa jest może najżywotniejszą sprawą agrarną Rosyi. Z jednéj strony, zjednoczenie w rękach rządu prawa stanowienia taryf (w r. 1887 opublikowaném zostało Najwyżéj zatwierdzone zdanie rady państwa, że kierownictwo w czynnościach dróg żelaznych w przedmiocie ustanawiania taryf celem zabezpieczenia interesów skarbu, potrzeb ludności, jako téż potrzeb przemysłu i handlu należy do rządu), daje możność państwu rozwinięcia działalności dobroczynnéj dla poddanych, stawiając ich pod opie-

kuńcze skrzydła władz przeciwko wyzyskowi i nienormalnościom, jakie może wytworzyć prywatna gospodarka kolejowa. Lecz z drugiéj strony, szczególniéj w państwie tak obszerném, jak Rosya, rząd ma w uregulowaniu taryf kolejowych trudności nie małe. Każda zmiana najdrobniejsza wywołuje przewroty ekonomiczne, sztuczny dopływ towarów z dalekich stron, obniżenie cen, może zatém sprowadzić ruinę przemysłu w innych miejscach.

Do powolnych zmian warunków, choćby niekorzystnych, każdy przemysł się przystosuje. Raptownie podcinają mu nogi na zawsze. To téż kierujący sprawą taryfową, oprócz poczucia wielkiéj sprawiedliwości, łączyć muszą w sobie niepospolitą wiedzę ekonomiczną ze znakomitą znajomością stosunków odległych części państwa. W tém znajdujemy wyjaśnienie dlaczego młodociana polityka taryfowa państwa rosyjskiego jeszcze się nie skrystalizowała kompletnie, a świadczą o tém najwymowniéj zarówno częste zmiany, jak i narzekania ujawniające się choćby na zjazdach, zwoływanych przez ministeryum w latach ostatnich. Przemysł rolny Królestwa Polskiego, znajdujący się w zupełnie odmiennych warunkach niż w Cesarstwie, ponosił dotychczas wskutek zmienionych taryf, wspólnie z zachodniemi częściami państwa, wielkie straty na korzyść gubernii wschodnich i nowopowstających producentów zboża za Wołgą. Taryfy różniczkowe wywołały zmianę gospodarstw w tych okręgach. Step i jego bogate pastwiska popruł pług, miejsce hodowli zajęła forsowna uprawa zbóż.

Wykazywanie tych nienormalności, tamujących prawidłowy rozwój ekonomiczny państwa, nie w postaci gołosłownych narzekań, lecz armią liczb — jest bezsprzecznie jednym z pierwszorzędnych obowiązków Towarzystwa popierania przemysłu i handlu i jego oddziałów.

Sekcya rolna żywo się interesuje sprawą taryf. W r. 1896 na posiedzeniu z 15 czerwca p. Suligowski w dalszym ciągu przedstawiał projekty rządowe w téj mierze, a „Sekcya" uprosiła go, aby reprezentował jéj interesy na zjeździe taryfowym.

Pokrewną z taryfami kwestyą zajmowało się posiedzenie Sekcyi z d. 9 listopada 1896 r., na którém p. Tadeusz Jentys odczytał pracę o zjazdach młynarskich. Z pracy téj należy kilka zdań wymienić, z naciskiem jako, mojém zdaniem, programowych dla naszego społeczeństwa w stosunku do spraw ekonomicznych ogólno-państwowych. Prądem obecnego rządu jest wytworzenie dla odpowiednich gałęzi wielkiego przemysłu specyalnych organów, któreby mogły służyć jako doradcze dla rządu. Ustanowiono rady: rolniczą, górniczą, a wkrótce ma powstać i cukrownicza. Rady te są uzupełniane zjazdami, które się odbywają według pewnego ogólnego postanowienia. Jakkolwiek znaczenie tych

rad jest wyłącznie doradcze, a interesy przemysłu i rolnictwa Królestwa Polskiego są często sprzeczne z interesami przemysłu i rolnictwa reszty państwa, to jednak, jak to słusznie zaznacza p. Jentys, „pola tego zresztą przy najpesymistyczniejszym poglądzie zaniedbywać nam nie wolno, tak jak żołnierzowi nie wolno jest porzucać stanowiska nawet w przewidywaniu przegranéj bitwy.”

Wybrane delegacye, chmielarska i dla uregulowania handlu mięsem i bydłem zdawały sprawę z poruczonych im zadań, wyświetlając braki panujące u nas w tym kierunku. Jedna zachęca do założenia spółki chmielarskiéj, którаby mogła nabywać od producentów chmiel w większych ilościach i tém usunąć pośrednictwo kupców, którzy sobie każą drogo płacić za swe usługi. Druga dochodzi do przekonania, że na targowicy warszawskiéj, miarodajnéj dla całego Królestwa, należy starać się o wyemancypowanie rzeźników z pod wpływu kupców przez udzielanie im kredytu, zaprowadzić dokładne notowanie cen bydła oraz rozciągnąć opiekę nad dowożeniem mięsa, które często pochodzi ze sztuk chorych.

Obok tych prac, będących wynikiem odczutych doraźnych potrzeb rolnictwa, zaznaczyć musimy w „Pracach sekcyi” dwa poruszane tematy ogólno-ekonomicznego znaczenia, a polegające na wskazaniu doniosłości nowych rozporządzeń rządowych, wydanych dla całego państwa. P. J. Jeziorański omawiał ustawę normalną ministeryum rolnictwa dla stowarzyszeń rolniczych, a p. M. Malinowski — sprawę towarzystw kredytu drobnego, zakładanych na podstawie przepisów z dnia 1 czerwca 1895 r.

Jakkolwiek co do nowszych instytucyi społecznych jesteśmy często na prawach wyjątkowych, to jednak zaznajomienie się z dotyczącemi rozporządzeniami jest dla nas rzeczą wielkiéj doniosłości i posiedzenia sekcyi rolnéj dzielnie temu dopomagają.

Naturalną zupełnie jest to rzeczą, że wydane dwa roczniki „Prac sekcyi rolnéj” zawierają znacznie więcéj prac charakteru techniczno-praktycznego, niż rozbierających szersze kwestye ekonomiczne. Ale co nas w tym kierunku uderza to to, że na 21 prac dotyczących uprawy roślin spotykamy ledwie 5 z zakresu hodowli zwierząt. Licuje to poniekąd z ogólnym stanem gospodarstw Królestwa, gdzie hodowla odgrywa rolę podrzędną.

Kwestya nawozów sztucznych jest jedną z najżywiéj interesujących sekcyę, co się wyraża nietylko w tematach poruszanych, ale i w organizowanych próbach przez członków.

Nie rozporządzając stacyą doświadczalną, którаby z natury rzeczy wzięła tego rodzaju zadanie w swoje ręce, delegacya nawozowa

zainicyowała w r. 1894-ym próby z nawożeniem pszenicy w 105 miejscowościach, z których otrzymano 82 sprawozdania. W roku 1895-ym organizują się próby z nawożeniem jęczmienia i kartofli. Tu delegacya spotyka się z małém poparciem ze strony interesowanych; lecz to jéj nie zraża i pomimo niepomyślnych wyników na r. 1896—7 proponuje doświadczenia z łubinem na zielony pognój i mającym po nim nastąpić owsem, a na rok 1897 znowu próby z oziminą, w tém słusznémi przekonaniu, że sprawa roztrzygnięcia, czy w naszych warunkach ekonomicznych, więc przy niskich cenach zboża, a stosunkowo wysokich cenach nawozów, mogą się one opłacać, czy też nie, jest jedną z ważniejszych na czasie. Stwierdziwszy opłacanie się — otwiéramy nowe źródło dochodów dla rolników. Przekonywując się o ich niedziałaniu—ostrzegamy przed stratami.

Następnie, tematami często poruszanemi są: uprawa rozmaitych roślin i porównawcze próby z nowemi odmianami.

Dr. M. Natanson porusza sprawę jęczmienia browarnego, który ma stale dobrą cenę i widoki wywozu do Cesarstwa. Przy suchym klimacie kontynentalnym i niskim stopniu, na którym stoją gospodarstwa tameczne, nie da się wyprodukować dobry jęczmień browarniany, a konsumcya piwa szybko tam wzrasta.

P. A. Janasz przedstawił wyniki prób wykonanych w Dańkowie z rozmaitemi odmianami kartofli, p. S. Chełchowski takież z owsem, p. G. Mazurkiewicz znów porusza kwestyę uszlachetniania zbóż i zachęca, aby każdy rolnik, każda okolica zajęła się wyszukaniem dla siebie najodpowiedniejszych odmian, a następnie uszlachetnieniem tychże. Przez to małym nakładem można otrzymać duże zyski.

Osobna delegacya kultury torfowisk, powołana do życia z inicyatywy p. S. Dzierzbickiego, zajmowała się tą zaniedbaną u nas sprawą. Postanowiono rozesłać kwestyonaryusz do właścicieli torfowisk, ażeby z jednéj strony zebrać dane co do rozprzestrzenienia murszów w Królestwie, z drugiéj zaś — uzyskać na téj podstawie możność udzielania rady i wskazówek, w jaki sposób je zużytkować. Według danych statystycznych, przestrzeń torfowisk Królestwa wynosi do 200,000 morgów, głównie rozłożonych na północ Wisły i Bugu. Obszary te, do téj pory, są przeważnie nieużytkami.

Ciekawemi i pouczającemi tematami wzbogacają stale program posiedzeń sekcyi stacya doświadczalna w Sobieszynie komunikatami swego kierownika d-ra A. Sempołowskiego i warszawska stacya oceny nasion przez swego kierownika p. Zdzisława Zielińskiego. Pożyteczne te instytucye, sumiennie i wytrwale pracujące dla naszego rolnictwa,

nie są niestety jeszcze dosyć popularnemi w kołach rolniczych. Miejmy nadzieję, że sekcya rolna przyczyni się do poruszenia ogółu, aby należycie oceniał ich znaczenie, a przedewszystkiém pomyślał o tém, aby im dostarczyć większych środków. Kto zna bliżéj budżety tych stacyi, ten podziwiać musi żelazną wolę jéj kierowników, walczących z wielkiemi trudnościami braku grosza. Społeczeństwo nasze jest dość skłonne do ofiar na cele publiczne, może téż wkrótce dojdzie do tego przekonania, że nie ma większego dobrodziejstwa dla rolnictwa, jak stacye doświadczalne dobrze wyposażone, i zwróci swój grosz w tym kierunku.

Przechodzimy obecnie do drugiego szeregu prac charakteru praktyczno-rolniczego, a mianowicie do prac z zakresu hodowli. Jakeśmy to już zaznaczyli, warunki niepomyślne dla hodowli wpływają ujemnie na ożywienie sekcyi rolnéj w tym kierunku. A jednak wydaje nam się, że i na polu hodowli jest wiele do zrobienia w Królestwie i błędem jest jeśli rolnicy małą na nią zwracają uwagę. Racyonalniejsze żywienie, wyświetlenie pytania, czy lepiéj utrzymywać mniéj a dobrego inwentarza, czy téż, jak się to dotychczas u nas praktykuje, dużo a lichego, sprawa uregulowania mleczarstwa, zawsze jeszcze zmonopolizowanego przez niedbałych pachciarzy, wszystko to są kwestye doniosłe, a mogące być wyświetlonemi tylko przez zbiorowe usiłowania.

Najważniejszą bodaj potrzebą hodowli w Królestwie jest sprawa poruszona przez p. St. Dłużewskiego w r. 1896-ym: „Ujednostajnienie hodowli inwentarza w zależności od warunków miejscowych.“ Żałować niepomiernie należy, że praca tak pierwszorzędnego znaczenia nie została pomieszczoną w całości w „Pracach sekcyi.” Kto miał sposobność zwiedzania wystawy inwentarza, urządzonéj w Warszawie w roku 1897-ym, tego uderzyły niezawodnie, specyalnie w dziale bydła, pstra rozmaitość ras, obok stanu bydła, któren podciągnąć można pod kategoryę skutków złego żywienia. Ujawniało się to i w budowie zwierząt i w liczbach przedstawiających wydatki mléka większości obór. Rozmaitość ras dowodzi, że nasi ziemianie poszukują ciągle czegoś lepszego, kładąc główny nacisk na rasę, przypuszczając, że główne niepowodzenia wypływają z nieodpowiedniéj rasy.

Zasada to jednak zawodna: bydło z zachodu Europy sprowadzane znajduje u nas gorsze warunki utrzymania i każda rasa prędko się wyradza. Najpierw więc trzeba pomyśléć o odpowiedniéj paszy co do ilości i jakości, o wyborze indywiduów, a już kwestya rasy będzie dla nas wówczas drugorzędnego znaczenia.

Różnorodność ras utrudnia niezmiernie hodowlę w kraju, utrudnia nabywanie odpowiednich rozpłodników. Rolnik obeznany z wła-

ściwościami pewnéj rasy potrafi lepiéj pojedyńcze sztuki ocenić. Przytém, jeśli w pewnéj okolicy produkuje się bydło, konie i t. p. jednéj rasy, to kupiec tam chętniéj zagląda w tém przekonaniu, że dostanie znaczniejszą ilość towaru jednolitego.

Wiele miejscowości niemieckich może służyć za przykład zachęcający. Dzięki zorganizowaniu hodowli w jednym kierunku, Badeńskie produkuje tak piękne siementhalery, że wielu pomija Szwajcaryę i tam zaspakaja swe potrzeby. Dzięki przestrzeganiu téj zasady niewątpliwie i Galicya, a szczególniéj jéj Podkarpacie będzie mogło wkrótce zadowolnić nawet wymagającego hodowcę okazami téjże rasy, jak o tém świadczą wystawy przeglądowe, urządzane tego roku w Rymanowie i Nadwórnéj.

W niekorzystniejszych jeszcze warunkach od hodowli bydła, znajduje się u nas hodowla owiec. Jest to zwierzę domowe coraz mniéj popularne w Europie zachodniéj. Wełna, towar nieulegający zepsuciu i dający się łatwo przewozić, przychodzi z Ameryki i Australii i wycieśnia produkt miejscowy, europejski, a ulepszone sposoby fabrykacyi umożliwiają wyrób delikatnych tkanin nawet z pośledniejszych gatunków wełny, do jakich się zamorskie przeważnie zaliczają. Szczególniéj w ostatnich latach liczba owczarni u nas zmniejszyła się bardzo znacznie. Że jednak w warunkach gospodarstw ekstensywnych i dziś owca nie jest bez znaczenia, i że zastosowawszy tańsze żywienie i mniéj wybredne utrzymanie, dać może zysk, to przedstawił p. Fr. Górski w barwny sposób, na posiedzeniu z d. 18 czerwca 1896 r.

Według „Prac sekcyi", różowiéj przedstawia się nam przyszłość hodowli konia w Królestwie. Komisya remontowa wyraziła się bardzo pochlebnie o staranności, z jaką hodowla ta jest u nas prowadzona i postanowiła zaopatrywać część potrzeb armii w Królestwie, uważając konia miejscowego, posiadającego dużą przymieszkę krwi szlachetnéj, za bardzo odpowiedniego dla kawaleryi. Jakto p. Wł. Jelski w swym odczycie przedstawił, widoki dla ziemian są dobre, gdyż przeciętna cena konia wyniesie 300 rs. W chwili gdy p. Jelski te wiadomości sekcyi podawał, były to dopiéro projekty, nader ważne i ciekawe dla zebranych. Dziś zostały one w pomyślny sposób dla Królestwa roztrzygnięte i otworzył się przez to stały zbyt przynajmniéj dla 1,000 koni rocznie, co z konieczności wpłynie dodatnio na podniesienie ceny koni wogóle.

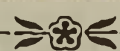
W powyższém zestawieniu przedstawiliśmy najgłówniejsze punkta działalności sekcyi rolnéj, zatrzymując się nieco dłużéj nad pracami związanemi z żywotniejszemi kwestyami rolnictwa naszego. Obok tego znajdujemy w dwóch wydanych rocznikach wiele innych ciekawych

i cennych prac jak „Bakteryologya i rolnictwo" dr. W. Kleckiego, „O zarazie trzody chlewnéj" p. Żórawskiego i t. p. Z téj bogatéj treści, ogarniającéj wszystkie gałęzi rolnictwa, widzimy, że wszystko, co na dobie, co obchodzi nasze ziemiaństwo, zostało tu poruszone. Na podstawie tych „Prac" stwierdzić możemy żywotność naszego społeczeństwa ziemiańskiego, zapał i dobrą wolę grona ludzi, którzy nie szczędząc trudów i zabiegów potrafili „Sekcyi" nadać ruch, który już dzisiaj się zapisał dodatnio w historyi naszego rolnictwa. Nie wątpimy, że ruch ten nieosłabnie, ale się pogłębi i rozszerzy. Na to jednak, aby móc w dalszym ciągu podołać pracom, których liczba i zakres zwiększać się muszą, sekcya winna dążyć do wytworzenia stałych organów wykonawczych, któreby, według jéj inicyatywy, zamiary w czyn wprowadzały. I w tym kierunku znajdujemy w „Pracach" wyraz dążeń sekcyi. Poruszano myśl założenia przez sekcyę pod Warszawą stacyi doświadczalnéj. Projekt ten jednak się nie urzeczywistnił ze względu na wysoką cenę czynszu dzierżawnego, jaką administracya dóbr Wilanowskich postawiła. Może dziś ten zamiar znajdzie warunki pomyślniejsze wobec uchwały sekcyi cukrowniczéj, która postanowiła otworzyć stacyę doświadczalną w Warszawie.

Józef Mikułowski-Pomorski.



Odrębność etniczna i cywilizacya.



1.

Każdy kto, zwiedzając zbiory antropologii przedhistorycznéj, staje po raz pierwszy przed kamiennemi toporkami, strzałami i nożami naszych praojców,—dziwnego zwykle doznaje wrażenia.

Nie chce się wierzyć że był okres w historyi ludzkości, w którym te pierwotne narzędzia stanowiły jedyny środek obrony i pomocy w życiu.

Mogłoby się to wydawać niemal bajeczném, nieprawdopodobném, tym, których obsługują potężne motory parowe i elektryczne, tym, którzy na rozkazy swoje posiadają te setne zdobycze dzisiejszéj techniki i przemysłu, urzeczywistniające to, co wieki dawne za fantastyczne utopje uważały...

Zwróciwszy się więc myślą w te minione wieki, kiedy pierwotni ludzie epok kamiennych uganiali się po przepastnych puszczach za olbrzymami państwa zwierzęcego i spojrzawszy późniéj na współczesnego Europejczyka, przyznać musimy, że niezmierzona przestrzeń dzieli ich od siebie.

Nie trzeba długiéj i głębokiéj analizy, aby wywnioskować, że potęgą która wydźwignęła człowieka na jego dzisiejsze stanowisko, jest ta długa, powolna ewolucya o bardzo złożonych czynnikach, którą na-

zywamy—cywilizacyą. Wśród ras, z których rodzaj ludzki się składa, proces kulturalny na szczyt wysunął naszą rasę białą.

Jest to fakt pewny i niezaprzeczalny; rozpatrując jednak bliżéj mechanizm postępu cywilizacyi, musimy się już *a priori* zgodzić, że wpływ jéj, tak potężny, w czémśkolwiek odbić się musiał na fizycznéj i psychologicznéj sferze tych ludów, które od wieków pod jéj działalnością zostają. Istotnie, przypuszczać należy że proces kultury musi miéć jakiś swój specyficzny wpływ zarówno na ustrój cielesny jak i myślowy dzisiejszych Europejczyków.

Byłoby więc, sądzę, rzeczą ciekawą naszkicować przypuszczalny obraz tego wpływu na narody europejskie, a w szczególności na te klasy społeczne wszystkich grup etnicznych, które przez swoją wysoką kulturę najwięcéj tym przypuszczalnym wpływom ulegać powinny.

2.

Jeśli mamy do rozstrzygnięcia pytanie, jakie są czynniki, które dzisiejszy stan kultury wytworzyły, daléj, jaki jest wpływ téj kultury, oraz czy jest on tak potężny, że mocą jego ludy rasy białéj potrafią i nadal utrzymać berło pierwszeństwa śród ras innych, to przedewszystkiém musimy zastanowić się nad kwestyą, jakie czynniki etniczne wchodzą w skład téj najwydatniejszéj rasy, oraz jaki jest najogólniejszy wpływ kultury na te właśnie czynniki.

Z pomiędzy wszystkich istot organicznych na pierwsze miejsce ewolucya wydźwignęła człowieka.

Gdybyśmy starali się teraz poznać jedną z najważniejszych sprężyn tego postępowego procesu doskonalenia się, to, zwróci naszą uwagę ten fakt, że historya ewolucyi rodzaju ludzkiego, po przez hierarchie istot organicznych, idzie równolegle z dziejami filogenetycznego rozwoju systemu nerwowego.

I zdaje się, że tak być musiało.

Z chwilą, kiedy w organizmie wyspecyalizował się przyrząd, służący za przewodnika i rozskładacza wrażeń przychodzących ze świata zewnętrznego,—stał się on ową nicią łączną, drogą porozumiewawczą, po któréj wrażenia ze środowiska życia przechodzą do organizmu i tam są przyjmowane, zapisywane i kompensowane przez odpowiednią jego reakcyę.

Stając się najważniejszym łącznikiem pomiędzy światem zewnętrznym a jednostką żyjącą, zagarnąwszy zaś w samym jego ustroju najdonioślejszą część administracyi organicznéj: — porozumiewanie się

jego z otaczającém środowiskiem, odczuwanie wpływów tego środowiska i reagowanie nań, — rzecz prosta, że rozwój i doskonalenie się systemu nerwowego stało się warunkiem ewolucyi całego organizmu.

Te więc istoty, które w szeregu postępujących coraz wyżéj form organicznych, coraz więcéj różniczkowały i rozwijały swój system nerwowy, powiększając jakościowo i ilościowo reakcye, zamieniane pomiędzy organizmem a środowiskiem, te, rzecz prosta, zajmowały naczelne, najwybitniejsze stanowisko i prowadziły, że się tak wyrażę, pochód ewolucyi.

Z chwilą, gdy okazuje się samowiedza, gdy dzięki odpowiedniéj organizacyi systemu nerwowego pojawiają się pierwsze oznaki umysłowości, kwestya rozwoju mózgu staje się kwestyą zwycięstwa dla wszystkich istot organicznych.

Zaczynając od rozrzuconych po całym ciele komórek nerwowo-czuciowych (jak u *Leuconides*), przechodząc przez układ węzłowy jak u stawonogich, kończąc na zupełnie zróżniczkowanym systemie nerwowym wyższych kręgowców, wszędzie widzimy wysiłek przyrody do jak najwyższéj doskonałości i rozwoju tego systemu.

I gdy układ nerwowy rozdziela się na sympatyczny i rdzeniowo-mózgowy, widzimy nową specyalizacyę wewnętrzną, zachodzącą już w samym mózgu: rozwój coraz większy przednich jego części, rządzących wyższemi funkcyami psychicznemi i tendencyę stałą do przewagi tychże funkcyi nad życiem roślinném organizmu.

Rozwój nadmierny przednich części mózgu, ewolucya przyśpieszona w wewnętrznéj budowie i masie materyi szaréj mózgu, coraz więcéj wzrastająca jéj ilość, a przez to samo możność nabywania i zatrzymywania coraz to bogatszéj i różnorodniejszéj sfery wrażeń, — warunkuje oddzielenie się od rzędu Naczelnych (*Primates*) najdaléj posuniętego w ewolucyi mózgowéj typu, którym jest człowiek.

Z pomiędzy zaś wszystkich ras ludzkich, najwyżéj w dalszym ciągu poprowadziła ewolucyę mózgu rasa biała; jak pomiędzy ogółem istot ożywionych człowiek dosięgnął najwyższéj doskonałości i najszczytniejszego miejsca w hierarchii istot organicznych, tak wśród ras ludzkich najwyższe miejsca zajęła rasa biała.

I nietylko apriorystyczne przemawiają za tém przypuszczenia, badanie anatomiczno-fizyologiczne potwierdza to zdanie.

Jakkolwiek z wielką ostrożnością przyjmować należy wszelkie rezultaty poszukiwań nad pojemnością czaszki, absolutną wagą mózgu, jéj stosunkiem do wagi ciała i t. d., odnośne do określenia wysokości

siły intelektualnéj [1]), przyznając może największą wagę wewnętrznemu ukształceniu mózgu, bogactwu zwojów materyi szaréj, która to cecha stanowczo przeważa u rasy białéj w porównaniu z innemi rasami, jednakże i pozostałe badania nad mózgiem i czaszką na korzyść białych zdają się przemawiać.

Według badań Mortona nad pojemnością czaszkową u ras ludzkich, otrzymujemy następujące dane:

Rasa		Ilość zmierzonych czaszek	Średnia pojemność w centymetrach sześciennych	Najwyższa pojemność	Najniższa pojemność
Biała		52	1,422	1,667	1,229
Żółta	Mongolskie typy	10	1,360	1,524	1,131
Żółta	Malajskie „	18	1,327	1,425	1,049
Czerwonoskórcy		147	1,344	1,638	983
Murzyni		29	1,278	1,540	1,065

Według Broca: dla Paryżan XIX wieku pojemność czaszkowa wynosi 1,559 centymetrów sześciennych, u Chińczyków i Mongołów 1,518, Polinezejczyków 1,500, Negrów afrykańskich 1,437, Hotentotów i Buszmenów 1,317, Australczyków 1,347, Pariasów (Kalkuta) 1,336.

Cyfry powyższe pokazują dość jasno zmniejszanie się pojemności u ras niższych.

Co się tyczy wagi mózgu to trudno jest w tym względzie powiedzieć coś pewnego, wszystkie bowiem dane są niepodatne do wyciągnięcia z nich ogólnych przeciętnych, z powodu, że są rozmaitemi metodami badane [2]). Z pewném przybliżeniem oznaczyć jednak można przeciętną wagę mózgu dla 1,669 Europejczyków na 1,357 gramów, dla 46 przedstawicieli rasy żółtéj na 1,309, 4 grama i dla 29 Murzynów na 1,234 gramy.

Dane te są jednak dalekie od prawdy, pochodzą bowiem z połączenia rezultatów badań przeróżnych autorów, niejedną metodą mierzących swoje serye. Bądź co bądź, ponieważ omyłka istnieje zarówno dla rasy białéj, jak żółtéj i czarnéj, możemy stwierdzić ogólnikowo fakt, że i pod względem wagi mózgu biali przodują zawsze.

---

[1]) Patrz w tym względzie szkic: „Mózg Bismarcka i mózgi wielkich ludzi“ „Tygodnik Ilustrowany“ N. 29 i 30 z lipca 1895.

[2]) Raz jeszcze uwydatnia się tutaj konieczność ujednostajnienia systemów pomiarowych w antropologii, gdyż różnorodność metod nie pozwalając przyrównywać wzajemnie seryj kilku badaczy, czyni ich pracę zgoła nieprodukcyjną.

Ponieważ zaś w każdym organizmie postęp, specyalizacya narządowa odbywa się zawsze z korzyścią danego organu na niekorzyść organów innych, gdyż podwojona, wzmożona praca specyalizującego się narządu wymaga też wzmożonego odżywiania się tego organu ze szkodą innych, zużywanie przezeń zdwojonéj ilości energii życiowéj na niekorzyść pozostałych organów,—to ewentualnie przypuszczać należy, że ewolucya psychiczna, łączna z ewolucyą mózgową, rozwinięte nadmiernie w rzędzie Naczelnych, odbić musiała swe piętno już na pierwszych antropopithekach.

Ewolucya mózgu szła na niekorzyść ewolucyi muskularnéj i ciągnąc się daléj poprzez wykształtowanie się rodzaju ludzkiego w kilka odrębnych ras, w białéj, przeważającéj ewolucyę umysłową, uwydatniła się w dalszym ciągu zubożeniem fizycznėm, muskularnem, téj rasy w porównaniu z rasami innemi.

Wyższe intelektualnie, niższe swą siłą fizyczną, kierujące kulturą świata narody Europy, potrafiły tą jedną tylko mocą rozumu, przebiegłością i umiejętnością roztoczyć swój wpływ na całą kulę ziemską, podbijając stokroć silniejsze fizycznie narody ras innych.

Widzimy więc, że ewolucya systemu nerwowego, szczególnie od chwili powstania najważniejszego tego układu narządu — mózgu, idzie równolegle z ewolucyą istot organicznych, warunkując ją i poniekąd właśnie o owéj ewolucyi decydując.

W rodzaju ludzkim, począwszy od rzędu Naczelnych, ewolucya mózgu z jeszcze większą przejawia się siłą, decydując bezwzględnie o berle hegemonii i przewagi najwyższéj wśród wszystkich istot organicznych.

Tu spotykamy się po raz pierwszy ze zjawiskiem podwójném: z rozwojem niezmiernie silnym mózgu i czynności psychicznych, ale z jednoczesném zubożeniem układów mięśniowych. Zdaje się, że mózg zająwszy naczelne w organizmie stanowisko, rozwija się kosztem wszystkich innych narządów, przemyślnością swoją mając im dostarczyć odpowiedniéj kompensaty.

3.

Zanim przystąpimy do zanalizowania jakości wpływu i istoty cywilizacyi w stosunku do ras zamieszkujących Europę, zobaczmy pokrótce czém są te szczepy rasy białéj.

Nie wchodząc bynajmniéj w rozstrzyganie kwestyi monogenetycznego czy też filogenetycznego pochodzenia człowieka, oraz w rozpa-

trywanie całego ogromu faktów z kwestyą tą wiążących się, przyjmujemy narody Europy jako rodową całość z trzech zasadniczych typów powstałą: z bruneta podłużno-głowego (*homo Mediterranaeus*), z blondyna podłużnogłowego (*homo Europaeus*) i z bruneta krótkogłowego (*homo Alpinus*) zamieszkujących Europę, zróżniczkowanych następnie na przeróżne szczepy.

Rozsiadłszy się w téj części świata, któréj umiarkowany klimat najlepiéj wpływał na ich ewolucyę, typy białe jakby w przewidywaniu przyszłych zaborów przygotowywały swe usposobienie fizyczne tak, że w każdéj strefie zaaklimatyzować i rozwijać się mogą.

Jak najdaléj sięgnąwszy w mrok dziejów rodzaju ludzkiego, zawsze spotykamy typy o dwu rodzajach czaszki: podłużnogłowéj i krótkogłowéj, daléj typy ras tak między sobą zróżniczkowanych, o tak odległéj konformacyi fizycznéj, że stanowczo przychylić się trzeba do teoryi przypuszczającéj powstanie człowieka od kilku typów pierwotnych.

Przypatrzywszy się baczniéj, możemy, zdaje się, owe różnice krańcowe w konformacyi czaszki, a dzielące ludzkość w łonie każdéj rasy na typy krótko- i długogłowe, odnaléść już u małp antropoidalnych. Przedewszystkiém należy tu ustalić to zasadnicze pojęcie, dowiedzione przez ogólny wynik badań ostatniéj doby, że żadna z współczesnych małp antropoidalnych nie może być uważana za bezpośredniego protoplastę człowieka.

Pomiędzy temi typami, które dziś znamy (goryl, szympans, orangutang) a człowiekiem na najniższym nawet stopniu jego rozwoju znajduje się luka, którą miał wypełniać *anthropopithecus* Mortillet'a, ten, którego niezręczną dłonią zostały jakoby obrobione krzemienie i kwarcyty z doliny Tagu [1]), oraz krzemienie znalezione przez Bourgeois w Thenay, a którego wyższą formą, już niemal zupełnie człowieczą, ma być świéżo odkryty *Pithecantropus erectus*, znaleziony w nowéj trzeciorzędowéj lub może najstarszéj czwartorzędowéj warstwie, na Jawie, przez dr Dubois [2]).

Z tych czy im podobnych form rozwinął się właściwy rodzaj ludzki, pierwszy śród rzędu Naczelnych.

Gdy spojrzymy na dzieje tworzenia się narodów Europy, widzimy ciągle następujące po sobie uwarstwienia bądź to długogłowców, bądź to krótkogłowców, którzy łączyli się ze sobą, dawali życie typom mieszanym, do których dochodziły znowu zastępy szczepów jednego lub drugiego typu.

---

[1]) Dictionnaire des Sciences Anthropologiques str. 840.

[2]) Patrz w téj mierze moje „Notatki antropologiczne“ „Wisła“ tom X zeszyt 3, 1895 r. (str. 630 i następne).

Dzisiaj dzięki paletnologii, nauce o człowieku kopalnym, mamy coraz dokładniejsze wiadomości o typach ludzkich, które od najdawniejszych epok geologicznych zaludniały ląd naszéj staréj Europy.

Badamy je bądź to w narzędziach, których używały, bądź to w pozostałościach kostnych: czaszkach, kościach długich, bądź to nakoniec w cyklopowych budowlach (dolmenach, menhirach, budowlach nawodnych), w grobowcach rzędowych, lub nawet w nagromadzeniach odpadków, w smieciskach, które dziś nieoszacowaną dla nauki mają wartość (*Kjoekkenmoeddings*).

Tu staje przed nami słynna, nieskończona, może po wieczne czasy sporna kwestya człowieka trzeciorzędowego, o ile się zdaje, na korzyść tych, co przypuszczają istnienie rodzaju ludzkiego w epoce trzeciorzędowéj, rozstrzygnięta, od czasu stwierdzenia odkryć Bourgeois przez Ribeirę i Ramesa.

Jeśli więc rzucimy okiem na dzieje tych szczepów, które kolejno władały Europą, to zaczynając od spornych czasów istnienia człowieka trzeciorzędowego, widzimy następujące po sobie poniższe typy.

Od problematycznéj epoki, kiedy praojciec rodu ludzkiego ciosał krzemienie z Thenay i doliny Tagu, epoki w któréj dotychczas nie znaleziono stanowczo zdefiniowanych pozostałości kości ludzkich, musimy przejść odrazu do epoki czwartorzędowéj.

W pierwszym jéj peryodzie, w epoce szelleeńskiéj widzimy słynną czaszkę z Neanderthal, wyraźnie długogłową, ze wskaźnikiem głównym 72. Obok niéj, z téjże epoki pochodzi niemniéj znana szczęka z Naulette (Belgja), tém się wyróżniająca, że brak w niéj małego kościstego wyrostka (*apophysis geni*), do którego przyczepia się mięsień języka.

Ponieważ wyrostek ten wyrobił się wskutek wzmożonéj czynności języka przy posługiwaniu się mową członkowaną, można przypuszczać albo brak zupełny, albo nader słabe rozwinięcie mowy u rasy Neanderthalskiéj.

Pomijam inne, późniéj odkryte czaszki (z Eguisheim, Brüx, z Denise około Puy...) i przechodzę do epoki następnéj zwanéj Mustjerską (od stacyi krzemiennéj Le Moustier w Dordogne). W epoce téj obok charakterystycznych narzędzi spotykamy czaszkę z Olmo (w Toskanii) o wskaźniku 71, a więc również dolichocefaliczną.

Następna epoka Solutreńska nie posiada szczątków ludzkich, widzimy tylko pewne udoskonalenie formy narzędzi krzemiennych. Ostatnia tego okresu epoka Magdaleńska oprócz bogatéj liczby czaszek daje nam szkielet znaleziony w Laugerie-Basse, którego czaszka posiada znowu długogłowy wskaźnik 74,8.

Niektórzy autorowie, jak Hamy, Quatrefages [1]), chcą do téj epoki zaliczyć pewne czaszki krótkogłowe (z Furfooz). Mortillet dowiódł jednak, że narzędzia wraz z czaszkami temi znalezione należy odniéść do epoki późniejszéj, są to bowiem typy magdaleńskie, przerabiane (t. j. poprawiane przez tych, co je znaleźli jako pozostałości poprzedników) i odnoszące się do następnéj ery, zwanéj Robbenhauzeńską. Do téj więc epoki odnoszą się czaszki krótkogłowe z Furfooz, Aurignac i Cro-Magnon.

Cały więc pierwszy okres krzemienny, tak zwany paleolityczny, ze swemi czterema epokami: Szelleńską, Mustjerską, Solutrenską i Magdaleńską zajmują rasy długogłowe.

Krótkogłowcy pojawiają się istotnie z nastaniem drugiéj epoki krzemiennéj, zwanéj n e o l i t y c z n ą.

Z początkiem tego okresu zjawiają się krótkogłowi przybysze [2]); rasa ta przynosi z sobą zwyczaj gładzenia kamienia, garncarstwo, rolnictwo, praktyczniejsze metody hodowli zwierząt domowych, zwyczaj grzebania umarłych i budowania pomników megalitycznych. Z nią zaczyna się życie osiadłe.

Badając pozostałości ludzkie z epoki neolitycznéj, widzimy przed sobą długogłowców i krótkogłowców.

Pierwsi są potomkami dolichocefalów epok paleolitycznych; typem ich jest czaszka starca z Cro-Magnon i jéj podobne, których wskaźnik główny wynosi 73.4.

Ale niezadługo zjawia się nowa imigracya ludności o czaszkach okrągłych, wyraźnie brachycefalicznych, poprzedniczka późniejszych Celtów, która, pchając przed sobą dawniejszą rasę długogłową ku zachodowi, łączy się z nią, daje znowu typy mieszane, ulegając ostatecznie wpływowi ostatniéj imigracyi, rasy dolichocefalicznéj, idącéj od północo-wschodu, wysokiéj o jasnym typie.

Nakoniec, w czasach historycznych widzimy w Europie zachodniéj idące po sobie trzy typy.

Pierwszy zwany iberyjskim, po którym nastąpił celtycki, różniący się od poprzedniego, długogłowego, swoją krótkogłowością, uwłosieniem ciemném, chociaż nie tak ciemném jak Iberyjczyków. Nakoniec ostatni przybyli Gallowie, dolichocefale, o włosach i oczach jasnych, wzroście wysokim.

Wszystkie te typy mieszały się ze sobą, dawały życie coraz to bardziéj skomplikowanym etnicznie jednostkom, dzieląc się między sobą

---

[1]) Hamy et Quatrefages. „Crania ethnica.“ Paris, 1873.

[2]) A. Hovelacque et G. Hervé. „Precis d'Anthropologie“, str. 367. Paris, 1887.

coraz daléj różniczkującemi się językami i zwyczajami, grupując się w różnych dzielnicach, gdzie zaczynając każdy swój historyczny żywot, wytwarzały tak zwane narodowości, podziały dowolne, oparte jedynie na historycznych i lingwistycznych różnicach, nie zaś na podstawach anatomo-fizyologicznych podobieństw.

Jeśli przejrzymy teraz wskaźniki główne ważniejszych współczesnych typów etnicznych rasy białéj, to zobaczymy, z jakiéj mieszaniny, z jakiéj metysacyi szczepowéj powstały one, jak plączą się i mieszają charakterystyczne cechy odróżniające.

Wskaźniki te przedstawiają się jak następuje:

Gallowie (z epoki żelaza)	77
Normandowie	79
Baskowie francuscy	80
Skandynawowie	74
Szkoci	76
Anglicy	77
Brukselczycy	77 do 78
Prusacy	79
Finnowie północni	77 do 80
Rosyanie	81
Włosi	81 do 83
Polacy galicyjscy	84.4
Hiszpanie	78
Grecy	82
Turcy	79 do 83
Holendrzy	79

Jak więc widzimy, krótkogłowcy łączą się z długogłowcami w przeróżnych stosunkach.

Te różnice są łatwe do zrozumienia, jeśli weźmiemy pod uwagę, że podczas formowania się etnicznego składu Europy w pewnych jéj częściach osiadały typy bardziéj podłużnogłowe, w innych przeciwnie krótkogłowe. Ciekawszém atoli jest spojrzéć chociażby bardzo powierzchownie na wskaźniki jednéj politycznie całości, jaką przedstawiają przypuśćmy Francuzi, na pozór dość jednolici etnicznie:

Celtowie (departamenta środkowéj Francyi) . . .	84.9 (Collignon)
Kymrowie (departamenta północnéj Francyi) . . .	79.7 (Collignon)
Lotaryńczycy	85.3 (Collignon)
30 południowców (Basses-Pyrénées)	78.2 (Collignon)
309 Owerniaków	84.5 (Durand de Gros)
423 Bretonów z pobrzeża	83.9
443 „ z wnętrza kraju	84.9 (Guibert)
47 Basków francuskich	83.1 (Velasko)

Tymczasem 1,000 paryskich czaszek z katakumb, z końca wieku XVIII-go daje przeciętną 79.6. Jeśli jednak rozłożymy tę cyfrę na jéj składowe części, otrzymamy wskaźniki idące od 68 (1 przypadek), 100 czaszek z wskaźnikiem 78, 94 z wskaźnikiem 80, 61 z wskaźnikiem 83 i 25 z wskaźnikiem 87.

Jak więc widzimy, bardzo dużo elementów składa się na ową mesaticefaliczną przeciętną, która sama przez się mówi już o tém, że na powstanie jéj zarówno typy krótko-, jak i długogłowe złożyć się musiały.

Druga ważna cecha charakterystyczna: kolor oczu i włosów, zarówno jak i wskaźniki czaszkowe, przeróżne skupienia w każdéj grupie narodowéj wskazują:

	Blondyni	Bruneci
Anglia	70.5	29.5
Irlandya	70.3	29.7
Niemcy	69.5	30.5
Austrya	19.79	23.17
Szwajcarya	11.1	25.7
Polacy w Galicyi . .	70.2	29.8
Polacy w Królestwie .	67.9	32.1 (według moich badań)

I barwy włosów są więc zmieszane. Typów czystych nie ma, w każdéj narodowości widzimy typy tak długogłowe, jak i krótkogłowe, typy jasne zarówno jak i ciemne.

Szczepy etniczne, które dziś zaludniają Europę, są więc w najwyższym stopniu zmieszane. I tak być musiało. Idące po sobie napływy ras przeróżnych, zwalczając jedne drugie łączyły się ze sobą, zwyczaj exogamii dopomagał także do krzyżowań.

Jest to zresztą konieczne i powszechne prawo przyrody; endogamia wytwarzałaby w końcu zubożenie rasowe, z drugiéj strony jest niemożebną dla hord podbijających, które chcąc nie chcąc krew swą z zawładniętemi łączyć muszą.

Świéżo F. Regnault doskonale rozwinął i uzasadnił powyższe twierdzenie w prawie, któremu, jak najliczniejsze fakta okazują, podlega cały świat istot organicznych.

Prawo to głosi [1]):

1) Wszystkie organizmy dążą do niepodobieństwa wzajemnego płodzących.

2) Im wyżéj stoi organizm, tém różnice między płodzącemi są większe.

---

[1]) F. Regnault. „Les effets de la consanguinité“ w „Revue scientifique“. Tom LI; I sémestre, N. 8 i 9, Fevrier, Mars 1895.

3) Im wyżéj stoi organizm, tém więcéj krzyżowanie i exogamia topograficzna stają się prawem koniecznėm i poszukiwaném, endogamia zaś wyjątkiem coraz rzadszym.

4) Jeśliby endogamia była prawidłem, to wskutek, z jednéj strony, podobieństwa rodziców, a ewentualnie wskutek pochodzenia obu z jednego terytoryum życia, podobnych cech i własności, z drugiéj strony wskutek nadmiernego rozwoju tychże cech przystosowanych jedynie do danego miejsca i środowiska bytu, wynikałoby to, że dana istota przeniesiona bądź przypadkiem, bądź z konieczności w inne środowisko, albo-by odrazu zginęła, albo-by nie mogła walczyć o byt z istotami zamieszkującemi to nowe środowisko.

W interesie więc organizmu, w konieczności przystosowywania się do różnych środowisk leży exogamia topograficzna, która przelêwa w organizm możność przebywania w kilku środowiskach (ojca, matki, dziadków i t. d.).

Krzyżowanie zaś takie jest zawsze płodném i typu zwanego hybrydyzmem eugenezycznym, t. j. płodnym bezgranicznie (Broca).

Europa była więc niejako takim polem próbném wszelakich rasowych skrzyżowań, miejscem, na którém mieszali się przedstawiciele częstokroć wrogich sobie szczepów, ulegając bezwiednie prawom „amalgamacyi rasowéj” [1]).

Nasze dzisiejsze narody Europy, to metysy w najróżnorodniejszych stopniach, bezrasowe (w ścisłém tego słowa znaczeniu), zbiorowe typy o osłabionych przez ciągłe krzyżowania tendencyach przechowania cech rasy.

Wzajemna metysacya dwóch ras, ciągłe mieszanie się wywołuje w końcu zjawisko pierwszorzędnego znaczenia. Oto łączenie się wielorasowe daje typy pośrednie, u których wszelkie wybitne, znamienne najważniejsze cechy fizyczne, odróżniające każdą rasę, w zmieszaniu znoszą się wzajemnie i zanikają powoli. Metys jest zawsze przeciętną obu ras wytwarzających go i najwybitniejsze nawet cechy właściwe każdéj z obu ras rodzicielskich występują w nim słabiéj wskutek wzajemnego antagonizmu.

Rezultatem tego zjawiska jest zobojętnienie typu fizycznego danéj rasy i wytwarzanie się typów nowych, bezbarwnych, pośrednich.

W rasie białéj fakt ten uderza przedewszystkiém, jak to zaraz bliżéj rozpatrzemy.

Zauważyć jednak należy, że rasa biała, wybiwszy się na naczelne miejsce wśród wszystkich ras ludzkich siłą swéj ewolucyi mózgowéj,

---

[1]) Gumplowicz. „La lutte des races.“ Paris, 1893, str. 258—9.

specyalizując się w rozwoju nadmiernym tego organu, wydatkowała i wysilała cały zasób swych sił żywotnych w tym tylko kierunku, dążąc do otrzymania jaknajwiększéj ilości osobników o najwięcéj rozwiniętym mózgu, a przez to najbogatszych umysłowo. Proces ten wytwarzał hyperprodukcyę jednego organu ze szkodą drugich. Istotnie, okazuje się tu nadmierna praca fizyologiczna w kierunku wzmożenia i rozwinięcia systemu nerwowego, a wśród niego mózgu głównie, przy zastoju ogólnych cech fizycznych, ujawniających się pewném zmniejszeniem wzrostu, uboższym systemem mięśniowym, cieńszym i delikatniejszym kośćcem i t. d.

Z jednéj więc strony przez metysacyę, z drugiéj przez nadmierną jednostronną ewolucyę organizmu, co cały nakład pracy i energii życiowéj wkłada w rozwój jednego tylko organu, narody europejskie rasy białéj zobojętniały w swéj fizycznéj sferze, zatraciły powoli swe charakterystyczne cechy etniczne, dając typy nieokreślone, których cała energia zwróciła się na sferę intelektualną.

Ten proces ewolucyi wewnątrz organicznéj, zużywający wszystkie najlepsze siły istoty, musi wytworzyć powolne zobojętnienie cech rasowych zewnętrznych, nie służących już w doborze, ani decydujących w walce o byt.

I cała energia, cały zasób sił organizmów zwrócił się w tym jednym kierunku,—dobór niegdyś mięśni, wartości siły i szerokości bark, zamienił się na dobór najwyżéj uzdolnionych umysłowo.

O ile kiedyś zwyciężali w walce o byt ci, co największemi mogli poszczycić się mięśniami, o tyle dziś wygrywają tylko ci, co najwyżéj są intelektualnie rozwinięci.

A taki właśnie dobór w sferze umysłowości, dobór, w którym nie siłą indywidualną mięśni, ale pośrednio, przez wytworzone sztuczne środki, wypracowane potęgą umysłowości, jednostka zwycięża jednostkę, taki dobór w sferze intelektualnéj zachodzący, jest zjawiskiem, które warunkuje istotę cywilizacyi.

4.

Nie wchodząc bynajmniéj w analizowanie przyczyn i dróg, jakiemi rozwijała się i kształtowała cywilizacya europejska, taka, jaką dzisiaj widzimy, zobaczmy jedynie, jaki wpływ wywrzéć ona może jako środowisko życia, na sferę czysto fizyczną przedewszystkiém, a następnie i psychologiczną jednostek i tłumów żyjących pod jéj panowaniem. Cywilizacya dzisiejsza, pomimo całego bogactwa swych udoskonaleń

i udogodnień życia, przedstawia się prawie jako środowisko sztuczne, anormalne, równoważne kulturze forsowanéj roślin cieplarnianych.

Normalném jest życie dzikiego, życie wśród puszcz i lasów, życie wieśniaka na niwie, na łonie przyrody, bez tych ograniczeń i skrępowań, jakie narzuca cywilizacya.

I od tych właściwych ustrojowi naszemu warunków życia do bytu człowieka wśród zgiełku miast, jakie cywilizacya wytworzyła — przepaść cała.

Tam szerokie przestrzenie pól i lasów, życie wśród najrozmaitszych środowisk, pod wpływem bezpośrednim, natychmiastowym przyrody w jéj tak różnorodném zróżniczkowaniu się fizyograficzném.

Co robi tymczasem cywilizacya?

Powolne, coraz daléj idące zmniejszanie się przestrzeni wolnéj, wycinanie drzew, kultura ziemi, z rolnéj stająca się coraz bardziéj przemysłową, zrównoważenie się warunków klimatycznych i fizycznych życia przez coraz większy zanik przestrzeni wolnéj, coraz gęściéj zabudowywanéj, w coraz silniejszéj tendencyi do przekształcenia całéj Europy w jedno wielkie, potworne miasto; ciągłe zmniejszanie się ilości czasu zużywanego na wytwórczość przemysłową przez coraz doskonalszą technikę pracy.

Dziś, dzięki jéj, maszyny skracają czas wytwórczości do niebywałych granic.

Dziś człowiek naszéj cywilizacyi jest, jak powiada prof. Janżuł, „człowiekiem ekstensywnéj ekonomii czasu [1]), wykonywającym wszystko błyskawicznie, dzięki setnym wynalazkom, co długotrwałą pracę ręczną zastępują.

I jako wynik tego udoskonalenia, pojawia się także zmniejszenie obszaru przestrzennego pracy. Dzisiaj fabryki (np. przędzalnie) zajmują o dziesiątą część mniéj miejsca, niż przy dawniejszych metodach produkcyi. Domy dawniéj parterowe, a stąd na ogromne rozciągane przestrzenie, dziś pną się w górę. A zatém idzie, z jednéj strony, coraz większe zacieśnienie, coraz gorszy stan warunków życia, przeciwko którym nie zawsze zwycięsko walczy hygiena, z drugiéj — przy ciągłéj konkurencyi powstawanie coraz większéj ilości fabryk i zakładów przemysłowych, wydzierających cal po calu pole z pod pługa i tam, gdzie niegdyś lasy były, stawiając szeregi dymiących kominów fabrycznych.

Rezultatem tego stanu rzeczy jest przedewszystkiém gorączkowe, wycieńczające życie w ujednostajnionych sztucznie środowiskach, które bez względu na szerokość geograficzną miejsca coraz więcéj jedno-

---

[1]) Prof. I. I. Janżuł. „Iz psichołogii narodow". Odesa, 1895.

licie na zamieszkujące w nich osobniki wpływać poczynają, daléj zaś już jako rezultat tych właśnie jednolitych środowisk pojawia się ujednostajnianie powolne istoty fizycznéj, a może i psychologiczniéj żyjących w nich osobników.

Zwierzę różniczkuje się i przystosowuje do środowiska, które nań przedewszystkiém swój wpływ wywiéra, człowiek zaś zmieniwszy i ujednostajniwszy swe środowisko, zastosowuje się do niego późniéj.

Ujednostajniwszy warunki bytu, ujednostajnia się dopiéro teraz.

I tu tkwi cała różnica pomiędzy wpływem środowiska normalnego na zwierzę, a wpływem środowiska kulturalnego na człowieka. „Środowisko przetwarza zwierzę, człowiek przetwarza przedewszystkiém środowisko" [1]).

Zastanówmy się chwilkę nad terminem, „ujednostajnione środowisko". Przez powyższe określenie rozumiéć należy całokształt tych sztucznych warunków życia, jakie cywilizacya dzisiejsza stwarza i stwarzać będzie coraz daléj. Jest to więc przedewszystkiém ustrój miejski, osadowy, miasteczkowy nawet. Życie Anglika, mieszkańca pierwszéj lepszéj osady fabrycznéj, nawet wśród wsi położonéj i mieszkańca naszego Zawiercia lub Sosnowca nie wiele się różni. Ten sam świst maszyn i stuk młotów go budzi, temi samemi dymami i wyziewami oddycha, taka sama zubożała krew w żyłach jego płynie, takież same anemiczne ma dzieci. Nawet wygląd nie wiele się różni: w bluzie robotniczéj, zasmolony, spracowany, wybladły Anglik i Polak są tylko robotnikami.

Toż samo powiedziéć można o proletaryacie miejskim, o sferach urzędniczych i inteligencyi miejskiéj.

Wszędzie i zawsze miasto, świetniéj czy gorzéj zabudowane, jest zawsze miastem, daje te same mniéj więcéj impulsy i te same wrażenia.

Miasto japońskie, do którego dotarła z całym swym hałasem i wrzawą cywilizacya europejska i te typowo miejskie osady robotnicze Ameryki północnéj, Anglii i Belgii niewiele różnią się między sobą.

Cały ten ruch współczesny dąży do coraz szerszego ugruntowania życia miejsko-osadowego. Rolnictwo jest niemal w przesileniu, przemysł i handel jedynie króluje.

Można więc z zupełném prawdopodobieństwem prorokować coraz szerszy wzrost ustroju miejskiego w świecie cywilizowanym dni dzisiejszych, a co zatém idzie, coraz większe ujednostajnianie się sztucznych warunków bytu.

---

[1]) Lester F. Ward. „The psychic factors of civilisation." Boston; 1893.

Ujednostajniwszy zaś środowisko, człowiek coraz więcéj uczuwać zacznie, jak już może uczuwa, tendencye do fizycznego równoległego temu zjawisku ujednostajnienia, a tendencya funkcyonalna jest pierwszym stopniem na drodze do asymilacyi.

Owo ujednostajnienie fizyczne będzie zresztą prostém przystosowaniem się do nowych warunków bytu, w których coraz mniéj mięśni, a coraz więcéj mózgu będzie potrzeba. Mięśnie zastąpią stal, para i elektryczność, a kierować będzie niemi jedyny władca cywilizacyi dzisiejszéj—rozum, tak jak niegdyś w puszczach epoki krzemiennéj kierował instynkt i siła fizyczna, brutalna.

W tych więc dalekich dniach przyszłości, mięśnie jako organy szczątkowe coraz więcéj będą zanikać, a rozwijać się będzie ciągle najwięcéj funkcyonujący organ—mózg.

Owo zaś osłabienie rozwoju systemów mięśniowych i kostnych, które zawsze wspólnie kroczą, pociągnie za sobą zanik większości tych cech charakterystycznych, które dziś za klasyfikacyjne nawet służą cechy.

Jednocześnie ujednostajnienie fizyczne i jednolitość środowiska wywołują też zdwojoną poniekąd potrzebę metysacyi. Wobec ogólnego zrównoważenia się środowisk życia, najmniejsze różnice mogące wpłynąć na wzmożenie rasy, na wzmocnienie coraz biedniejszéj krwi, wpłynęły na powiększenie się exogamii, które ma to jeszcze dobre do siebie, że pozwala wytworzonym wskutek krzyżowania istotom aklimatyzować się w kilku naraz środowiskach bytu [1]).

Z jednéj strony wzmożona metysacya, z drugiéj—rezultat jéj pójście metysów po drodze pośredniéj, zanik wybitnych rasowych cech fizycznych, coraz więcéj rozprzestrzeniający się pod wpływem zrównoważenia powszechnego środowiska życia, — wszystko to wytwarza osobniki, w których zanikają stanowcze cechy charakterystyczne, — a pozostaje zobojętnienie rasowe, którego bezpośrednim wynikiem będzie łatwość przystosowania się do każdego środowiska, płodność i życie w każdém skrzyżowaniu.

A rezultatem znowu téj wielkiéj łatwości przystosowywania się pojawia się możność życia na wszystkich szerokościach, możność konkurencyi z przystosowanemi w danych okolicach od setek wieków rasami autochtońskiemi.

Zresztą, dzięki olbrzymim postępom naszéj cywilizacyi, człowiek ras europejskich, gdy nie może zwalczyć — „pomaga przyrodzie", nie

---

[1]) Regnault. „Les effets de la consanguinité." Rev. Scient. Mars, 1893, N. 9, I sem., str. 267.

mogąc przystosować się do środowiska, zmienia go radykalnie, przetwarza zaś do tego stopnia, że formuje zupełnie nowe warunki życia dla siebie dogodne, a które mogą stać się zabójczemi, w swéj nagłéj nowości i różnicy z dawnemi dla ras autochtonów, od wieków tam przebywających.

Za przykład służyć może Algier.

Przed dziesięciu laty wszyscy koloniści wymierali w krótkim czasie po osiedleniu się. Gdy jednak nie mogli przystosować się do zabójczych dla nich warunków życia, zmienili grunt, zmienili klimat [1]), niwelując, to znowu podnosząc poziom, wycinając, to znowu zasiewając lasy, tak dalece, że kiedy dawniéj śmierć dziesiątkowała ich szeregi, dziś liczba urodzeń znacznie przewyższa liczbę zgonów, ale za to krajowcy giną, wymierając z roku na rok [2]).

Dzięki więc postępom techniki, dzięki postępom nauki, hygieny i medycyny, rasy białe będą mogły w niedalekiéj przyszłości żyć zupełnie bezpiecznie i z pożytkiem dla siebie na wszystkich szerokościach, pod wszystkiemi strefami [3]).

Warunki bytu dni dzisiejszych i przyszłości wytwarzają więc, powoli osobniki, metysy z ras dzisiejszych powstałe, mające we krwi swéj ślady najprzeróżniejszych skrzyżowań, pod wpływem warunków środowiska dające typy zupełnie nowe, przeciętne, wytwarzające się równocześnie we wszystkich całościach politycznych, zwanych narodami współczesnemi, a które wytworzone w łonie przeróżnych narodów, mają więcéj wzajemnych podobieństw, aniżeli istnieje podobieństw między niemi i ich najbliższemi rodakami. Są to te typy nieokreślone ludności miejskiéj miast całego świata cywilizowanego.

Każdy, kto się bezpośrednio stykał z badaniami antropologicznemi, wié aż nadto dobrze, jak ludność miejska wcale nie maluje charakteru etnicznego danego narodu. A ta ludność staje się coraz powszechniejszą i do niéj przyszłość należy.

Rozpatrując statystyki antropologiczne, jeśli tylko trafimy na badania dokonywane w mieście, osadzie lub miasteczku, jakkolwiek i wieś coraz więcéj traci swe mniéj więcéj czysto rasowe cechy w większych tylko ilościach przeważające, — zastanawia nas fakt olbrzymiego procentu typów mieszanych.

Nie mówiąc już o kształcie czaszki, do któréj późniéj wrócę, wi-

---

1) Zaborowski. „L'avenir des races humaines". Rev. Scientif., tom L, N. 25 i 17. Décembre, 1892, str. 781.

2) Ricoux. „Le démographie figurée de l'Algérie." Paris, 1880.

3) A. Fouillée. „L'avenir de la race blanche."

dzimy włosy ciemne, lub jasne przy ciemnych oczach i odwrotnie, oczy nader często mieszane, t. j. jedno oko inne, drugie inne, lub zielone, wzrost mierny, wskaźnik piersiowy (objętość klatki piersiowéj w stosunku do wzrostu) niewielki.

Człowiek dni przyszłych będzie typem, na którego wytwór złożyło się nietylko krzyżowanie, ale przystosowanie do środowisk, dające niemal nową rasę, którą, jak to wkrótce zobaczymy, będziemy mogli nazwać: „brachycefalami-mieszańcami cywilizacyi".

Rezultatem więc najważniejszym wpływu cywilizacyi na cechy fizyczne ludów europejskich jest: „zastój charakterystycznych cech rasowych, ginących wskutek ujednostajnienia warunków bytu z jednéj strony, metysacyi — z drugiéj, pójście organizmu po drodze pośredniéj, a stąd płynąca tendencya i łatwość do wszechmiejscowéj aklimatyzacyi."

5.

Znajdując się w daném środowisku, każdy organizm żyjący zamienia się z tém środowiskiem w pewną ilość bodźców i reakcyi, mówiąc najogólniéj i sprowadzając zjawiska życiowe do najprostszego szematu. Te zamiany, wywołane działaniem środowiska na jednostkę i odpowiedzią téj jednostki na owe bodźce, w grupie etnicznéj (czy organicznéj) wywołują pewne ustalone procesy zamienne, uwarunkowane rodzajem środowiska i fizyczną (a późniéj i psychologiczną) konsystencyą organizmów.

Znajdując się w mniéj więcéj jednolitych warunkach bytu, dana grupa etniczna reaguje na wpływ owego wspólnego środowiska, w mniéj więcéj jednolity sposób.

Istotnie, jeśli osobnik *A*, otrzymawszy z danego środowiska bodziec *b*, odpowie nań przez reakcyę *c*, zależną od siły bodźca, natury środowiska i siły indywidualnéj osobnika, to osobniki *B*, *C*, *D*, *E*...., które będą jednocześnie z tegoż środowiska otrzymywać bodźce równoważne z *b*, a więc b_1, b_2, b_3... odpowiedzą nań reakcyami c_1, c_2, c_3..., w których wyznacznik natężenia, t. j. $_1$, $_2$, $_3$ ... będzie wyrazem indywidualnéj siły jednostki, treść zaś ogólna reakcyi będzie podobną...

Żyjąc więc w sferze danych podobnych warunków życia, dana grupa etniczna podlega mniéj więcéj równomiernym wpływom wspólnego środowiska, wpływom, które, wywołując podobne działanie, wywołują też mniéj więcéj równomierne oddziaływanie, wchodząc w psy

chologiczną istotę każdéj z jednostek, daną etniczną grupę składających, w sposób, w ogólnych, najszerszych swych zarysach, równomierny i równosilny.

Owe równocześnie i równomiernie działające wpływy wywołują wskutek swéj, dla wszystkich ogólnéj jednolitości, pewien wspólny, zasadniczy dla wszystkich, sposób przyjmowania i reagowania na dane wpływy, z różnicami, zachodzącemi jedynie w granicach indywidualności każdéj jednostki.

Przez powyższe rozumiem to, że wpływy, idące ze środowiska do danéj grupy etnicznéj w środowisku tém żyjącéj, mają swoje wspólne tło, które wchodzi w istoty wszystkich tych współżyciowców jednocześnie i mniéj więcéj jednolicie; różnice zaś pojęcia tego wpływu i reakcyi nań powstają jedynie w granicach indywidualności jednostek i różnią się jedynie indywidualnemi wyznacznikami; przenosząc to na wzór powyżéj cytowany, możemy powiedziéć, że ze środowiska, w którém żyją osobniki *A*, *B*, *C*, *D*... wpływ *b* wejdzie w ich istoty w równém, wspólném wszystkim pojęciu *b*; różnice będą zachodzić jedynie co do siły tego wpływu, który nie wszędzie może jednolicie działać (wskutek może warunków klimatycznych, topograficznych), a które to zmiany będą uwidocznione wyznacznikami $_1$, $_2$, $_3$..... Reakcya zaś na ten bodziec *C*, będzie u wszystkich znowu mniéj więcéj podobną, tylko indywidualne różnice odzwierciedlą się w natężeniu wyznaczników c_1, c_2, c_3.....

Temi wspólnemi bodźcami są w ludzkości te wszystkie wspólne idee (niegdyś przesądy), poglądy i wierzenia. One są powodem, że na dwóch krańcach Europy pod wpływem podobnych bodźców ludzie mniéj więcéj podobnie reagują.

Cywilizacya dąży do jaknajwiększéj ilości idei wspólnych, przez rozpowszechnienie się coraz większe zasad wiedzy, zasad, które nie mogą się zmieniać dla żadnego narodu.

Dla danéj grupy etnicznéj, reakcye, pochodzące od takich ogólnych, powszechnych impulsów, odczuwanych w swéj zasadniczéj istocie wspólnie i niemal podobnie przez wszystkich, stanowią wyznaczniki ogólnéj psychologii danego narodu, jak pewną ustaloną formą odczuwania danych impulsów przez daną grupę etniczną.

Nazwać je przeto ośmielam się: psychologicznemi determinantami danego narodu.

Są one sumą indywidualnych reakcyi każdéj jednostki, przeciętną, że się tak wyrażę, charakterów wszystkich jednostek, daną grupę etniczną składających.

Jeżeli bowiem nazwać charakterem jednostki pewną zgodność i jednolitość w jéj reakcyach na wpływy zewnętrzne, to suma owych reakcyi mniéj więcéj jednolitych będzie charakterem narodu.

Będzie to owa reakcya C, w któréj c_1, c_2, c_3, będzie reakcyą jednostek; c zaś będzie determinantem psychologicznym osobników A, B, C, D, E....

Przebywając więc przez dłuższy czas w daném środowisku bytu, związawszy się wspólném życiem, jednolitemi instytucyami społecznemi, każda grupa etniczna raz przez wpływy zewnętrzne, bezpośrednie środowiska, drugi raz przez wpływy dziedziczności natychmiastowéj (od rodziców), daléj pośredniéj, po przodkach (atawistycznéj) otrzymuje w rezultacie pewien zbiorowy szczepowy determinant psychologiczny, znamionujący psycho-fizyologiczną charakterystykę danéj grupy etnicznéj. Jako wytwór powolnego działania wszystkich zbiorowych wpływów najogólniejszych danego środowiska na zamieszkującą go grupę etniczną (bez różnic indywidulnych interpretacyi), taki szczepowy determinant psychologiczny stanowi wskaźnik, miarę i wykładnik reakcyjności psychologicznéj, intelektualnéj całéj danéj grupy etnicznéj na te warunki bytu, w których żyje, rozmnaża się i do których powoli przystosowała się.

Na taki determinant szczepowy składają się determinanty rodzinnych grup, szczepowe zaś determinanty składają się znowu na wytwór jeszcze wyższych, jeszcze ogólniejszych determinantów rasowych, które, tak jak pierwsze malowały psychologię narodowościową, malują same jeszcze ogólniejsze zarysy charakteru całéj rasy.

Niejasno, z metafizycznego nieco punktu widzenia pojmując te osiowe, zasadnicze, kolektywne prądy pojęciowe, G. Le Bon, nazywając je „rasowemi duszami" [1]), powstałemi z nagromadzonych przez tradycyę pojęć ogólnych, powiada daléj, wyraźniéj: „Zbiorowisko ludzkie o różném etnicznem pochodzeniu dochodzi do ustanowienia jednéj rasy (?), to jest do posiadania jednéj „kolektywnéj duszy" tylko wtedy, kiedy przez powtarzane przez wieki krzyżowania się i jednolite życie w jednolitych środowiskach, przyjmie wspólne uczucia, wspólne cele i wierzenia. U ludów cywilizowanych nie ma już dzisiaj ras przyrodzonych. Są one po większéj części sztuczne i wytworzone przez warunki historyczne" [2]).

---

[1]) G. Le Bon. „Les lois psychologiques de l'evolution des peuples." 2 ed. Paris, 1895.

[2]) G. Le Bon. „Le rôle du caractère dans la vie des peuples" Revue Scientifique, N. 7. Tom I, 17 Fevrier, 1894.

Zanim rozejrzemy się we wpływie, jaki wywiera metysacya na wspólność pojęciową, należy zauważyć, że wpływ jednolitości środowiska życia, daléj mniéj więcéj ujednostajniony system wychowania i wykształcenia składa się na wytworzenie wśród przeróżnych szczepów etnicznych całych warstw społecznych, mających pewne wspólne pojęcia i myśli, pragnienia i aspiracye.

„W narodach europejskich w szczególności, powiada Zaborowski [1]), do wspólnych dziedzicznych cech fizycznych, dołączają się jeszcze te, które się rozwinęły pod wpływem jednostajnéj kultury, którą zachowuje wychowanie coraz bardziéj wyszukane, ujmując wszystkie umysły w jedną i tożsamą formę. Wystarczałoby to do utrzymania pomiędzy niemi, jakiekolwiek zdarzyłyby się w przyszłości klęski, więcéj podobieństw wzajemnych, aniżeli różnic” [2]).

I w istocie, wyżéj wyliczone wpływy urabiają inteligencye współczesne jednolito, na jedną modłę. O ile masy. tłumy różnią się między sobą, o tyle ci, których dobór intelektualny wysunął naprzód i wyłonił z tłumów, wykształceni w jednaki mniéj więcéj sposób, myślą i działają podobnie, stanowiąc jednostki niejako kosmopolityczne w psychologicznéj swéj sferze. Kosmopolityzm uważa się zwykle za pewien powierzchowny termin, czasami przeciwstawiany pojęciu o narodowości, sam przez się mający malować typ człowieka, żyjącego w ciągłych podróżach, bez ojczystéj siedziby.

Analizując jednak bliżéj pewne klasy społeczne każdego narodu, dochodzi się do przekonania, że ów termin „kosmopolita” zaczyna w dni dzisiejsze nabiérać coraz ściślejszego znaczenia, stając się, powiedzmy odrazu, niejako „rasą”, sztucznie w łonie każdego narodu wytwarzaną, a któréj cechą charakterystyczną jest to, że osobniki do niéj należące, w łonie najrozmaitszych narodów zrodzone, mają jednak między sobą więcéj podobieństw, aniżeli są poszczególnie zbliżonemi do swych najbliższych rodaków.

Warunki, w jakich narody dzisiejsze żyją, a które, sądząc z biegu rzeczy, w przyszłości jeszcze szerzéj się rozwiną, ów dobór intelektualny, metysacya, ujednostajnienie środowiska, wychowanie podobne, wszystko to składa się na to, że w łonie każdego europejskiego narodu, klasy rządzące, klasy najinteligentniejsze, stają się bez wiedzy swojéj coraz więcéj zbliżonemi do takichże klas inteligentnych sąsiedniego narodu.

---

[1]) Zaborowski. „L'avenir des races humaines.“ Revue Scientif. Tom L, N. 25, 17 Décembre 1892.

[2]) Tegoż zdania jest Perty. „Etnographie“, 1859, str. 299.

Nie idzie tu bynajmniéj o kosmopolityzm polityczny, o wygaśnięcie przekonań patryotycznych.

Kosmopolityzm, o którym tu mowa, jest ujednostajnieniem ogólnych przekonań, pojęć, wierzeń, pragnień objawiających się, jak to późniéj bliżéj zobaczymy, w całym szeregu międzynarodowych upodobań i dążeń. Wytwarza się dzisiaj pewna rasa, mająca nawet wybitnie zaznaczone cechy antropologiczne, sztucznie wyrobione, rasa ludzi cywilizowanych, wytworzonych przez kulturę dzisiejszą, po za wszelkiemi granicami etnicznych i politycznych kategoryi.

Pomiędzy determinantami psychologicznemi Anglika i Francuza z klas inteligentnych jest więcéj podobieństw, aniżeli pomiędzy determinantami tego Anglika a jego rodaka z ludu.

Powiedziano jednak (starał się to uzasadnić Le Bon badaniami anatomo-fizyologicznemi), że w miarę postępu cywilizacyi następuje coraz większe zróżniczkowanie indywidualne.

Według Le Bon'a, czaszki narodów cywilizowanych przedstawiają przy pomiarach najwięcéj różnic indywidualnych; jednolitość spotyka się tylko u ras najniższych [1]; możnaby na to odrzec przedewszystkiém, że wpływa na to silnie metysacya, następnie zaś, że zjawisko to jest zupełnie jasne i z innego punktu widzenia.

Proces kultury, wywołujący pewne ujednostajnienie w życiu psychologiczném jednostek, dochodzącém do zjawiska niejakiego psychologicznego kosmopolityzmu, jest niczém inném, jak tylko pod wpływem coraz szerzéj sięgającéj nauki wspólnéj dla wszystkich, zrównoważeniem determinantów psychologicznych przeróżnych szczepów.

Ów determinant *C*, o którym mówiliśmy poprzednio, staje się coraz powszechniejszym; ale ewolucye indywidualne każdéj jednostki, niezmiernie wysoko rozwinięty rozdział pracy w dziedzinie każdéj specyalności wywołuje pomiędzy temi jednostkami niezmiernie wielkie różnice. Dzisiaj medycyna jedna potrafiła wyrobić w sobie tyle specyalności, że specyalista chorób narządów mowy i głosu może bardzo mało znać choroby serca lub skóry.

Ta specyalizacya wywołuje to, że pomiędzy Anglikiem i Francuzem wysoko cywilizowanym, specyalistami w dwóch różnych fachach więcéj jest różnic indywidualnych i tendencyi do ujawnienia tych różnic, aniżeli będzie różnic pomiędzy dwoma Anglikami lub dwoma Francuzami z ludu, a może nawet Anglikiem i Francuzem z ludu.

---

1) Dr. Gustave Le Bon. „Recherches anatomiques et mathématiques sur les variations de volume du cerveau et sur leurs relations avec l'intelligence.“ Paris, in 8-vo, 1879.

Zaznaczyliśmy więc pojawienie się wśród narodów dzisiejszych pewnéj warstwy, która niejako podaje sobie ręce ponad granicami etnicznemi i terytoryalnemi, wytwarzając coś jakby nową, sztucznie wyrobioną rasę, powstałą wskutek kardynalnych czynników dzisiejszéj kultury, a któréj zasadniczą cechą charakterystyczną jest pewien intelektualny kosmopolityzm.

6.

Jak już z poprzedniego wywnioskować mogliśmy, nie może być dzisiaj mowy o typach zupełnie czystych etnicznie wśród narodów Europy. „Rasa czysta" jest dla współczesnych narodów europejskich terminem, nie dającym się zastosować; narodowości zaś dzisiejsze są to tylko grupy, mające jako jedyną łączną nić, wspólną przeszłość historyczną; narodowości nawet wrogie sobie przez swój przebieg historyczny i kulturalny, mogą być ze sobą złączone setkami wspólnych skrzyżowań etnicznych i wspólnemi instytucyami politycznemi.

Cementem co skupia, skleja dane grupy narodowe, jest jedynie ów wspólny interes polityczny, albo wspólne zwyczaje, aspiracye i cele.

Może nieco ryzykownie powiada w tym względzie Gumplowicz [1]), że „to nie ze względu na etniczną jedność Francuzi walczyli przeciwko Niemcom w roku 1870-ym, Włosi zjednoczeni przeciw Austryakom w roku 1859... Nikt nie będzie patrzył na Francuzów, Włochów, jako takich, w rozpatrywaniu tych walk"... Walczyły tu raczéj nie tyle wspólne elementy etniczne, jak wspólne interesy życiowe, wspólne impulsy w walce o byt, dodajmy.

Postarajmy się z kolei naszkicować zachowanie się przypuszczalne determinantów psychologicznych przy skrzyżowaniu i jakie typy wytwarzają się przez swą metysacyę wśród dzisiejszych narodów europejskich, a właściwiéj, jeśli proces ten trwać będzie, jakie typy wytworzą się w przyszłości.

Widzieliśmy już, że metysacya coraz powszechniejsza wywołuje zubożenie fizycznych cech narodowych, daléj, że wpływ ujednostajniający środowiska w tymże działa kierunku, widzieliśmy nakoniec, że wśród narodów europejskich wytwarzają się warstwy, z jednéj strony jako metysy po większéj części osłabione w swych cechach fizycznych, z drugiéj zaś — w sferze psychologicznéj, intelektualnie kosmopolityczne.

Ponieważ zaś przymusowe wychowanie, nakoniec konieczność co-

---

[1]) Gumplowicz. „La lutte des races." Paris, 1893, str. 253—4.

raz większa korzystania z powszechnéj wiedzy, jako środka doboru intelektualnego, zapewniającego dzisiaj zwycięstwo w walce o byt, wywołują powstawanie coraz większéj liczby owych intelektualnych kosmopolitów, to przypuszczać należy, że, idąc tą drogą, ludzkość dojdzie do najmniejszych różnic w szczepowych determinantach psychologicznych ludzi przyszłości.

Skoro zaś staną w skojarzeniu rodzinném dwa metysy owych wyższych klas społecznych, to powstałe z nich potomstwo będzie miało w sobie prawdziwe zobojętnienie rasowe.

Owa przewaga w organizmie rodziców systemu nerwowego a głównie mózgu, przy osłabieniu zobopólném cech swoistych fizycznych, daléj ów kosmopolityzm intelektualny obojga, złożą się w metysie z nich powstałym, na wytwór człowieka przyszłości, rasy sztucznéj, wytworzonéj przez kulturę jedynie.

Etnicznie bezrasowy, produkt setnych skrzyżowań, wątły fizycznie, z nadmiernie rozwiniętym mózgiem, o ciemném, ubogiém uwłosieniu, niski wzrostem, z pewną atrofią systemu mięśniowego ów człowiek przyszłości będzie przygotowany przez naturę na jedne tylko zwycięstwa,—pogromy rozumem.

Typ, taki będzie tak fizycznie, jak i psychologicznie, najłatwiéj przystosowalnym do wszelkich środowisk, będąc zaś „cały mózgiem”, przy stosunkach przyszłości, będzie istotą, mającą największą przyszłość przed sobą.

W czasach dzisiejszych zaczynamy już podobne typy spotykać; są one wytworami sztucznemi, produktami krzyżowania, z zanikiem coraz widoczniejszym wszelkich wybitnych cech rasowych, a wskutek złożenia się na nie typów wielomiejscowo kiedyś przystosowywanych, najłacniéj, mogą się one dostosowywać dzisiaj do tych sztucznych warunków życia, jakie wytwarza kultura, a wśród których typy takie, całe z ewolucyjnych, intelektualnych czynników złożone, największe mają widoki powodzenia w walce o byt.

Niektórzy autorowie, jak Fouillée [1]), utrzymują, że metysacya wywołuje powstanie bądź to cech regresyjnych, atawistycznych, bądź to powstanie typów niemal szkodliwych w życiu socyalném narodów.

„Walka przeciwnych elementów zamiast zachodzić pomiędzy dwoma osobnikami, odbywać się będzie w jednym organizmie” [2]).

„W metysie siły przeciwne neutralizują się i działać poczyna jedna — egoizm” [3]).

---

[1]) A. Fouillée. „L'avenir de la race blanche.“

[2]) loc. cit. — [3]) loc. cit.

I jeszcze:

„Gdy charakter narodowy ulega rozkładowi, traci swoją jedność i jednolitość, powstaje niepewność, chwiejność poglądów i czynów. Rozdzielony w samym sobie i przeciwko sobie, naród jest wówczas w naruszonéj równowadze socyalnéj" [1]).

Tak jednak nie jest. Metysy, pochodzące z dwóch ras odrębnych (np. Murzyn i Chińczyk), mogą w istocie wydać typ, którego determinant psychologiczny indywidualny, idąc po pośredniéj drodze obojętnéj, może dać regresyjne cechy obu ras składających.

W łonie jednak szczepów europejskich ciągłe historyczne skrzyżowania dały już odpowiedni grunt dla zrównoważenia etnicznych elementów składowych. W przyszłości zresztą napięcia determinantów coraz mniéj różnić się będą między sobą, tak, że zlanie się ich będzie raczéj ich wzmocnieniem, niźli rozszczepieniem.

Metys europejski ma przed sobą największe pole do zwycięstwa w walce o byt, które w dzisiejszéj kulturze jest walką o najwyższą intelektualność, a do téj najlepiéj przysposabia go urodzenie.

Powszechność zaś tych ogólnych prądów umysłowych o silném zabarwieniu kosmopolityczném coraz częściéj w dni dzisiejsze stwierdzać można.

Widzimy więc ogólne pragnienie powszechnego języka międzynarodowego (ziszczonego w języku volapück i esperanto), coraz liczniejsze instytucye społeczne, o charakterze międzynarodowym, ruch literacki, który, jakby ulegając tym słowom Goethego, że: „czas nastał na literaturę wszechświatową", tworzy setki międzynarodowych przeglądów.

I jeśli dzisiaj w masach wielkich spotykamy róznice pojęciowe, jeśli tłumy różnią się pomiędzy sobą formami zwyczajowemi i językowemi, z tradycyi historycznéj płynącemi, to w klasach wyższych, wykształconych, wśród tych warstw, które pracują mózgiem, aby wyzyskać resztki fizycznych zdolności tłumów, wśród tych warstw następuje coraz szersze zjednostajnienie fizyczne i intelektualne.

W gorączkowéj gonitwie, jaką jest życie nasze, wygrywają i dochodzą do szczytu ci, co są najzdolniejsi, co przeważają, mówiąc fizyologicznie, bogactwem swych zwojów mózgowych i ilością materyi szaréj.

---

1) Alfred Feuillée. „Dégenérescence. Le passé et le présent de notre race." Revue de Deux-Mondes, 15 Octobre 1895. W téjże pracy autor nader słusznie podnosi wyniszczający wpływ wojen i rewolucyi, osłabiających rasowość, przez usunięcie najsilniejszych warstw narodów.

Wśród téj konkurencyi, gdzie, walcząc o hegemonię, narody muszą wytwarzać coraz wyższe prądy kulturalne, aby ilością swéj produkcyi, doskonałością wyrobów, świetnością udoskonaleń i ulepszeń zwyciężyć i stanąć u steru, te setki tysięcy, co pracują mózgiem, co z mózgu wysączają pracą myśli, coraz nowsze wynalazki i zdobycze na polu wiedzy, przemysłu, handlu i sztuki, — ci wszyscy czerpią przedewszystkiém prawie jednakie wykształcenie ogólne, w mózgach tych wszystkich krążą prawie jednolite projekty, myśli, panhumanitarne aspiracye i cele.

A wygrywają ci, co zdołają wytworzyć jakieś udoskonalenie najnowsze tego, nad czém wszyscy myślą i pracują.

Klasy intelektualne cywilizacyi dzisiejszéj stanowią jakby jakiś nowy element etniczny, stojący wyżéj, ponad narodowościami, szczepowemi celami i partyjnemi walkami, ponad aspiracyami politycznemi pojedyńczych grup, — pracując dla ludzkości całéj.

Wiedza i jéj zdobycze nie mają narodowości, wiedza musi być kosmopolityczną i takiemi stają się powoli ci, co na jéj polu pracują i co z niéj korzystają.

I w zrównoważeniu wszystkich szczepów naszéj staréj Europy, w panhumanitarnym, psychologicznym i intelektualnym kosmopolityzmie, te narody mogą stawać do walki o hegemonię, te mogą miéć pretensyę do prowadzenia postępu i cywilizacyi, do przodowania ludzkości, w jéj świetnym pochodzie, zawsze naprzód kroczącym do światła i prawdy, te tylko, w których najbogatszą jest ilość osobników wysoce produkcyjnych, wysoce twórczych.

W istocie wielkie prądy umysłowe, kierunki wyobrażające najogólniejsze tendencye ludzkie w rozlicznych peryodach historyi, są jednakowe dla wszystkich.

Masy asymilują je równomiernie, w mózgi setek wchodzą one w mniéj więcéj jednolitéj sile, postęp zaś, zwycięstwo umysłowe, ewolucya, zależy od ilości takich osobników, co z tych pojęć ogólnych, co z tych pojęć wchodzących jednolicie w mózgi wszystkich, potrafią skorzystać i dzięki indywidualnéj sile, znaléść w nich to, co najodpowiedniejsze i najpraktyczniejsze dla wymagań chwili.

Postęp zależy więc od ilości osobników, co te ogólno-ludzkie prądy umysłowe asymilują w sposób twórczy.

Jeśli weźmiemy 1,000 pierwszych lepszych Europejczyków i 1,000 pierwszych lepszych Hindusów, mówi Le Bon, to 995 jednych i drugich stać będzie na prawie jednostajnym poziomie intelektualnym, tylko że wśród téj resztującéj piątki u Europejczyków widzimy kilka wybitnych jednostek, czego nie znajdziemy u Hindusów, gdzie wszyscy będą „przeciętni". Le Bon, mówiąc tu o pojemności czaszkowéj, twierdzi,

że może ona być jednakowa dla seryi czaszek różnorodnych plemion ludzkich; wśród wyższych okaże się tylko większa ilość czaszek o wybitnie dużej pojemności.

Postęp więc pchają naprzód jednostki wybitne [1]).

Indusi trzymani w karności przez Anglików w rozwoju intelektualnym mas stoją niemal na jednym poziomie ze swemi zaborcami. Tylko wybitne wartości jednostek wyżéj intelektualnych angielskich potrafiły ujarzmić te tłumy (Le Bon).

Jeślibyśmy chcieli podzielić ludzkość na typy względnie do ich utylitarnego znaczenia socyalnego, względnie do ich wartości produkcyjnéj dla mas,—to podział ten mógły być następującym:

ludzie normalni	1. Szkodliwi
	1/2 Indeferentywni
	2. Pożyteczni

Ta ostatnia kategorya daje się podzielić na:

a) osobników instynktownych,

b) osobników instynktywno intelektualnych,

c) osobników intelektualnych,

d) osobników intelektualno-twórczych.

Największa więc w narodzie ilość osobników téj kategoryi, a z nich—dwóch ostatnich grup, warunkuje intelektualną wyższość danéj grupy etnicznéj. *Maximum* ludzi twórczych—oto postulat ewolucyi intelektualnéj danéj grupy narodowościowéj.

A za przewagą umysłową idzie przewaga polityczna i ekonomiczna.

„Kraj który będzie miał największą żywotność umysłową, będzie téż miał największą produkcyę ekonomiczą", powiada Nowikow [2]).

Ponieważ więc przy dzisiejszém ułożeniu się stosunków międzyludzkich największą wartość, siłę i znaczenie mogą mieć jedynie te grupy etniczne, w których łonie największa znajduje się ilość osobników twórczych, a więc wybitnie intelektualnych, cała zaś cywilizacya dzisiejsza jest niejako doborem intelektualnym, nakoniec pod wpływem kultury obojętnieje stopniowo typ fizyczny, następuje regres wszystkich narządów na rzecz wzmożonéj ewolucyi mózgu,—to rzecz prosta można

---

[1]) W kwestyi téj pisano bardzo wiele, Hegel „Philosophie der Geschichte;" Cousin „Oeuvres;" Carlyle „On heroes;" James „Les grands hommes." Joly „Psychologie des grands hommes;" Goltan „Hereditary genius;" Le Bon „Les lois psychologiques de l'evolution des peuples." Karejew „Suszcznost' istoriczicz. processa i rol licznosti w istoryi."

[2]) Nowikow. „Les gaspillages des societés modernes."

już *a priori* wnioskować, że ewolucya fizyczna tego organu dochodzi do szczytu w dni nasze.

Waga, kształt i rozmiary mózgu w miarę wzrastania czynności tego organu wzrastać muszą przez sam fakt tego prawa, że organ wzrasta w miarę wzmożenia się pracy, funkcyi jakie wykonywa; ponieważ, jak wiadomo, praca umysłowa wzbogaca rozwój zwojów mózgowych, ilość materyi szaréj, — należy zatém przypuszczać, że ten rozwój mózgu nie pozostaje bez wpływu na sklepienie czaszkowe, w którém się znajduje i rozwija.

Wewnętrzne ukształtowanie mózgu nie daje nam bardzo silnych i wybitnych różnic przy porównywaniu tego organu u ludzi cywilizowanych z mózgami ras niższych. Zaznaczyć tu można tylko nieco mniéj subtelne, więcéj szematyczne zarysy zwojów u tych ostatnich. Waga mózgu bardzo niewiele téż nam może powiedziéć, gdyż jak dowiódł prof. Manouvrier [1]) waga mózgu idzie w parze z wagą ciała i wzrostem, wskutek czego najinteligentniejsze rasy o nizkim wzroście są zawsze przewyższone przez najniższe intelektualnie narody, byle tylko były z kategoryi wysokorosłych.

Pojemność czaszkowa wskazuje za to mniejszą zawartość u ras niższych, większą u ras wyższych.

Najważniejszym jest wszelako ten fakt, że, ponieważ w ewolucyi mózgu powinny jako cechy znamienne wzrastającéj inteligencyi rozwijać się przednie części mózgu, czołowe płaty mózgowe, to rzecz prosta że od ich rozszerzania się, rozszerza się i czaszka, z długogłowéj stając coraz więcéj krótkogłową, lub pozostając długogłową (z tendencyą do mesaticefalii) ale z powiększonemi wymiarami czoła.

A fakt ten staje się w dni nasze coraz powszechniejszym wśród narodów Europy.

Brachycefalia, która się dzisiaj rozwija, nie jest bynajmniéj dziedziczną, z rodziców na dzieci przechodzącą cechą antropologiczną, nie jest ona spowodowana ani napływem brachycefali emigrantów, ani téż cechą atawistycznego powrotu do dawnych brachycefalików.

Jest ona przeciwnie cechą sztucznie wytworzoną, nabytą, jest wytworem kultury, rezultatem doboru intelektualnego.

Stwierdzają jéj wzrost powszechnie, a Lapouge [2]) powiada nawet w téj mierze: „wskaźnik główny wzrasta w Europie z wieku w wiek od początku czasów nowszych. Strony, w których na początku wie-

---

[1]) Prof. dr. Leon Manouvrier: „De l'interpretation du poids de l'encephale. Mém. de la societ. d'Anthrop. 2 ser. t. III, p. 137.

[2]) de Lapouge. La vie et la mort des nations. Rev. Internat. de Sociologie Nr 6 Janv. 1894.

ków średnich były zaledwie ślady krótkogłowości—są dziś zupełnie krótkogłowe te zaś w których było więcéj niż ślady, są dziś krótkogłowemi w stopniu wyższym nad to, co się kiedykolwiek, gdziekolwiek bądź widziało.“ A daléj powiada: „Potęga intelektualna zdaje się, że jest związana z szerokością przednich części czaszki; nie znam narodowości wyższéj, któréj wskaźnik byłby niższy od 74.”

Jeśli zaś spojrzemy na wskaźniki główne narodów europejskich w porównaniu z narodami niższemi i na procentowe rozłożenie według trzech grup wskaźników: długogłowych, pośredniogłowych i krótkogłowych,— to uderzy nas ten fakt, że chociaż dwa pierwsze typy istnieją zawsze (i zawsze istniéć będą), niemniéj przeto przypada na nie najmniejszy procent u narodów bardziéj cywilizowanych; dołączona tu tabelka zaczerpnięta z dzieła Rankego [1]) najlepiéj rzecz tę uwidoczni.

Narodowość	Dolichocefale do 74.9	Mesaticephale 75-0—79.9	Brachycephale 80 i wyżéj
		procentowo:	
Współcześni Niemcy (Kolmann)	16	41	43
„ „ południowi	1	16	83
Tyrolczycy	0	10	90
Współcześni Słowianie (Kollmann)	3	25	72
Paryżanie (Topinard)	14	41	45
Owerniacy (Topinard)	5	7	88
Współcześni Grecy (Elon Štephanos)	15	31	54
„ Japończycy (Hallsten)	0	28	72
„ Finlandczycy „	6	30	64
Polacy współcz. (Kopernicki)	5	10	83
Eskimosi (Topinard)	86	10	4
Australczycy	89	11	0
Melanezyjczycy	81	18	1
Mikronezyjczycy	56	39	5
Polinezyjczycy	63	23	14
Murzyni (Topinard)	56	38	6

Wszędzie więc u ras wyższych przeważa jawnie krótkogłowość, u ras niższych długogłowość.

Brachycefalia dni naszych, wzrastająca z dniem każdym, stwierdzana w łonie każdéj niemal narodowości różni się jednak od brachycefalii przedhistorycznych emigrantów przybywających ze wschodu czy północnéj Europy, gdyż tamta była przyrodzoną cechą otrzymaną dziedzicznie od krótkogłowych protoplastów, nasza dzisiejsza brachycefalia jest cechą nabytą, wytworzoną z jednéj strony przez ewolucyę specyficzną mózgu, z drugiéj strony przez dobór najlepiéj rozwiniętych

[1]) Dr. Ranke. „Der Mensch.“ Leipzig und Wien 1894. Tom. II, str. 226,

mózgów, czyli przez dobór intelektualny, będący istotą procesu kultury. Brachycefalia dzisiejsza jest zresztą uwarunkowana rozwojem przednich części mózgu,ześrodkuwujących najszlachetniejsze, najwyższe funkcye psychiczne.

Nie zupełnie więc ściśle, choć w zasadzie słusznie powiada Fouillée [1]) „stajemy się coraz więcéj „celto-słowianami" i „turańczykami" (mówi tu on o Francuzach), jakiemi byliśmy przed przyjściem Gallów, gdy przeciwnie element aryjski zanika coraz bardziéj, słabnąc w swém znaczeniu i wpływie."

Do tego, cośmy poprzednio zaznaczyli, przybywa więc nam jeszcze jedna, najważniejsza bodaj cecha: człowiek przyszłości zdaje się będzie brachycefalem, która to cecha wytworzyła się po za wpływem cech antropologicznych osobników, składających się na wytwór tego typu.

Przyszłość Europy zarysowuje się więc jako: typy skosmopolityzowane psychologicznie, fizycznie rasowo obojętne, coraz więcéj brachycefaliczne.

7.

Kończąc niniejszą pracę, pozwolę sobie w kilku słowach streścić to, co wykazać usiłowałem.

Ustaliwszy ten fakt, że narody Europy są od najdawniejszych epok silnie skrzyżowane i zmieszane, tak że o rasach absolutnie czystych mowy być nie może, uwydatniwszy że kultura dzisiejsza jest niejako hodowlą sztuczną, wytwarzająęą nowe środowisko życia, starałem się pokazać te wpływy, jakie owo środowisko miéć może na mieszkańców Europy dzisiejszéj.

Owo ujednostajnienie sztuczne życia, działające w pewien ujednostajniający sposób na fizyczną konsystencyę ludów dzisiejszych, potęguje jeszcze metysacya.

Ich to wytworem będą więc te typy coraz mniéj rasowe, typy sztucznie wytworzone, metysy w przeróżnych stopniach o zatraconych wybitnych cechach elementów składowych.

Postarałem się daléj wykazać, że kultura dzisiejsza z dawnéj fizycznéj walki o byt, stała się doborem intelektualnym; pokazałem rezultaty tego doboru (pośrednie), ujawniające się w pewném skompolityzowaniu wyższych sfer intelektualnych wszystkich narodów.

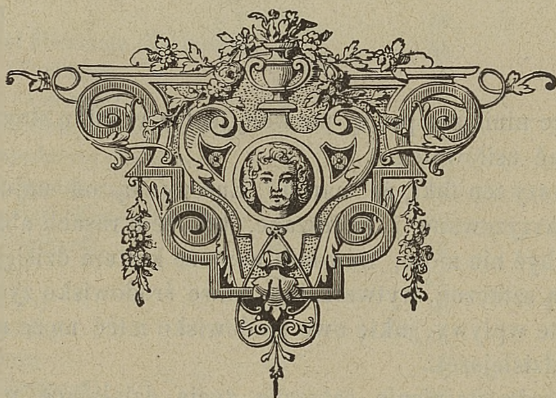
---

[1]) A. Fouillée. „Degenerescence. Le passé et le present de notre race."

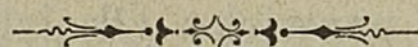
Starałem się nakoniec dowiéść, że jednym z najznamienniejszych wyników kultury jest wytworzenie sztucznéj (bo nie rasowego pochodzenia) brachycefalii.

I stąd widzimy ludzkość przyszłości jako metysów, o osłabionych cechach rasy, psychologicznie i intelektualnie kosmopolitycznych, brachycefali sztucznych, tworzących jakby nową rasę, nowy etniczny element, podobny do siebie wśród najprzeróżniejszych narodów Europy, powstały i rozwijający się dzięki procesom kultury. I być może, że ci kosmopolici etniczni przyszłości potrafią zatrzéć waśnie dziejowe i zbratani myślą zarówno jak fizycznemi cechami, w jednym wielkim panhumanitarnym uścisku, zapomną dawne rozterki i niezgody, łącząc się w wspólnym celu: w dążeniu do światła i wiedzy!

Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki.



Ś. p. Antoni Okolski.



Żal szczery i ogólny, wywołany w społeczeństwie naszém, na wiadomość o zgonie jednego z niewielu już członków dawnego grona profesorów b. Szkoły Głównéj warszawskiéj — d-ra Antoniego Okolskiego, niemniéj, wyjątkowy uroczysty obrzęd pochowania zwłok zmarłego, w którém wzięły udział liczne rzesze wychowańców uniwersytetu i przedstawicieli wszystkich warstw ludności miejskiéj — były odgłosem uznania dla pamięci męża, który życie swoje poświęcił nauce.

Chcąc uczcić godnie pamięć i zasługi Okolskiego na kartach czasopisma naukowego, należałoby, zamiast nekrologu, podać pobieżny choćby rozbiór prac zmarłego, ciągnących się nieprzerwanym szeregiem przez lat blisko trzydzieści pięć; w tych bowiem pracach odbija się, jak w źwierciadle czystém, stopniowy rozwój umysłu niestrudzonego pracownika i działalność jego zwrócona przeważnie do cichéj pracy gabinetowéj nad gałęzią umiejętności, która, jak dotąd, w ś. p. Okolskim miała i ma w literaturze polskiéj jedynego swego przedstawiciela.

Zadanie takie wszelako wobec obfitego materyału drukowanego, rozproszonego przeważnie po czasopismach peryodycznych, nie łatwém byłoby do urzeczywistnienia. Wystarczy, jak na teraz, wyliczenie w swojém miejscu tytułów prac zmarłego, by ułatwić przyszłym jego

biografom-specyalistom możność rozejrzenia się w pokaźnym dorobku naukowym, pozostawionym nam przez zmarłego w spuściźnie.

Już poważny szereg owych prac specyalnych, z których każda była owocem badań źródłowych, opartych na metodzie porównawczéj i na gruntownéj znajomości prawodawstw obcych, dowodzi, że zmarły należycie i wszechstronnie zadanie katedry uniwersyteckiéj pojmował. Słusznie mniemał Okolski, że wykłady, prowadzone w murach uniwersytetu, wyłącznie dla słuchaczy-specyalistów, zadania takiego całkowicie nie wypełniają. Pozostaje jeszcze druga strona działalności profesorskiéj — nierównie ważniejsza — rozpowszechnienie wiedzy naukowéj w społeczeństwie, drogą publicystyki; utrzymywanie związku ciągłego między nauką a bieżącemi potrzebami chwili, słowem — oddziaływanie na samowiedzę społeczeństwa drogą popularyzacyi przedmiotów kursu uniwersyteckiego. W taki to sposób pojmują swoją misyę poważniejsze siły profesorskie za granicą, w krajach, gdzie katedra uniwersytecka nie stoi odosobniona, lecz nieustanny wywiera wpływ na urabianie się pojęć prawnych w społeczeństwie; w taki również sposób rozwija się i bogaci dorobek literacko-naukowy danéj gałęzi umiejętności. W myśl tego zadania, nazwisko Okolskiego ukazywało się stale w prasie peryodycznéj krajowéj pod artykułami, poświęconemi sprawom administracyi, policyi i ekonomii społecznéj; prócz tego, piśmiennictwo ojczyste zawdzięcza zmarłemu wyczerpujące dzieło trzytomowe, obejmujące niezależnie od wykładu teoryi prawa administracyjnego, traktat o prawie administracyjném o b o w i ą z u j ą c é m, osnuty na źródłowym materyale prawodawczym.

Urodził się Okolski w r. 1838 w Małachowicach, w powiecie łęczyckim. Po przejściu nauk gimnazyalnych w Płocku, udał się do Petersburga, gdzie ukończył wydział prawny uniwersytetu tamecznego ze stopniem kandydata. Celem uzupełnienia studyów specyalnych w dziedzinie prawa karnego i administracyjnego wyjechał na czas dłuższy za granicę i przebywał w Paryżu, Londynie i Jenie. Ta ostatnia wszechnica przyznała mu godność doktora praw, po świetnéj obronie rozprawy „*Über die Staatsanwaltschaft im Strafverfahren*". Z otwarciem trzeciego kursu na wydziale prawa i administracyi w b. Szkole Głównéj warszawskiéj w roku akademickim 1864 na 1865 objął Okolski w charakterze tymczasowo-wykładającego katedrę procedury kryminalnéj, zalecony dysertacyą naukową „O dzieciobójstwie", wydrukowaną w tymże roku w „Czasopiśmie poświęconém prawu i umiejętnościom politycznym" (Kraków, 1864. Zeszyty VIII — X). Niezadługo wszakże otrzymał nominacyę na profesora nadzwyczajnego, a wkrótce

potém i godność profesora zwyczajnego na katedrze prawa państwowego.

Rozprawą „O sporach administracyjnych" zjednał sobie stopień doktora prawa i administracyi. Była to pierwsza w młodéj Szkole Głównéj warszawskiéj doktoryzacya.

Po przemianie téjże Szkoły w roku 1869 na Uniwersytet cesarski, Okolski utrzymał się na katedrze prawa policyjnego, lecz, stosując się do wydanego w téj mierze przepisu, ponownie przystąpił do doktoryzacyi w uniwersytecie petersburskim i odtąd stale, jako profesor zwyczajny, wykładał prawo policyjne w uniwersytecie warszawskim. Zaszczyconym wreszcie został najwyższą w hierarchii naukowéj godnością profesora „zasłużonego". Niezależnie od profesury, poświęcał się Okolski za dawnéj organizacyi sądowéj i adwokaturze, którą pełnił przez lat kilka i po wprowadzeniu reformy sądowéj, aż do chwili wydania przed dziesięcioma laty ograniczającego w téj mierze profesorów uniwersytetu rozporządzenia; był wreszcie przez szereg lat aż do ostatnich chwil życia prezesem „Komitetu Kasy Mianowskiego".

Żywot ten czynny wypełniły prace naukowe specyalne, idące w szeregu następującym:

1) Pierwszą pracę obszerniejszą „O Serbii" drukował Okolski w r. 1862 w „Gazecie lwowskiéj", następnie zaś:

2) wzmiankowaną wyżéj rozprawę „O dzieciobójstwie" w „Czasopiśmie" krakowskiém, gdzie również w roku 1865 zamieścił:

3) dysertacyę „O urzędzie prokuratora w postępowaniu karném".

4) „O znaczeniu miast i instytucyi miejskich", dwa odczyty publiczne w kwietniu 1867 roku, drukowane następnie w „Ekonomiście" z tegoż roku.

5) „O sporach administracyjnych" („Ekonomista", 1867 r.).

6) „O organizacyi sądów karnych" („Przegląd sądowy" warszawski, 1868 r.).

7) „O kasach oszczędności" („Niwa", 1869 r.).

8) „O sprzedaży nieruchomości w drodze subhastacyi" („Przegląd sądowy", 1869 r.).

9) „O urządzeniach miejskich w Cesarstwie podług ustawy z roku 1870" („Ateneum", 1871 r.).

10) „O ziemskich instytucyach na Zachodzie Europy i w Cesarstwie" („Niwa", 1871 r.).

11) „O fizyczném wykształceniu narodu" („Niwa", 1873 r.).

12) „Ob otnoszenii gosudarstwa k narodnomu obrazowanju" Rozprawa doktoryzacyjna). Petersburg, 1872 r.).

13) „Rys historyczny rozwoju dobroczynności publicznéj w Polsce" („Niwa", 1877 r.).

14) „Przewodnik dla sądów gminnych Królestwa Polskiego" (T. I. Postępowanie sądowo-cywilne 1876—7 r.).

15) „Przewodnik dla sądów gminnych" (T. III. Prawo cywilne).

16) „Forma kontradyktoryjna w ustawie postępowania sądowego cywilnego z roku 1864-go" („Biblioteka umiejętności prawnych", 1877 roku).

17) „Wykład prawa administracyjnego, oraz prawa administracyjnego obowiązującego w Królestwie Polskiém", 3 tomy, 1880 — 1884 roku.

18) „Zasady prawa cywilnego, obowiązującego w Królestwie Polskiém", 1885 r.

19) „Ustrój państw europejskich, tudzież Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj" (1888 r.).

20) „Kwestya kobiéca według najnowszego prawodawstwa" („Biblioteka Warszawska", 1888 r.).

21) „O domach podrzutków" („Bibl. Warsz.", 1888 r.).

22) „Systemat propinacyjny szwedzki" („Przewodnik lwowski", 1888 r., N. 48—53 i 1889 r., N. 3—13).

23) „Kwestya lichwy w obecném prawodawstwie" („Biblioteka Warsz.", 1889 r.).

24) „Reforma wykształcenia klasycznego w Niemczech" („Bibl. Warsz.", 1890 r.).

25) „Reforma wykształcenia klasycznego w Szwecyi" („Bibl. Warsz.", 1890 r.).

26) „Reforma wykształcenia klasycznego na Zachodzie Europy" („Ateneum", 1890 r.).

Trzy powyższe rozprawy wraz z dodatkiem o reformie wykształcenia klasycznego we Francyi wyszły następnie oddzielnie.

27) „Dwudziestopięciolecie reformy włościańskiéj w Królestwie Polskiém" („Gazeta Warsz.", 1889 r.).

28) „Reforma uniwersytetów angielskich w XIX wieku" („Bibl. Warsz.", 1892 r.).

29) „Rozwój uniwersytetów angielskich w XIX wieku" („Bibl. Wars.", 1892 r.).

30) „Arnold Toynbee i jego prace ekonomiczne" („Bibl. Warsz.", 1892 roku).

31) „Wpływ Tomasza Carlyle'a na rozwój społeczeństwa angielskiego pod względem socyalno-politycznym w XIX wieku" („Przegląd prawny i administr." lwowski z r. 1894).

32) „John Ruskin, jako ekonomista” („Bibl. Warsz.”, 1894 r.).

33) „Pauperyzm w Anglii” („Bibl. Warsz.”, 1894 r.).

34) „Działalność prawodawcza i społeczna pod względem dobroczynności publicznéj” („Gazeta sądowa” warszawska, 1893—1894).

35) „O pojęciu prawa administracyjnego” (po rosyjsku w „Uniw. Izw.”, 1894 r.).

36) „Instytucye ziemskie w Rosyi” (szereg artykułów w „Słowie” za wrzesień i październik 1897 r.).

37) Szereg artykułów z dziedziny prawa cywilnego, karnego, policyjnego i ekonomii społecznéj, drukowanych w Wielkiéj „Encyklopedyi ilustr.” Sikorskiego.

Dodać tu należy i artykuly mniejszego rozmiaru, wyjaśniające wiele kwestyi prawno-ekonomicznych, jak np.:

1) „O dzieciach oddawanych na wykarmienie” („Gaz. Warsz.”, 1890 r., NN. 55—56).

2) „O przeprowadzeniu odosobnienia w zakładach więziennych” (rozbiór pracy Moldenhawera; „Bibl. Warsz.”, 1866 r.).

3) Rozbiór dzieła Pawińskiego: „Dzieje ziemi Kujawskiéj” („Gaz. Polska”, 1888 r., N. 109—112).

4) Rozbiór „Sejmików ziemskich” Pawińskiego („Słowo”, 1895 roku).

5) „System socyologii Gumplowicza” („Tyg. Ilustr.“).

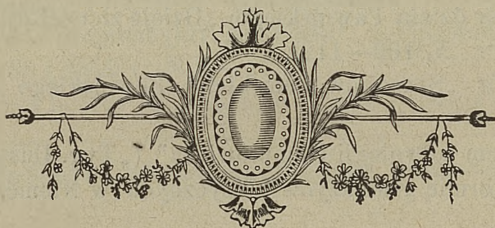
6) „O reformie gimnazyów klasycznych w Niemczech“ („Gazeta Warszawska“).

Jako profesor na katedrze, celował Okolski jasnością wykładu, właściwą umysłom, wyrobionym na gruntownéj znajomości prawa rzymskiego i pokrewnego mu prawa francuskiego, które nieboszczyk, przez długi lat szereg, do potrzeb życia codziennego, jako adwokat, stosować miał sposobność. Nie zalecały się wykłady zmarłego kwiecistością stylu, nie towarzyszyły im krasomówcze zwroty, lecz wypełniała je treść pożywna, oparta na materyale faktycznym, mogącym mieć zastosowanie w praktyce życiowéj. Już w przytoczonych tytułach piśmienniczych prac Okolskiego ujawnia się kierunek jego myśli, zmierzający do urzeczywistnienia w życiu codzienném, praktyczném, ideałów nauki czystéj. Długoletni pobyt w Anglii wpłynął właśnie na urobienie się umysłu Okolskiego według modły utylitaryzmu. Upatrywano w sposobie wykładu zmarłego profesora pewien chłód i brak wrażliwości, — cechy właściwe uczonym, nie ubiegającym się o łatwą między słuchaczami popularność. Lecz obiektywizm Okolskiego był

tylko pozorny. Było to serce szczerze oddane społeczeństwu rodzinnemu, składające mu w ofierze wszystkie usiłowania do ulepszenia ekonomicznych warunków jego bytu, do rozpowszechnienia i ugruntowania w młodzieży uniwersyteckiéj pojęć o prawności działań obywatelskich, o konieczności stosowania do życia codziennego wszelkich ulepszeń, stwierdzonych przez doświadczenie.

Prace zmarłego nie przejdą bez śladu; będą one zawsze pomnikiem zasług uczonego profesora, dowodem żywotności jego umysłu i szlachetności zasad, któremi kierował się w życiu.

Al. K.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Gabryela Zapolska: „Wodzirej“ (powieść w dwóch tomach.) Nakładem S. Lewentala. Warszawa, 1898 str. 331 i 344.

W niedługich odstępach czasu drukował „Kuryer Warszawski“ dwie powieści autorów znanych, acz krańcowo różnych, którzy zapewne przypadkiem obrali sobie za tło Galicyę: Kraków i Lwów. Były to Bałuckiego: „Wieś i Dziunia” i wyżéj wymieniony „Wodziréj” Zapolskiéj. Intryga w obu utworach cokolwiek podobna; komedyopisarz każe bohatérom swéj powieści wdzierać się do „świata nudów”, by potém zgnębionych i zmęczonych usunąć w zacisze wiejskie, tak samo p. Zapolska wprowadziwszy wodzireja w świat błyskotliwy „nakształt zawieszonego w powietrzu brylantowego naszyjnika”, spycha nagle Wielohradzkiego na bruk małéj mieściny. Jeżeli jednak u Bałuckiego zakończenie powieści nasuwa myśl, że lepiéj i pożyteczniéj pracować bodaj w zakątku wiejskim, niżeli, goniąc za pozorami wielkiéj działalności, trwonić pieniądze w mieście, to w bogatéj fabule „Wodzireja” myślą przewodnią może być tylko kwestya wychowania, chociaż i ta warunkowo tylko. Bo ani Wielohradzka, zjeżdżająca do Lwowa po stracie męża i majątku, nawykła do życia wystawnego, zdobywająca teraz pracą ciężką chléb powszedni, na naganę nie zasługuje nawet wtedy, kiedy marzy o świetnéj przyszłości dla swego syna przez bogate małżeństwo; ani Tadeusz, dlatego właśnie, że od początku życia żył wśród świata „koron“ i innego znać nie chciał, a kiedy na chwilę

zetknął się z „demokracyą”, rezultat był gorszy, gdyż byłby się wodzirej w drugim świecie zmarnował tak, jak zginął w blasku pierwszego. A zginął przypadkowo: piękna hrabina, upodobawszy sobie Wielohradzkiego, ofiarowała mu siebie, swe rozigrane zmysły, swe pieszczoty, wszystko, czego by nie posiadł żaden hrabia, baron lub książę; gdyż ona kochanka z téj sfery miéć nie mogła, bojąc się utracić znaczenie i szacunek otoczenia, w którém była królową. Wielohradzki w towarzystwie tém nie liczył się, a rozkochany biegł na każde skinienie kapryśnéj pani, by koić jéj wzburzone nerwy, dopóki wypadek nie przerwał pasma jego życia, opartego na pozorach, pustego, jak przybory kotylionowe, trofea zwycięstw, któremi go obdarzano. Schwytany przez męża na schadzce z Maleniową, przez nią znieważony, zostaje przerzucony ze Lwowa do Przemyśla, by tam dumać o przeszłości i... nowych figurach kotyliona.

Tak się przedstawia szkic powieści, w któréj wyróżniłbym figurę Wielohradzkiego, jednę z tych, które p. Zapolska z taką łatwością i prawdą (na to nie wszyscy się godzą) malować umié. „Był to okaz schyłkowca, bardzo prosty, naturalny i nieskomplikowany—zwyczajny nerwowiec o duszy kobiécéj, z odcieniem silnego egoizmu ładnego mężczyzny, romantyk i fantasta, lubiący wojownicze legendy, świéże masło, frak ładnie skrojony i wytworne towarzystwo. Nie miał żadnych potwornych ani zwyrodniałych zachcianek, dalekim był od gorzkiego pesymizmu, pomimo, iż bynajmniéj nie był optymistą. Posuwał się po szachownicy życia jak zbyteczny pionek... Wiatr lotosu kołysał nim na prawo i lewo — dłoń matki usuwała mu z pod nóg przeszkody. Ze wspaniałych salonów wpadał nagle do nory czystéj lecz biédnéj, nazwanéj jego domem. Miał ciągle olśnienie krótkowidza, wtrąconego do piwnicy i wyrzuconego w snop słonecznych promieni... Był Twardowskim społecznym, zawieszonym między niebem a ziemią. *Ave Maria* ocaliła czarownika, *Ave Maria* pracy jego matki i próżności jéj utrzymywała go na tych pasach tanecznych, które kołysały nim w społecznéj przestrzeni.” (T. I, str. 90).

Nie zdolny do zastanawiania się nad położeniem swojem i matki, nie umiejący ocenić jéj pracy, ani powstrzymać swych kaprysów, za słaby, ażeby inne rozpocząć życie, jest Wielohradzki stworzeniem nędznêm, egoistą, szykarnym poliszynelem, pajacem, a przedewszystkiém—hysterykiem.

Psychologicznie postać przeprowadzona prawdziwie.

Matka jego to natura „o mieszaninie duchowo-religijnych aspiracyi i szalonego przywiązania do materyalnych warunków życia.” Tak jak z kawałków jedwabiu składała podszewki swych sukien, tak

z drobnostek, jakie jéj syn otrzymywał od „tych ludzi", pragnęła dla niego zbudować gmach szczęścia, aż wreszcie ujrzała się biédną szwaczką, a syna swego biernym kochankiem téj, którą ona marzyła nazwać synową. Ale jéj za nic winić nie można: miała dobre zamiary i chęci, a że chorobliwa miłość macierzyńska obdarzyła ją wzrokiem krótkowidza—nie ona winna.

Co do formy i sposobu pisania (pomijając znaną odrębność stylu i języka p. Zapolskiéj) zarzuciłbym dziwaczne porównania niekiedy, jak naprz. „Maleni zniknął z progu, na którym tkwił jak potworny drogowskaz" (str. 117, t. I)... „W lekkiéj jedwabnéj sukni mieniącéj się złotem i zielenią, jak sukienka chrząszcza, czającego się i t. d. (str. 153) i in. Nadużywanie wyrazów, jak „obramowanie," „fałdy." Lecz to drobiazgi. *L. Rutkowski.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= **Herold polski**, czasopismo naukowe ilustrowane, poświęcone heraldyce i sfragistyce polskiéj. Zeszyt kwietniowy 1897. Str. XXIII i 96. — We wszystkich ziemiach dawnéj Polski, pośród tak licznych zastępów szlachty, pomimo niestrudzonych usiłowań redakcyi, znalazło się zaledwie 120 prenumeratorów, interesujących się historyą szlachty polskiéj i heraldyką polską. Zaledwie ta szczupła garstka zdecydowała się poświęcić rocznie 5 złr. na księgę ilustrowaną, obejmującą 25 arkuszy druku, a poświęconą heraldyce i sfragistyce ojczystéj. Obojętność taką tłómaczy sobie redakcya zamarciem w szlachcie uczucia czci dla jéj dzielnych przodków, w części zaś tém, że szlachcie téj nie przypada do gustu „Herold polski", który tylu tylko dostojników w każdym wymienia rodzie, ilu wskazuje prawda historyczna. Wszakże to poszukiwanie źródła obojętności naszego ogółu dla wydawnictwa nie wpłynie zapewne na powiększenie liczby prenumeratorów, których co najmniéj dwustu potrzeba dla pokrycia kosztów nakładu i to przy podniesionéj do 8 złr. rocznie prenumeracie. Jeżeli do 1 grudnia 1897 roku nie zbierze się ta niezbędna liczba prenumeratorów, dalsze wydawnictwo „Herolda polskiego" stanowczo zaniechane będzie i wyjdzie tylko zeszyt czwarty czyli ostatni za rok bieżący. A szkoda byłaby wielka, gdyby obojętność ogółu sparaliżowała szlachetne usiłowania prof. Franciszka Piekosińskiego, który nic za pracę swą nie żądając, poświęca mu wiedzę swą i doświadczenie. — Kwietniowy zeszyt roz-

poczyna „Słowo od Redakcyi,” skréślone przez „Herolda Polskiego.” Przedewszystkiém dowiadujemy się z niego o smutnych rezultatach ogłoszenia prenumeraty, następnie o powodach opóźnienia pierwszego styczniowego zeszytu, poczém znajdujemy plan wydawnictwa, z którego się okazuje, że „Herold“ zamierza ułatwić czytelnikowi oryentowanie się w heraldyce, zamieszczając rodzaj przewodnika heraldycznego, w którym by wszystkie znane dotychczas herby szlacheckie polskie były o ile możności w rysunku podane, lub przynajmniéj dokładnie opisane. Przedewszystkiém pomieszczony będzie herbarz szlachty litewskiéj Kojałowicza, potém herbarz szlachty prusko-polskiéj, potém herbarz szlachty galicyjskiéj, potém herbarz szlachty nobilitowanéj w XVI, XVII i XVIII wieku i t. d. — W rubryce „Rozmaitości” znajdujemy trzy ciekawe prace. W pierwszéj z nich zatytułowanéj „Scipio czy Nadobowicz“ prof. Piekosiński, na zasadzie szczęśliwym skutkiem uwieńczonych poszukiwań dowodzi, że herb rodu Scipionów Campo nie został z Włoch przyniesiony do Polski, lecz, że został drogą adoptacy w Polsce nabyty, czyli że ród Scipionów Campo został przez ród szlachecki litewski Nadobowiczów czy Golimuntowiczów do rodu i herbu ich adoptowany. — W drugiéj znajdujemy ciekawą wiadomość o zachowanym w jednéj z prywatnych bibliotek krakowskich rękopiśmiennym herbarzu Jana Karola Dachnowskiego, zresztą skąd inąd nicznanym. Jest to dorywczy zbiór materyałów, niedostatecznych nawet do zredagowania jakiegokolwiek herbarza, ułożonych w pewien porządek, lecz mających dopiéro być opracowanemi podczas druku. Że bowiem zamierzano herbarz ten wydrukować, dowodzi zachowany, już wydrukowany, bardzo ozdobny tytuł oraz kilka sztychów przygotowanych. Z tekstu jednak nic się nie dostało pod prasę drukarską. Zestawiając charakter pisma i rysunki prof. Piekosiński, dochodzi do przekonania, że Dachnowski jest również autorem znajdującego się w bibliotece hr. Zamojskich w Kórniku bezimiennego i niedatowanego rękopisu herbarza szlachty prusko-polskiéj pod tytułem: „Herby szlacheckie w ziemiach pruskich województw Chełmińskiego, Malborskiego, Pomorskiego.” Że zaś herbarz kórnicki jest dziełem zupełnie wykończoném, przeto na jego zasadzie zalicza on Dachnowskiego w poczet autorów heraldycznych polskich. W trzecim artykule w „Rozmaitościach“ pomieszczonym sz. profesor stara się wyjaśnić pochodzenie kamienia, znalezionego we wsi Luszynie w pow. Gostyńskim, a pokrytego napisami zagadkowémi. Otóż wnosząc z łukowatego lub okrągłego kształtu liter, znamionującego charakter pism wschodnich, wyraża on przypuszczenie, że jest to zapewne kamień grobowy kupca georgijskiego t. j. ormiańskiego, którego w podróży na Mazowszu śmierć zaskoczyła.

Lwią część zeszytu zajmuje „ks. Wojciecha Wijuka Kojałowicza S. J. Herbarz Rycerstwa W. X. Litewskiego, tak zwany *Compendium.*" Jest to przedruk oparty na oryginale, znajdującym się w Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie. Wślad za *Compendium* wydrukowany będzie drugi herbarz Kojałowicza, zredagowany w języku łacińskim p. t. *Nomenclator*, a tamże znajdujący się. Na wstępie do przedruku *Compendium* znajdujemy piękną reprodukcyę pieczęci majestatowéj Wielkiego księstwa Litewskiego, w samym zaś tekście liczne rysunki herbów w cynkotypii. Już to wogóle w całem wydawnictwie „Herolda Polskiego" znać staranną, pieczołowitą rękę miłującego swój przedmiot redaktora. Nie mówiąc już o pięknym papierze i doskonałym druku, trudno nie zwrócić uwagi na tak przez miłośników pożądane, a nie objęte programem pisma dodatki, jak np. otwierająca zeszyt reprodukcya „Zbroi turniejowéj królewskiéj z r. 1471." W rozprawie „Scipio czy Nadobowicz" znajdujemy odtworzone dwie pieczęcie Golimunta Nadobowicza, starosty żmudzkiego, daléj zaś, w odnośném miejscu, dwie podobizny kamienia luszyńskiego. — Najgoręcéj polecamy uwadze i względom czytelników naszych to tak piękne, a niezbędne w historycznéj naszéj literaturze wydawnictwo. Wesprzyjmy w bezinteresownych usiłowaniach redakcyę, która, starając się zaradzić dotychczasowéj potrzebie, powinna znaléźć poparcie: brak onego paraliżuje najlepsze jéj chęci. *Ar. Les.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rok ubiegły odznaczał się żywém natężeniem rozmyślań i dyskusyi o sprawach publicznych. Miało to po części skutek dodatni, po części ujemny.

Zaczniemy od ujemnego.

Wśród wielu niesłusznych i przesadnych zarzutów, jakie nam obcy czynią, do słusznych w znacznéj mierze zaliczyć chyba można zarzut naszéj zbytniéj wrażliwości, zbyt łatwego przerzucania się z jednéj ostateczności w drugą: stąd brak miary w sądach, a równowagi w czynach, nieumiejętność trzymania się linii prostéj, lecz przeciwnie częste zygzaki, cofania i kołowania.

Ta nasza wada silnie w ubiegłym występowała roku. Bez dostatecznéj ku temu przyczyny, część pewna naszego społeczeństwa zaczęła snuć nadzieje jakichś wcale poważnych, a blizkich zmian, jakiegoś znacznego rozszerzenia naszéj działalności.

Gdy rzeczywistość w drobnéj tylko części odpowiedziała zbyt daleko wybiegającym nadziejom,—nastąpił szybki zwrot ku przesadnemu pesymizmowi. Zaczęły się odzywać i znajdować posłuch głosy, iż nietylko „nic" się nie zmieniło, lecz przeciwnie „wszystko" idzie ku gorszemu.

Bez względu, czy i kto miał na sumieniu rozbudzanie zbyt daleko idących nadziei, a również czy, kto i na ile jest winien siania zgubnéj apatyi pesymizmu i martwoty wśród naszego społeczeństwa, — faktem jest dodatnim, a na dobro dojrzewania naszego społeczeństwa do zapisania się kwalifikującym jest to, iż masa ani w jedną ani w drugą stronę zbyt daleko się porwać nie dała, lecz po dawnemu wcale spokojnie pracuje i kroczy powoli naprzód.

Drugi ujemny skutek dyskusyi z roku dobiegającego—to pewne oddalenie wzajemne od siebie, a nawet pewna podejrzliwość i nieufność między ludźmi różnych zapatrywań co do szczegółów, ale jedna-

kowo szczerze do kraju i dobra publicznego przywiązanych. Zaostrzenie polemik, mniéj przyzwoity czasem ich ton, brak bezstronności i sprawiedliwości w ocenie czynów i dążeń ludzi, z którymi się w gruncie rzeczy daleko mniéj różnimy, niż się to uprzedzonemu polemiście wydaje,—oto drugi fakt ujemny do zapisania na rachunku roku bieżącego.

Dodatnim faktem jest to, iż ożywienie w sferze myśli i słowa nie było zupełnie bezpłodne, lecz szczęśliwie przechodzi, a w części nawet już przeszło w sferę czynu. Zwłaszcza ostatnie miesiące są pod tym względem szczególniéj ożywione.

W chwili, gdy dzień pracy społecznéj ma się ku schyłkowi, robota wre dokoła, jakby żywiéj jeszcze niż w dnia tego zaraniu: ścierają się zdania, tryskają nowe źródła idei humanitarnych, myśl wzbija się ponad egoistyczne poglądy dobra jednostki lub stanu, nowe przedsięwzięcia wykończają się z pośpiechem. Społeczeństwo nasze podobne jest w danéj chwili do wieśniaka, który mimo znoje i trudy zdwaja energię o słońca zachodzie, byleby plon całodzienny powiększyć choć o jedno zżęte stajanie. Myliłby się jednak ten, ktoby w dziejach ostatnich tygodni dopatrywał czynów wielkich, zwrotów doniosłych lub chwil wiekopomnych. Praca jeno była mrówcza, lecz praca na niwie dobra publicznego, praca rozumna, cicha i wytrwała. Mamy tyle jeszcze nędzy do zwalczenia, przesądów i ciemnoty, tyle ust woła o chléb a tylu w oświacie zaniedbanych żebrze światła, iż każdy krok, zrobiony na drodze miłosierdzia, umoralnienia czy wykształcenia, każda dążność zbiorowa, każda samopomoc skrzętnie w kronice naszéj jako dorobek społeczny winna być zapisana. O ile czyn bierze u nas górę nad frazesem, najwymowniéj świadczą nasze wydawnictwa codzienne. Zrozumiały one już potrzeby ogółu i odczuwają znamienny zwrot jego usposobienia. Zanika stopniowo choć powoli na szpaltach kuryerów i gazet plotkarstwo, rubryki sensacyjnych wiadomości redukują się do szematycznego zaznaczania wypadków, bezpłodna zaś politykomania skurczyć się musiała wobec potrzeb realnych i spraw żywotnych. Nie takie to dawne czasy, kiedy przeciętny prenumerator pisma codziennego znał na pamięć nazwiska wszystkich przewódzców partyi i wybitniejszych agitatorów parlamentarnych Ameryki i Europy i nie takie dawne czasy, gdy karmiono go jeśli nie wyłącznie, to przeważnie anegdotami o sposobie ubierania się i odżywiania jakiegoś męża stanu, urządzeniu jego mieszkania, upodobaniach i jego psie. Upadek np. gabinetu hiszpańskiego śrubowano wówczas do wysokości ogromnie ważnego dla nas zdarzenia, a byle proces skandaliczny, wytoczony za-

granicznemu aferzyście, rugował najpoważniejsze artykuły ekonomiczne i społeczne. Dziś jest już nieco inaczéj. Więcéj w dziennikach spotykamy wiadomości obchodzących nas bezpośrednio i więcéj myśli o naszych potrzebach najbliższych. Praca bierze górę nad apatyą lub lekkomyślnością a poważna dyskusya nad frazesami.

Jakie praktyka życiowa stwarza nam nieraz niespodzianki, pouczyć może sprawa czytelni ludowych. Oświata warstw niższych niejednokrotnie była obierana za temat do artykułów wstępnych; podkréślano brak szkół początkowych, stwierdzano rozwój czytelni zagranicą i na tém koniec. Artykulik pozostawał bez echa a o powzięciu inicyatywy czynnéj mowy nie było. Rozwijane teorye wydawały się nam jakimiś pięknemi ideałami dalekiéj przyszłości, do których lud nasz jeszcze nie dorósł. Jednostki, ożywione myślą oświecania maluczkich, poczytywano niejednokrotnie za szlachetnych, lecz niepraktycznych działaczy, a pracę na polu piśmiennictwa ludowego za niewdzięczną i bezowocną.

Gdy w roku bieżącym władze zajęły się urządzaniem czytelń, myśl przyjęto z uznaniem, rozpisywano się nad doborem książek, sposobem administracyi czytelń, opieką, nie zdając sobie jednak sprawy, jak lud nasz przyjmie te czytelnie. Większość t. zw. inteligencyi miała przekonanie, iż chęć do czytelnictwa śród naszego ludu dopiéro budzić należy. Tymczasem, otworzenie kilku pierwszych czytelni wprawiło w podziw największych optymistów na punkcie upodobań chłopa polskiego. W dwóch czytelniach dzień otwarcia był dniem wyczerpania całego zapasu książek, w trzech innych zapas wyczerpano po tygodniu. Biorąc pod uwagę, iż czytelnik wiejski bierze jedną książkę conajmniéj dla jednéj chaty, przekonać się musimy o rzeczywistéj potrzebie drukowanego słowa i, co ważniejsza, o odczuwaniu téj potrzeby przez sam lud.

Środki na utrzymanie czytelni są niewielkie, tak, że narazie liczba ich sięgać ma ledwie dwudziestu. A więc ofiarność prywatna jest tu nieodzowną. Gdy mowa o ofiarności nie możemy przemilczeć daru p. H. Wawelberga, który na cel ten złożył sumę rs. 10,000 [1]). Obok pomocy materyalnéj czytelnie nasze potrzebują przedewszystkiém całego szeregu odpowiednich dzieł. Literatura polska jest dotąd bardzo uboga w wydawnictwa ludowe. Mamy wprawdzie poważną ilość z większym lub mniejszym talentem skréślonych powiastek i obrazków umoralniających,—nawet książek treści religijnéj znaleźliśmy więcéj niż

---

[1]) O szkole technicznéj przy ulicy Mokotowskiéj i o wielkiéj fundacyi na rzecz mieszkań robotniczych rozwodzić się nie potrzebujemy: któż o nich nie wié?

przypuszczaliśmy, ale brak nam dotkliwie prac z zakresu drobnego gospodarstwa rolnego, przemysłu, a głównie popularnego opracowania nauk. Chłop nasz nie tyle może szuka rozrywki w książce, ile wiedzy, i stąd właśnie ujawnione w nowopowstałych czytelniach zapotrzebowania książek treści popularno-naukowéj. Rozumié on, że w książce znajdzie przedewszystkiém radę poczciwą, sztukę rozumnego gospodarowania, jakąś wiadomość i naukę praktyczną, a o wszystkiém prawdę. Do drukowanego słowa ma wieśniak nasz zaufanie wielkie, książkę uważa za skarbnicę wiedzy i mądrości.

Naszym więc obowiązkiem jest pielęgnować to przekonanie i chronić go od rozczarowania. Sił nam nie zbraknie, byle dobra wola się znalazła.

Stwierdzona nieraz gotowość nasza przychodzenia z pomocą potrzebom społecznym, ujawnionym należycie, pozwala nam wierzyć w dalszy i szybki rozwój czytelni. Za to inna paląca sprawa budzi pewną troskę o jutro. Za dni kilka staniemy wobec monopolu wódczanego, czyli staniemy jednocześnie do walki z nałogiem pijaństwa i gangreną szynkowni. Rękawica już rzucona, a myśmy dotychczas nieprzygotowani. Monopol osłoni zapewne masy od wyzysku szynkarzy, wpłynie dodatnio na przeciwdziałanie pijaństwu, zmusi niejako całe warstwy do godziwszego spędzania czasu; chodzi jednak o to, żeby nie pozbawił tych warstw trzech dobrodziejstw: ciepła, światła i towarzystwa. Monopol, jako zarządzenie państwowe, w zupełności odpowiada swoim celom i zadaniom,—myśmy jednak, w pojęciu społeczeństwa, dbałego o dobro własne, nie spełnili dotąd naszego obowiązku— przygotowania się do warunków zmienionych.

Ostatni spis jednodniowy dał nam możność przyjrzenia się zbliska tajemnicom brudnych, ciasnych i wilgotnych izb, z jakich składają się, naprzykład, domy i domki Powiśla. Widząc nagromadzonych w nich biédaków, drżących z zimna, wycieńczonych brakiem powietrza i światła, a wynędzniałych z braku chleba, — zrozumieliśmy, dlaczego człowiek, w takiéj izbie żyjący, śpieszy przy lada okazyi choćby do najpodrzędniejszéj szynkowni, niosąc na ofiarę grosz krwawą zdobyty pracą. Szynkownia bowiem jest jego klubem, jest w porównaniu do jego izby salonem ogrzanym i oświetlonym, nie tamuje swobody jego ruchów, uwalnia go na chwilę od kaszlu współlokatora lub jęków choréj współlokatorki, — a wreszcie daje mu możność wymiany zdań. Człowiek, wchodzący po raz pierwszy do szynkowni, szuka w niéj nieraz tylko ciepła, odpoczynku, zaspokojenia głodu lub potrzeby duchowéj towarzystwa i rzeczywiście w części znajduje je; ale znajduje obok takiéj sumy zła, iż nietylko dobro nań spływające redukuje się do zera,

ale nawet często rezultat wypada ujemny. Jeżeli zatém monopol usuwa szynkownie z powodu złych stron, to jest poniekąd naszym obowiązkiem zastąpienia ich stron dobrych. Oto przyczyna, dla któréj zakładanie herbaciarni czy kawiarni ludowych znalazło się na porządku dziennym załatwiania naszych potrzeb. Lecz, niestety, załatwienie to nie idzie tak szybko, jakby sobie życzyć należało. A sprawa to pilna, nietylko z uwagi na powyższe ogólno-humanitarne względy, lecz i z przyczyny słusznych obaw, aby zamknięcie szynków nie skierowało mas w stronę równie może niepożądanego zła — piwiarni, podrzędnych restauracyi lub, co gorsza jeszcze, szynków potajemnych.

W Warszawie na 1,600 egzystujących „bawaryi" udzielono koncesyi nadal tylko 700. Na prowincyi stosunek ten jest niekiedy jeszcze mniejszy. Należy zatém przypuszczać, iż, w braku innych zbiorowisk, lud warszawski będzie się liczniéj schodził w owych pozostałych piwiarniach i restauracyjkach, a tém samém staną się one szynkowniami — droższemi, niby wykwintniéj urządzonemi, ale szynkowniami. Na prowincyi zaś mogą się rozmnożyć szynki potajemne. Oto dlaczego czas wołać głośno: mniéj klubów, mniéj zbiorowisk stanu wyższego i średniego, a więcéj gospód dla robotników, dla rzemieślników, dla włościan. Człowiek względnie inteligentny, czy zamożny, po za domem szuka tylko rozrywki, a biédak po za izbą szuka niekiedy najkardynalniejszych warunków życia.

Przyjechawszy do miasta upatruje dachu, pod któryby się schronił i izby, w któréjby się ogrzał i posilił, a rzucony na bruk życia miejskiego nie ma częstokroć ani kąta własnego, ani schroniska.

Jeżeli zaś dojdziemy do wniosku, iż zakładanie herbaciarni i wskrzeszanie dawnych gospód jest zadaniem skomplikowaném i w zadowoleniu wielostronnych potrzeb ludu, nie łatwém, — to może tworzenie tak zwanych resurs rzemieślniczych nie przedstawiłoby tylu trudności. A jednak i te wyjść nie zdołały z dziedziny projektów.

Rzemiosła nasze, pozostając pod opieką korporacyjną cechów, mają już organizacyę społeczną. Nie chodzi więc tutaj koniecznie o stwarzanie nowych instytucyi, lecz może wystarczyłoby rozszerzenie działalności obecnie istniejących. Nasz rzemieślnik stał się już osobnikiem, który odczuwa pewne potrzeby duchowe. Zazwyczaj dziecię miasta, a więc ogniska względnego ruchu umysłowego, mimowoli musi więc patrzéć jaśniéj i ogarniać szersze horyzonty. Dzisiaj, będąc pozbawiony właściwego kierunku w wolnych chwilach, albo schodzi do poziomu szynkowni, albo ulega wpływom szkodliwym niepowołanych doradców i niekiedy, zaledwie dzięki wyjątkowemu otoczeniu, unika pierwszéj i drugiego. Rzemiosła niektóre obok nakładu

pracy fizycznéj, wymagają niejednokrotnie i namysłu i daru kombinacyjnego. Pod wpływem odczytów, dyskusyi z kolegami, a nawet szlachetnéj rozrywki rzemieślnik kształci umysł, wyrabia w sobie pewien krytycyzm, który dotąd pozostawał bez opieki i pewną dozę szlachetności, o któréj rozwinięcie również nikt nie dbał.

„Łatwiéj poznasz człowieka po tém, jak się bawi, niż nad czém pracuje" — powiedział Szyller. Zdania tego jednak do rzemieślnika naszego, niestety, stosować nie możemy, bo wymagamy odeń tylko pracy, nie kłopocąc się dotychczas jego chęcią przepędzania w ten lub inny sposób wolnego czasu.

Bierzemy mu za złe, gdy święto spędza przy kieliszku, ale nie wskazujemy i nie ułatwiamy lepszego zużytkowania wolnéj chwili i zdrowszéj rozrywki.

Resursy rzemieślnicze, to nie stowarzyszenia partyjne, ani usankcyonowane miejsca zabijania czasu, próżniactwa, lecz zadośćuczynienie potrzebom towarzyskim ludzi, stojących na jednakowym szczeblu, więc byłyby tu pożądane np. widowiska pouczające, zabawy gimnastyczne, wykłady popularne, czytelnie i t d.

To téż z prawdziwém zadowoleniem dowiadujemy się, iż grono obywateli tutejszych powzięło zamiar założenia w Warszawie trzech resurs robotniczych na przedmieściach, najbardziéj przez ludność robotniczą zamieszkałych, mianowicie w bliskości rogatek Wolskich, na Solcu i na Pradze. Ustawy tych resurs będą się wzorowały na ustawie takiéjże resursy, założonéj na przedmieściu Szlisselburskiém w Petersburgu. Podobnież dowiadujemy się o opracowywanym projekcie założenia przy rogatkach, głównie zaś w tych punktach, gdzie się zatrzymują włościanie na targi, tanich garkuchni i herbaciarni,—a może noclegów i zajazdów.

Że śród powodzi pięknych zamiarów i wielu projektów, na szczęście nie wszystkie rozbijają się na bruku dobrych chęci; że są takie, które już się skrystalizowały i lada godzina przejść mogą w stan urzeczywistnienia, dowodzą jeszcze fakty następujące. Opracowaną została ustawa Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń od gradobicia p. n. „Ceres". Grono ludzi dobréj woli, wnikając w potrzeby naszego ziemiaństwa, powzięło myśl pomienionego stowarzyszenia. Funduszu założycielskiego dostarczyły tak zwane grupy ubezpieczeń ogniowych, a kompetentni wypracowali ustawę i przedstawili ją do zatwierdzenia władzy.

Daléj wymienić należy zawiązujące się „Stowarzyszenie pracowników handlowych solidarnego poręczenia", mające na celu dostarczanie firmom handlowym i przemysłowym ludzi sumiennych i materyal-

nie odpowiedzialnych. Stowarzyszenie, wzorowane na prosperujących w Cesarstwie „artelach”, może stać się u nas instytucyą bardzo pożyteczną nietylko dla chlebodawców, lecz i dla uczciwych pracowników.

Myśl zawiązania Towarzystwa hygienicznego również weszła na tory bliskiego urzeczywistnienia, — wywołała żywe zainteresowanie się prowincyi i sympatycznem ozwała się echem w sercu każdego, kto uznaje doniosłe znaczenie hygieny w życiu narodów. Nie znamy w szczegółach programu działalności Towarzystwa, lecz jakiekolwiekby one były — tam, gdzie idzie o zdrowie, czystość, zwalczanie zarazków chorobotwórczych—dwóch zdań być nie może.

Jak hygiena jest niezbędnym warunkiem do rozwoju fizycznego narodów, tak, z drugiéj strony, kredyt tani i dostępny warunkiem do normalnego rozwoju stosunków ekonomicznych. Wszelka więc inicyatywa, mająca na celu dostarczenie potrzebującym kredytu dogodnego i taniego, nabiéra dla nas znaczenia pierwszorzędnego,—témbardziéj że porównywując stopę procentową u nas bieżącą z notowaniami państw ościennych, znajdujemy zastanawiające różnice. Dzisiaj, kiedy rzucono myśl rozszerzenia działalności istniejących Towarzystw kredytowych miejskich na miasta i miasteczka okoliczne, nie będące w możności utworzenia samodzielnych instytucyi, tylko starać się wypada, aby się te zamiary urzeczywistniły.

Przygarnięcie licznych choć drobnych klientów pod opiekuńcze skrzydła wielkich organizacyi kredytowych nietylko nie wyrządziłoby im zapewne uszczerbku, lecz przeciwnie powiększyłoby ich obroty, właścicieli zaś domów w miasteczkach prowincyonalnych wyrwałoby z rąk lichwy.

W takiém społeczeństwie, jak nasze, gdzie tyle jest jeszcze do zrobienia, trudno wyrwać się z krainy projektów, a przejść do dziedziny faktów dokonanych. Czynimy to tém chętniéj w danéj chwili, gdy nasuwają się nam jednak i godne zaznaczenia objawy.

Zatwierdzenie kasy oszczędnościowo-pożyczkowéj i Towarzystwa opieki nad nieuleczalnymi stało się ciałem. Kasa oszczędnościowa ukazała się już na widowni w postaci pierwszego zebrania członków założycieli, a zebranie samo dostarczyło tematu do dysputy nad wnioskiem, aby siedzibą kasy było przedmieście Praga. Decyzya ostateczna przyznała pierwszeństwo w Warszawie, co, o ile nam się zdaje, może tylko dodatnio wpłynąć na rozwój kasy. Lada dzień można więc oczekiwać otworzenia podwoi nowéj, a wysoce pożytecznéj instytucyi.

Towarzystwo opieki nad nieuleczalnymi jest częścią wielkiéj spuścizny po ś. p. hr. Augustowéj Potockiéj, — spuścizną tém droższą, że wykonawcy testamentu dotknęli tym razem naszéj bodaj czy nienajwiększéj bolączki i wniknęli w potrzeby istot najnieszczęśliwszych, bo na dozgonną niemoc skazanych. Chory nieuleczalny w biednéj rodzinie, to ciężar straszny,—i częstokroć instynkt samozachowawczy zniewala ludzi do wypierania się swoich najbliższych, do porzucania nieszczęśliwych obłąkanych, epileptyków i idyotów na łaskę losu. A życie takich biédaków jest zaiste okropne. Usuwani przemocą ze szpitali, odstawiani etapem do miejsc urodzenia, wycierający kąty rowów, dołów i rozwalanych domostw, wypełzają niekiedy pośród fali odświętnego ludu w całéj grozie nędzy i kalectwa, niby wyrzut sumienia społecznego.

Utworzone Towarzystwo, o ile wiemy, ma na początek egzystenstyę zapewnioną—można się tedy spodziéwać, iż opatrunek téj broczącéj krwią rany będzie szybkim.

I gotów nas kto posądzić o krańcowo optymistyczne poglądy na stan naszego społeczeństwa, o jakoweś dytyramby pochwalne na rzecz naszéj filantropii i pracy publicznéj, — z punktu jednak kronikarskiego obowiązku nie wolno pomijać tego, co wzniosłe, szlachetne i uznania godne.

Ze szczególną przyjemnością to czynimy, gdy chodzi o nasze kobiéty. Na cześć naszych kobiét wygłoszono pochwał wiele i wiele słusznych. Obok pochwał dawały się słyszéć i utyskiwania, że kobiéty nasze wbrew naturalnemu podziałowi pracy, rozwijającemu się w innych społeczeństwach cywilizowanych, zbyt wiele zajmują się u nas rozprawami politycznemi i że, żyjąc więcéj frazesem niż pracą rzeczywistą, wciągają na tę drogę część niewyrobionéj jeszcze młodzieży. Zarzut ten jest zapewne przesadzony, a w każdym razie do ogółu naszych kobiét stosować się nie może. Wobec jednak takich zarzutów, z tém większą zaznaczamy skwapliwością każdą zapowiedź pracy rzeczywistéj naszych kobiét, a ze szczególną radością zapiszemy fakty, wcielające te zapowiedzi w czyny dokonane.

Społeczeństwo, którego kobiéty, bez uciekania się do siły korporacyjnéj, zdołały przysporzyć, aż dwie instytucye dobroczynne w postaci ochronisk dla starców i dzieci, — społeczeństwo, którego kobiety własnemi środkami i staraniami organizują stowarzyszenie wzajemnéj pomocy kobiét pracujących i wprowadzają je w czyn w ciągu kilku zaledwie tygodni,—społeczeństwo takie żyje, rozwija się i przyszłość na trwałych buduje podstawach.

Całą litanię wyliczyliśmy naszych potrzeb i projektów;—wskazaliśmy i trochę rzeczy już dokonanych lub przynajmniéj rozpoczętych. Te potrzeby i te roboty, to nasze życie codzienne; ważniejszém to, a więc i ciekawszém jest w mniemaniu naszém od sensacyjnych wiadomości, rozpraw i frazesów. To też wyjątkowo tylko chcemy wybiedz w naszéj kronice po za sferę tych naszych bezpośrednich potrzeb i interesów.

Zdarzają się jednak wypadki chociaż za granicami kraju naszego zaszłe, ale pewien wpływ na nasze zapatrywania miéć mogące.

Do takich wypadków z roku bieżącego zaliczamy zaszłe w Austryi, a w szczególności w Galicyi, w tym roku dwa: 1) rozbudzony ruch ludowy i 2) zbliżenie się Polaków do Czechów i innych Słowian.

Co do ruchu ludowego, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż partya konserwatywna w Galicyi, wiele zasług i zalet wogóle mająca, w téj sprawie t. j. w stosunku do ludu, zgrzeszyła niewiadomością, lekceważeniem i jednostronnością.

Jak niektórych ojców spotykają niespodzianki z powodu, iż się nie spostrzegli na czasie, że i c h d z i e c i przestały być d z i e ć m i w o g ó l e i że nadszedł czas traktowania ich jak ludzi dorosłych, a przynajmniéj dorastających, tak i szlachta i wogóle inteligencya galicyjska niemile została zawiedziona w swych zamiarach trzymania i dziś jeszcze ludu po dawnemu w powijakach.

Zbyt długo przeciągana i zbyt krępująca opieka robi się szkodliwą i nieznośną, — a pierwsze chwile z trudnością zdobytéj swobody, stają się naraz chwilami swawoli a nawet gwałtu.

W ostatecznym jednak rezultacie przybytek wyrobionych samodzielnością obywateli może tylko wzmocnić siły narodu, a więc wyjść mu na dobre; to téż nie wątpimy, że i ruch ludowy ostatecznie na dobre Galicyi wyjdzie. Ale zanim to nastąpi, może ją czeka niejedna trudna chwila.

Dla nas to, co się obok dzieje, powinno być nauką i przestrogą.

Pamiętajmy, że próżnia zajętą być ma i że jeżeli my nie potrafimy zająć stanowisk kierowników ludu, to stanowiska te zająć zechcą pierwiastki wywrotowe.

Druga sprawa, dla któréj odrywamy się od tych serdecznych naszych spraw, aby wyjrzéć na szerszą widownię, to zaostrzona w ostatnich czasach walka uporczywa i zacięta germanizmu ze słowiańszczyzną.

Historya poucza, iż kraj nasz był niegdyś przedmurzem, osłaniającém przez całe stulecia zachód od nawały tatarsko-tureckiéj, — ale

zapomina niekiedy o tém, żeśmy jednocześnie osłaniali własną piersią wschód słowiański od potęgi Teutonów. Różnie już się układały stosunki słowiańsko-niemieckie a zawsze z jednym i tym samym skutkiem. Nienawiść plemienna, wypływająca z zaborczych zachcianek niemieckich, zakorzeniona przez wieki — nie da się chyba nigdy sprowadzić do kwestyi gabinetowéj. Niemiec bowiem w swéj niezmiernéj pysze „boi się tylko Boga”, — (oby istotnie się bał Boga), Słowianin zaś, w swém gorącém przywiązaniu do kraju i języka, przestaje bać się Niemca. Gdzie tylko więc dwa takie pierwiastki się zejdą, tam musi nastąpić starcie prędzéj czy późniéj. A przyznać trzeba, iż Niemcy przy każdém zetknięciu się ze Słowianami nadużywają ich cierpliwości i nazbyt dają się unosić bucie germańskiéj.

Że księstwo Poznańskie jęczy pod ciężarem hakatyzmu, do tegośmy już dawno przywykli. Niemiec czuje się tam silny a do obowiązku braterstwa ludzkiego nie bardzo się poczuwa. Lecz żeby tenże rozważny Niemiec był do tyla nieoględnym, aby przypuszczał możliwość hegemonii pięciu milionów Niemców nad dziesiątkami milionów Słowian, to było trudno przypuścić.

Karczemne wybryki Teutonów w parlamencie austryackim, skierowane przeciwko rozporządzeniom językowym, nie mogły pozostać bez echa. I odezwało się ono w murach Pragi Czeskiéj i jeden serdeczniejszy jeszcze węzeł zadzierzgnęło pomiędzy ludami słowiańskiemi monarchii austryackiéj. Wiec krakowski Słowian to nie manifestacya antypaństwowa, nie krzykliwa demonstracya burszów niemieckich i nie owacya bandy Schoenerer'ów i Wolff'ów—lecz protest ludów słowiańskich przeciwko bezprawiu, zbratanie się wobec wspólnego wroga i początek siły, którą zaślepiony obstrukcyonizm wiedeński może na zgubę swoją wywołał. A protest ten był nacechowany godnością i spokojem. Tém większa rękojmia trwałości jego uchwał. Jak się ostatecznie ułożą stosunki narodowościowe w Austryi, przyszłość niedaleka pokaże. My podkreślamy tylko raz jeszcze godny uwagi zwrot, jaki od pewnego czasu społeczeństwo polskie robi w kierunku głębszego zastanawiania się i pracy na polu praktyczném, na polu użyteczności publicznéj. Oby nadchodzący rok nowy posunął nas daléj naprzód w tym kierunku.

Zanim jednak ten nowy rok nastąpi, możemy powiedzieć, iż rezultat obrachunku roku ubiegłego nie jest znowu tak szczególnie zły. Przed trzema miesiącami, z powodu umieszczonego w „Ateneum” artykułu p. t. „Optymiści i pesymiści” zagadnąłem jednego z moich znajomych: „a pan czy jesteś optymistą, czy pesymistą w ocenianiu praw naszych.” Po pewnym namyśle odpowiedział mi: „Będę

bliskim ścisłości, odpowiadając panu, iż jestem pesymistą na krótki dystans, lecz bezwarunkowym optymistą na dystans długi.

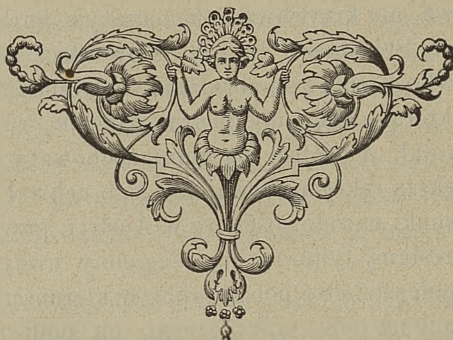
— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, iż dziecinném byłoby urojeniem oczekiwać bez przyczyny jakichś zmian zasadniczych w warunkach zewnętrznych naszego życia społecznego. Ale ponieważ mamy jaką taką możność pracowania i pracujemy, ponieważ warunki wewnętrzne, a szczególniéj spokojna i cicha praca, muszą rozwijać, podnosić i umacniać, — więc mam nadzieję, iż nietylko istniéć, ale i rozwijać się będziemy z pewnością.

A rozwijać się będziemy tém szybciéj, a co jeszcze ważniejsza, tém pewniéj i staléj, im rychléj z pola dyskusyi generalnych przejdziemy do drobnych robót poszczególnych, od wielkich frazesów do drobnych prac."

Z punktu widzenia tego mojego znajomego, koniec roku bieżącego należy uważać za pomyślny, gdyż „od wielkich frazesów" zaczynamy przechodzić „do drobnych prac", które starałem się w kronice zaznaczyć.

W. G.



Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

---

1. *Józef Nusbaum.* **Dziedziczność** w świetle badań dzisiejszych. Warsz., 1897, 8-vo, str. 84.
2. **O potrzebie założenia publicznéj biblioteki** w Warszawie. Przez *J. z Szczawińskich Dawid*, str. 14.
3. **O oszczędności**, kasach i stowarzyszeniach oszczędnościowych i pożyczkowo-oszczędnościowych. Napisał *J. Kirszrot-Prawnicki*. Warsz., wydanie z zapomogi Kasy im. Mianowskiego, 1898, 8-vo, str. II, 307 i IV (cena rs. 1).
4. *Jan Iwański.* **Poezye.** Warsz., skład gł. w księg. Borkowskiego i Karpowicza, 1897, str. 142 (cena 75 kop.).
5. *Cezary Jellenta.* **Galerya ostatnich dni.** Wizerunki, rozbiory, pomysły. Kraków, 1897, 8-vo, str. 328.
6. **Martini Cromeri** ad Romulum Amaseum epistulae. 1537 — 1550. Edidit *Joseph Korzeniowski*. Lwów, nakł. Towarzystwa Filolog., 1897, 8-vo, str. 8.
7. **Zagadnienia ogólne** z teoryi nauk lekarskich. Napisał *Władysław Biegański*. Warsz., wydanie z zapomogi Kasy im. Mianowskiego, 1897, 8-vo, str. IX i 304.
8. **Obrona Częstochowy.** Opowiadanie z czasów wojny szwedzkiéj, przerobione przez *S. J.* z powieści p. t. „Potop" Henryka Sienkiewicza. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa (1897), str. 178.
9. *Stanisław Bełza.* **W stolicy padyszacha** (Wrażenia z podróży do Konstantynopola). Warsz., Gebethner i Wolff, 1898, 8-vo, str. 328 (z rysunkami).
10. *Stanisław Bełza.* **W kraju tysiąca jezior** (Z podróży i przechadzek po Findlandyi). Wyd. drugie. Warsz., Gebethner i Wolff, 1897, 8-vo, str. 227.
11. *Gabryela Zapolska.* **Wodzirej.** Powieść w 2 tomach. Warsz., S. Lewental (1897), 8-vo, str. 331 i 344.
12. *Zygmunt Lucyan Sulima.* **Sokół królewski.** Powieść historyczna z czasów Zygmunta Augusta. Warsz., nakł. księg. Dubowskiego i Gajewskiego, 1898, 8-vo, str. 332.
13. *A. Mickiewicz.* **Bajki i powiastki.** Warsz., nakł. Nasierowskiego, 1897, str. 32 (cena 5 kop.).
14. **Biblioteka dzieł wyborowych:** N. 1. Powieści poetyckie *Juliusza Słowackiego* z przedmową *Piotra Chmielowskiego*. Warsz.. druk S. Sikorskiego, 1897, 8-vo, str. 167, — N. 2 — 4. „Tułacze" *B. Bolesławity* z przedmową *Adama Pługa*, tom I, str 152; t. II, str, 158; t. III, 184.—N. 5. „Psychologia rozwoju narodów" *Gustawa Le Bon'a* w przekładzie i z przedmową *Juliana Ochorowicza*, str. 168. — N. 6. Trzy nowele *Elizy Orzeszkowej*, str. 160. — N. 7. „Z zapisek myśliwego", nowele *I. Turgeniewa*, przekład *Klemensa Junoszy*, str. 144 (cena każdego tomu kop. 25, a w prenumeracie $19^1/_4$ kop.).
15. *Marya Rodziewiczówna.* **Kiejnot.** Powieść. Warsz., S. Lewental (1897), 8-vo, str. 472.
16. *Klemens Junosza.* **Powtórne życie.** Nowele. Wilno, nakł. Józefa Zawadzkiego, 1897, 8-vo, str. 248.
17. **Acta** ecclesiae collegiatae Varsoviensis edidit *B. Ulanowski*. Kraków, nakł. Akademii Umiej., 1897, 8-vo, str. 431.
18. **Rozprawy** Akademii Umiejętności. Wydział histr.-filoz., t. XXXVI. Kraków, nakł. Akad. umiej., 1897, 8-vo, str. 431.
19. **System przelewny** oczyszczania miejsc ustępowych, podał dr. *I. Tchórznicki*. Warsz., 1897, 8-vo, str. 23 (z rysunkiem).
20. *Plato v. Reussnera* **Samouczek** polsko-francuski. Zesz. IX (cena 15 kop.).
21. **Encyklopedya illustrowana** wiadomości pożytecznych. Zeszyt 24. Warsz., nakł. Michała Arcta (cena zesz. 25 kop.).
22. *Marya Konopnicka.* **Dym.**—Nasza szkapa.—Głupi Franek („Biblioteczka ilustrowana"). Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa (1897), str. 229.
23. *Włodzimierz Trampczyński.* **Ukojenie.** Powieść współczesna. Warsz., nakł. G. Centnerszwera, 1898, 8-vo, str. 295.
24. *Marya Konopnicka.* **Ludzie i rzeczy.** Szkice i obrazki. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, str. 479.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, i etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatniają.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty:

Prenumerata Ateneum w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs. 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Warecka 10.

Wydanie **KOBIETY** Jubileuszowe

MICKIEWICZA, SŁOWACKIEGO i KRASIŃSKIEGO

RYS LITERACKI

D-ra Piotra Chmielowskiego.

Cena rs. **4.** W oprawie ozdobnej rs. **5** kop. **50.**

Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki w Warszawie, Nowy-Swiat Nr. 41.